

przegląd powszechny

11/819/89

miesięcznik
poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym

założony w roku 1884



JEZUICI • Warszawa

WYDAWCA

Provincia Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

RADA REDAKCJI

Witold Adamczewski SJ
Jacek Ambroziak
Henryk Bogacki SJ
Jacek Bolewski SJ
Kazimierz Dziewanowski
Ryszard Otowicz SJ

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Tadeusz Filas SJ
Michał Jagiełło
Maria M. Matusiak
Stanisław Opieła SJ (red. naczelny)
Grzegorz Schmidt SJ

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Teresa Wierusz

REDAKTOR TECHNICZNY

Jacek Herman-Iżycki

„PRZEGŁĄD POWSZECHNY“

Redakcja i Administracja

ul. Rakowiecka 61

02-532 Warszawa

tel. redakcji 48-91-31 w. 211

49-02-39

tel. administracji 48-91-31 w. 214

48-09-78

PRENUMERATA

roczna 1980 zł
za I półrocze 1080 zł
za II półrocze 900 zł
cena egzemplarza 180 zł

Wpłaty

Bank PKO VI Oddział w Warszawie
nr konta 1560-51624-136
ul. Bagatela 15
00-585 Warszawa

Prenumerata wyłączenie za pośrednictwem
administracji „Przeglądu Powszechnego”.
Część nakładu jest do nabycia w kioskach
„Ruchu” i w katolickich księgarniach.

Skład i druk: Oficyna „Przeglądu Powszechnego”,
Warszawa, ul. Rakowiecka 61
Zam. 2/87, (A-37), nakład 8000+350 egz., ark. druk. 10,0
Papier druk. kl. V, 71 g., format A1
Numer zamknięto 8 IX 1989 r.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca

Do naszych Czytelników!

Niespodziewana i znaczna podwyżka opłat pocztowych zmusza nas do zwrócenia się do prenumeratorów „Przeglądu Powszechnego” z prośbą o dobrowolną dopłatę do prenumeraty na rok 1989. Koszt wysyłki pojedynczego zeszytu „PP” w listopadzie i grudniu wyniesie każdorazowo 200 zł, gdy tymczasem sam miesięcznik kosztuje nadal jedynie 180 zł. W krytycznej sytuacji finansowej, w jakiej się znajdujemy, nie stać nas po prostu na pokrycie kosztów tej wysyłki.

Z podobnych względów musimy również podwyższyć cenę „Przeglądu Powszechnego” w 1990 r. W poprzednich zeszytach informowaliśmy, że wyniesie ona 500 zł. Po ostatnich podwyżkach opłat za energię elektryczną, cen papieru i materiałów poligraficznych oraz kosztów transportu i przesyłek pocztowych również ta cena jest nie do utrzymania. Z przykrością zawiadamiamy, że nasz miesięcznik od 1 I 1990 r. będzie kosztował 750 zł.

W związku z powyższym prenumerata „PP” na rok 1990 będzie kosztować 8250 zł (za I półrocze – 4500 zł za II półrocze – 3250 zł). Czytelników, którzy opłacili już prenumeratę na rok 1990, prosimy o dopłatę w wysokości 2750 zł.

Przy okazji przypominamy, że prenumeratę „Przeglądu” można realizować wyłącznie za pośrednictwem naszej administracji, dokonując wpłaty na konto „Przeglądu Powszechnego”: Bank PKO VI Oddział w Warszawie, nr konta 1560-51624-136, ul. Bagatela 15, 00-585 Warszawa. Przyjmujemy również prenumeratę zagraniczną. Do ceny miesięcznika doliczamy w tym przypadku koszt wysyłki.

Redakcja „PP”

Nowość Oficyny Przeglądu Powszechnego

Informujemy, że ukazało się II wydanie książki Alfreda Cholewińskiego SJ „Chrześcijaństwo ponownie odkrywane“.

Pozycja ta zawiera 4 serie pogadańek biblijnych („Stary Testament w ręku chrześcijanina“, „Życie pierwszych chrześcijan“, „Prorocy Starego Testamentu mówią do nas“, „Chrześcijaństwo ponownie odkrywane“) wygłoszonych przez ks. Alfreda Cholewińskiego (1936–1988) przed mikrofonami Radia Watykańskiego oraz 9 homilii głoszonych podczas mszy św. transmitowanych z kaplicy Radia Watykańskiego. Treść tej książki jest nie tylko owocem biblijnych studiów ks. Cholewińskiego, ale przede wszystkim refleksją nad doświadczeniem chrześcijańskim, którego doznał na drodze wspólnot neokatechumenalnych.

Zamówienia można kierować pod adresem administracji „Przeglądu Powszechnego“, dokonując wpłaty na konto naszego miesięcznika: Bank PKO VI Oddział w Warszawie, nr konta 1560-51624-136, ul. Bagatela 15, 00-585 Warszawa. Cena książki: 3000 + 300 zł opłata porto.

Spis treści

Zdzisław Najder

Bitwa o umysł (I) 169

Jeszcze przed ogłoszeniem bitwy o handel (1947 r.) komuniści rozpoczęli bardziej zasadniczą bitwę – o umysły Polaków.

Janusz Gazda

**Ideologia przeciw moralności:
w kręgu Pawlika Morozowa (I)** 186

Ingerencja totalitarnego państwa obejmuje także rodzinę i zmierza do likwidacji podstawowego imperatywu moralnego.

My i oni 200

Z Wojciechem Wasiutyńskim rozmawia Michał Jagiełło.

Stanisław Czapiewski SJ

**Przez zakratowane okienka.
Wspomnienia syberyjskie (II)** 215

Wspomnienia polskiego jezuity deportowanego w połowie czerwca 1941 r. z Wilna do obozu na Syberii.

Krzysztof Maślanka

Refleksje na temat współczesnej kosmologii 231

Współczesna kosmologia stara się opisać pochodzenie wszechświata podejmując problemy interesujące zarówno naukę jak i wiarę.

Kazimierz Dziewanowski

Spełnione proroctwo – i co dalej? 242

Ksenofobiczne i nietolerancyjne stanowisko to groźna dla przyszłości Polski aberracja umysłowa.

**Wokół grekokatolickich cerkwi
(Krzysztof Renik)** 253

**Co mnie dzisiaj, jutro tobie
(Jacek Kolbuszewski)** 266

**Notatki z Ziemi Świętej (I)
(Małgorzata i Konrad Kucza-Kuczyńscy)** 275

Podgrzewanie ziemi (Roman Warszawski) 283

Książki – *A. Szymańska*: Człowiek wpisany w koło (Paweł Bukowski, „Do snu od rzeczy”; Kazimierz Brakoniecki, „Tożsamość”; Piotr Cieleś, „Jeszcze małeńka Europa) 297

W. Roszkowski: Między sprawiedliwością a efektywnością (Dariusz Filas, „Spór o podział dochodów w rozwiniętym kapitalizmie”) 300

M. Jagiełło: Jak nas widzą (Zbigniew Jakubowski, „Przegląd Powszechny» 1844–1985”) 303

Sztuka – *J. S. Wojciechowski*: Po trzech latach (Galeria Teatru Powszechnego od października 1986 do lipca 1989) 307

Teatr – *A. Dziurdzikowski*: Powrót Teatru Ósmego Dnia 315

Książki nadesłane 319

Sommaire

Zdzisław Najder

Pour conquérir les esprits (I) 169

Avant même d'avoir proclamé la fameuse „bataille du commerce” (1947) pour supprimer le commerce privé, les communistes en engagèrent une autre, plus importante, celle des esprits, pour se les subjuguier.

Janusz Gazda

**L'idéologie contre la morale:
dans l'univers de Pavlik Morozov (I)** 186

L'ingérence de l'Etat totalitaire s'exerce aussi au sein de la famille où elle tend à éliminer l'impératif moral de base.

Nous et eux 200

Michał Jagiełło s'entretient avec Wojciech Wasiutyński.

Stanisław Czapiewski SJ

**A travers des fenêtres grillées.
Souvenirs de Sibérie (II)** 215

Témoignage d'un jésuite polonais déporté à la mi-juin 1941 de Vilno dans un camp en Sibérie.

Krzysztof Maślanka

Réflexions sur la cosmologie d'aujourd'hui 231

La cosmologie contemporaine cherche à décrire l'origine de l'univers en traitant de problèmes concernant aussi bien la science que la foi.

Kazimierz Dziewanowski

La prophétie accomplie – et puis? 242

Xénophobie et intolérance, aberrations mentales redoutables pour l'avenir de la Pologne.

Comptes rendus 253

OFICYNĄ PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO

W I półroczu 1990 r. ukazały się następujące pozycje:

1. Walter Ciszek SJ, D. Flaherty SJ, *Z Bogiem w Rosji*

Walter Ciszek, amerykański jezuita polskiego pochodzenia, marzył o pracy misyjnej w Rosji. Realizację swych planów rozpoczął w 1939 r., zgłaszając się dobrowolnie do pracy w obozach na Uralu jako robotnik. Okazało się jednak, że nie mógł oficjalnie pełnić posług duszpasterskich. Aresztowany jako „szpieg Watykanu”, przeżył piekło więzienia w Permie, na Łubiance i Butyrkach oraz 15 lat ciężkich robót w obozach pracy niewolniczej na Syberii. Po opuszczeniu obozu pracował w Abakanie i Krasnojarsku, cały czas udzielając nielegalnie posług duszpasterskich. Po 24. latach spędzonych w ZSRR powrócił do USA, dzięki staraniom ambasady amerykańskiej.

Książka, napisana przy współpracy przyjaciela, D. Flaherty'ego, stanowi wstrząsający pamiętnik gorzkich i trudnych lat przeżytych w ZSRR.

2. Walter Ciszek SJ, D. Flaherty SJ, *On mnie prowadzi*

Jest to jakby druga część książki „Z Bogiem w Rosji”. O ile „Z Bogiem w Rosji” to pamiętnik faktograficzny, to „On mnie prowadzi” jest pamiętnikiem duchowym. Autor rozważa swoje rozterki duchowe, moralne, religijne, chwile zwątpienia i załamania, ale zawsze z pełną wiarą w Bożą Opatrzność, opiekę i natchnienie Ducha Świętego. Ta głęboka wiara i umiejętność dostrzeżenia Bożej Opatrzności we wszystkim pozwoliły autorowi przetrwać „piekło na ziemi”.

3. Wanda Ossowska, *Przeżyłam... Lwów-Warszawa 1939-1946*

Pasjonujące wspomnienia z lat 1939-1946, które ze wszech miar zasługują, by je ocalić od niepamięci.

Wojna zastała autorkę we Lwowie, gdzie pracowała jako pielęgniarka, a potem jako sanitariuszka. Przeżyła zajęcie Lwowa przez Niemców i Armię Czerwoną. Działając w konspiracji (ZWZ-AK) przeszła przez „zieloną granicę” do Warszawy i z powrotem do Lwowa. Aresztowana, przebywała w więzieniu NKWD, na Pawiaku w obozach koncentracyjnych (Majdanek, Oświęcim, Ravensbrück, Neustadt Gléve). Po wyzwoleniu represjonowana przez UB.

Książka stanowi zapis przeżyć autorki, która w najtrudniejszych chwilach bestialskich przesłuchań, pragnęła widzieć człowieka w każdym, nawet we wrogu; pragnęła z niezachwianą wiarą w Bożą pomoc służyć ojczyźnie i nieść pomoc każdemu, kto jej potrzebuje.

Zdzisław Najder

Bitwa o umysł (I)

3 IV 1947 r. na plenum KC PPR Bronisław Minc, członek Biura Politycznego odpowiedzialny za gospodarkę, ogłosił rozpoczęcie *bitwy o handel*. Celem było upaństwowienie działalności handlowej na ziemiach polskich; oficjalnie chodziło o to, by – po przemyśle – także handel dopasować do *socjalistycznego* systemu ekonomicznego i wyeliminować rolę własności *burżuazyjnej* tj. prywatnej; nie mniej ważnymi motywami były: dążenie do centralizacji zarządzania gospodarką oraz chęć ograniczenia wpływów PPS, która głosiła program rozbudowania spółdzielczości. Trzeźwa PPR wołała przedsiębiorstwa państwowe, mniej czułe na oddolne bodźce. Bitwę o handel, w której głównym wrogiem był oczywiście spekulant, wygrano dosyć szybko: po dwu latach tylko 2% hurtu i 4% detalu pozostawało jeszcze w rękach prywatnych.

Jeszcze wcześniej rozpoczęła się inna, bardziej zasadnicza bitwa – o umysły. O zmianę sposobu myślenia Polaków, zwłaszcza młodzieży i inteligencji. Ta bitwa była kluczową częścią kampanii o stan świadomości jednostek i całego narodu. Nigdy nie została formalnie nazwana bitwą, ale terminologia wojskowa, tak charakterystyczna dla teorii i praktyki marksizmu-leninizmu, występowała podczas niej nagminnie. Trwała znacznie dłużej i skończyła się, już współcześnie, wynikiem sprzecznym z planami tych, którzy ją rozpoczęli.

Szkic niniejszy jest zbiorem rozważań na temat tej bitwy, opartych częściowo na własnych wspomnieniach: należę do pokolenia, o którego mózgi walczone. Sam zresztą stałem się kombatantem i chcę wyjaśnić, w imię czego stawialiśmy opór.

1. We wrześniu 1946 r. rząd „ludowy” utworzył Radę Szkół Wyższych, której zadaniem miało być dokonanie „w majestacie prawa” rewolucji na wyższych uczelniach. Pierwszym krokiem, przedsięwziętym już dwa miesiące

później za pomocą odpowiedniego dekretu, było *zniesienie archaicznej autonomii poszczególnych szkół*¹. Równocześnie zabrano się do przerabiania całego systemu organizacji polskiego życia naukowego na wzór radziecki. Wstępem stała się, w listopadzie 1947 r., specjalna konferencja przygotowująca pierwszy Kongres Nauki Polskiej. Zebrany w lecie 1951 r. zlikwidował Polską Akademię Umiejętności i Towarzystwo Naukowe Warszawskie oraz załcił przyjęcie marksizmu-leninizmu jako podstawy metodologii wszelkich badań naukowych. Równocześnie w ciągu owych pięciu lat (1946–51) liczba studentów szkół wyższych wzrosła z 50 do 141 tys. Po zreformowaniu systemu studiów w 1949 r. ich umysły miały stanowić trofeum bitewne.

Nauka była zresztą tylko odcinkiem ogólnego *frontu ideologicznego*, którego otwarcie ogłoszono w nr. 1 „Nowych Dróg” wydanym w styczniu 1947 r. Światopogląd naukowy był przecież niczym innym, jak wytworem stosowania zasad marksizmu-leninizmu we wszystkich dziedzinach myśli. Istotą tych zasad była ich świadoma klasowość. Termin „obiektywizm” stał się bliźniakiem terminu „burżuazyjny”; bezstronność naukowa została zdemaskowana jako wymysł klas posiadających. Właśnie włączenie nauki w tryby życia politycznego i w służbę rewolucji miały jej zagwarantować prawdziwość – w nowym, marksistowskim sensie.

Jasne, że przy takich ambicjach intelektualnych atakujących partyjnych bojowników centrum bitwy o umysł musiał stanowić filozoficzny konflikt dotyczący źródeł, sensu i roli ludzkiej wiedzy. Na tym konflikcie chcę skupić uwagę; także dlatego, że w latach 1949–52 studiowałem równocześnie polonistykę (na której gruncie toczono najbardziej zażarte walki metodologiczne) i filozofię (skazaną skądinąd formalnie na wymarcie – w 1949 r. nie przyjmowano już studentów na wydziały filozofii, które podlegały likwidacji; na ich miejsce powstawały wydziały marksizmu-leninizmu).

2. Kim byli walczący i jak przebiegały linie frontu? Odpowiedź jest prosta: po jednej stronie byli nacierający marksiści-leniniści-staliniści, po drugiej – wszyscy inni. Taka była wyraźna wola przodującej ideologii; takie były jej zasady; taka była również, czy kto chciał czy nie, logika ówczesnej sytuacji politycznej.

Według oficjalnej doktryny, głoszonej przez PPR a od grudnia 1948 r. PZPR (a tam na wschodzie przez KPZR, pod wodzą genialnego Józefa Wissarionowicza) – marksizm oznacza punkt zwrotny w dziejach zarówno politycznych jak i intelektualnych ludzkości i od chwili jego powstania wszystkie inne teorie, koncepcje i prądy filozoficzne muszą być oceniane na zasadzie kontrastu między wiedzą ułomną lub wręcz szkodliwą a wiedzą jedynie prawdziwą, rozwinętą później przez Lenina i uzupełnioną przez Stalina.

Ponieważ było to już dawno temu, parę typowych cytatów z dzieł ludzi uznawanych wówczas za autorytety.

Andriej Żdanow: *Powstanie marksizmu było prawdziwym odkryciem, rewolucją w filozofii. /.../ Marks i Engels stworzyli nową filozofię, jakościowo różną od wszystkich poprzednich, choćby nawet postępowych, systemów filozoficznych*².

Adam Schaff: *Filozofia, jako pogląd na świat, jest odbiciem interesów tej klasy społecznej, która jest jej nosicielką. Charakter filozofii zależy więc od jej charakteru klasowego. Filozofia klas posiadających, które dążą do utrzymania swego panowania klasowego, tworzy pogląd na świat, mający uzasadnić i utrwalić to panowanie. Dlatego też filozofia klas posiadających – a taką była cała filozofia prócz marksizmu – nie może być całkowicie naukowa, posiada mniej lub bardziej wyraźny charakter spekulatywny. Dlatego dopiero filozofia marksistowska mogła stworzyć i stworzyła konsekwentnie naukowy pogląd na świat*³.

Tenże: *Podział na filozofię marksistowską i niemarksistowską jest w naszej epoce najgłębszym, najistotniejszym, logicznie najpierwotniejszym podziałem w zakresie filozofii współczesnej. Podział ten jest współczesną formą podziału filozofów na ścierające się obozy materializmu i idealizmu. /.../ Reakcją burżuazji na materializm dialektyczny i rewolucyjny ruch robotniczy jest wzmocnienie i forsowanie idealizmu w różnych jego postaciach. /.../ od otwartego obskurantyzmu religijnego do wyrafinowanych, zakamuflowanych form idealizmu w postaci filozofii semantycznej. Cel i funkcja społeczna pozostają te same – przeciwko marksiz-*

¹ K. Kersten, *Narodziny systemu władzy: Polska 1943–1948*, Paryż 1980, s. 281–284.

² A. Żdanow, *Przemówienie w dyskusji filozoficznej*, Warszawa 1948, s. 12.

³ A. Schaff, *Narodziny i rozwój filozofii marksistowskiej*, Warszawa 1950, s. 48.

*mowi, przeciwko klasie robotniczej, w obronie ideologii burżuazyjnej*⁴.

Tadeusz Kroński: *W rzeczywistości rozwój [filozofii] posiada dwa okresy: do Marksa i od Marksa. /.../ Nierozumienie przełomowego charakteru filozofii marksistowskiej pociąga za sobą nieuchronne wykrzywienie całego rozwoju filozofii. /.../ Każdy historyk filozofii jest /.../ filozofem – materialistą lub idealistą. A więc: albo, wychodząc dziś z przesłanek materializmu dialektycznego, daje nam taką wizję przeszłości, która odpowiada prawdzie, albo wychodząc z pozycji idealistycznych daje wizję fałszywą*⁵.

Dodać tu trzeba, że Schaff i Kroński należeli do najlepiej wykształconych, a także najbardziej umiarkowanych w wypowiedziach filozofów marksistowskich owego czasu.

3. Nie mam jednak zamiaru opisywać szczegółowo ani analizować filozofii marksistowskiej przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Ciekawych odsyłam do monumentalnej książki Łeszka Kołakowskiego – wówczas zresztą także bardzo czynnego marksisty⁶. Cytaty przytoczyłem w celu podmalowania tła oraz by stworzyć odskocznię dla kilku uwag podsumowujących ówczesny charakter i rolę tej filozofii.

Przede wszystkim marksizm-leninizm był nierozzerwalnie spleciony z praktyką, i to na dwa sposoby. Po pierwsze był *ex definitione* jedyną oficjalną i obowiązującą doktryną wszystkich prawdziwych (tj. sprzymierzonych z KPZR) partii komunistycznych, a jego zasady służyły za aksjomaty całej ideologii światowego komunizmu. Ktokolwiek chciał być członkiem partii, musiał być marksistą-leninistą. Po drugie marksizm służył jako kryterium i uzasadnienie odrzucania i politycznego potępiania wszelkich teorii i koncepcji odmiennych – wszystko jedno, czy dotyczyły one dyktatury proletariatu, istnienia Boga, indeterminizmu w fizyce, stosunku bazy do nadbudowy, teorii względności – nie mówiąc już o roli Lenina w „zdruzgotaniu” empiryzmu. Ktokolwiek nie deklarował się jako marksista-leninista, był uważany za wroga ideologicznego i w najlepszym razie za kandydata do nawrócenia.

Pierwsza więc praktyczna owocowała olśniewającą giętkością, której wymagały zmiany linii partyjnej, a którą

umożliwiała mętność wielu podstawowych pojęć i twierdzeń. Natomiast więc druga prowadziła do sztywnej prawie ortodoksji pozwalającej na rozpoznawanie, odrzucanie i potępienie wszystkich, którzy w danym momencie odchylił się od ustalonego przez partię rozumienia doktryny.

Te składniki filozofii, które nie musiały być dostosowywane do zmian w taktyce partii (=Stalina), a więc tezy najbardziej ogólne i abstrakcyjne, jak np. dotyczące materialnej istoty rzeczywistości albo determinującej funkcji „bazy” – zastygały nieraz w groteskowo absurdalnych kształtach. Dlatego też sam Stalin, kiedy w 1950 r. oznajmił, że język ludzki nie jest częścią „nadbudowy”, a więc nie jest zjawiskiem z natury klasowym – co znaczyło ni mniej, ni więcej tylko przyznanie, że np. wszyscy Polacy mówią tym samym językiem polskim – mógł być wielbiony jako wyzwoliciel myśli maksistowskiej z pęt dogmatyzmu...

Marksizm-leninizm był zaprzeczeniem filozofii „książkowej” także w tym sensie, że służył jako teoretyczne i praktyczne uzasadnienie brutalnej nietolerancji, masowych prześladowań i w ogóle wszystkich jawnych i niejawnych ekscesów stalinizmu. Działo się tak na mocy własnego samookreślenia się tej doktryny, która deklarując się jako wykładnia jedynie naukowej ideologii rządzącej partii przyjmowała na siebie odpowiedzialność za straszliwe okrucieństwa i wszechobecny fałsz.

Marksizm owego okresu był więc polityczną potwornością. I był zarazem intelektualnie prymitywnym anachronizmem. W chwili rozpoczęcia bitwy o umysł, w dobie gwałtownej konfrontacji w Europie Wschodniej z innymi prądami filozoficznymi oraz z chrześcijaństwem – marksizm był w stanie całkowitego, wynaturzającego i kompromitującego upolitycznienia, a zarazem w stanie myślowego wyjałowienia. Politycznie był u szczytu; filozoficznie był na dnie; i te dwa aspekty były, powtarzam, nierozzerwalnie spójne.

⁴ Tenze, *Poglądy filozoficzne Kazimierza Ajdukiewicza*, „Myśl Filozoficzna” 1952, nr 1, s. 213–214.

⁵ T. Kroński, *Historia filozofii Władysława Tatarkiewicza*, „Myśl Filozoficzna” 1952, nr 4, s. 270–271.

⁶ L. Kołakowski, *Główne nurty marksizmu*, wyd. II, Londyn 1988, cz. III, rozdz. I i II.

4. Okazał się jednak zdumiewająco *atrakcyjny i fascynujący*⁷. Dlaczego? O ówczesnej sile przyciągania marksizmu napisano już wiele, poczynając od „Zniewolonego umysłu” Czesława Miłosza po „Hańbę domową” Jacka Trznadla. Miłosz pisze jednak wyłącznie o tych, którzy „atrakcyjności” ulegli, i właściwie wyklucza możliwość stawiania skutecznego odporu. W książce Trznadla i również gdzie indziej wypowiadali się głównie ludzie, którzy przeszli przez marksizm; trudno więc ich świadectwo uznać za pełne i ostateczne. Nie chodzi mi tutaj o obiektywizm, bo jest on w takiej sprawie nieosiągalny; chodzi mi o to, że nawet najrzetelniejszemu obserwatorowi trudno jest oddzielić intelektualną fascynację „koniecznością historyczną” od lęku, typowego dla inteligentów, przed pozostaniem na poboczu toru, którym pędzi lokomotywa dziejów, a także od zwyczajnej ambicji, chciwości, od obawy przed osamotnieniem oraz od słodkiego poczucia udziału we władzy.

Myszę, że w wielu opisach dokonywanych wówczas wyborów miesza się walory czy powaby intelektualne marksizmu ze skutecznością środków perswazji działających na rzecz jego przyjmowania. „Środki perswazji” rozumiem tu bardzo szeroko, włączając zarówno nacisk wydarzeń jak i nacisk aparatu nowej władzy; zresztą te dwa rodzaje czynników nie dadzą się rozdzielić. Wbrew temu, co z przesadną dobroliwością pisze ks. prof. Józef Tischner, uważam, że intelektualne danie się uwieść marksizmowi było możliwe tylko, jeżeli się doń podchodziło bezkrytycznie (albo świadomie krytycyzm zawieszało) ignorując dostępne wyposażenie w postaci dotychczasowego dorobku epistemologii, logiki i semiotyki, o historii filozofii nie wspominając. To, co nazywam środkami perswazji – to były owe bodźce przysłaniające krytycyzm.

O sile przyciągania komunizmu i marksizmu zadecydował fakt, że ogólny fizyczny nacisk zwycięskiego systemu i doktryny łączył się z oddziaływaniem wielorakich czynników, spośród których jedne stwarzały pokusy, inne – osłabiały odporność. Zespół ich był duży i różnorodny; wpływały na różne pokolenia, warstwy i grupy społeczne. To pokolenie, które było najbardziej aktywne w konspiracji i poniosło największe straty (spotęgowane antyakowskim terrorem lat 1944–46), najsilniej zapewne odczuło gorycz

daremnej ofiary i klęski. Młodszym od nich ukazano natychmiast możliwość awansu, przede wszystkim politycznego, ale na wsi także społecznego i bytowego. Często też młodszych odczuwała przegraną starszych jako przegraną całej przeszłości, jako wstydliwą klęskę, od której chciała się odciąć. Pokolenia dorosłe były przede wszystkim straszliwie zmęczone, spragnione spokoju i jakiegoś pozornego choćby ładu wokół siebie.

Marksizm kusił znamionami racjonalizmu. Po krwawym okresie złudzeń, namiętności i chaosu wabił nie tylko jasnymi formułami, wyjaśniającymi wszystkie zawiłości historii i szaleństwa zbiorowych zachowań, ale samym ostentacyjnym poleganiem na rozumowej analizie, ujawniającej (podobno) ukryty porządek rzeczy.

L. Kołakowski uważa, że w ówczesnym *akcesie do marksizmu* względy intelektualne nie dawały się oddzielić od politycznych, spośród których wybija wrogość tradycji *klerykalno-bigoteryjno-nacjonalistycznej* w Polsce. I chociaż sam stwierdza, że wymienianie dziś tego motywu *brzmi śmiesznie*, jeśli się zważy, jak komunizm naprawdę wyglądał – apeluje, aby wyboru dokonanego na zasadzie ostrej reakcji na ową szowinistyczną tradycję *nie sprowadzać do głupoty lub moralnie nikczemnych motywacji*⁷. Zgoda – fakt bycia w latach stalinowskich marksistą nie świadczy o nikczemnych pobudkach (zaś bycie antykomunistą nie jest świadectwem rozumu lub szlachtności uczuć). Warto jednak dodać, że składnikiem (często wiodącym do tragedii) doli człowieczej jest, że między zamierzeniem a rezultatem bywa przepaść, a ludzkie motywacje w tak złożonych sytuacjach nigdy nie dają się w pełni ani jednoznacznie ustalić. Te same zda się motywy prowadzić mogą do rozmaitych zachowań: myślę, że socjaliści: Antoni Pajdak, Kazimierz Pużak czy Tadeusz Szturm de Sztrem, więzieni przez rząd komunistyczny, odrzucali tradycje endecko-szowinistyczne co najmniej równie zdecydowanie jak peperowcy – koledzy L. Kołakowskiego. Opowiadanie się za bredniami, chociażby płynęło ze wzniosłych pobudek, może być prawomocnie

⁷ Ks. J. Tischner, *Polski kształt dialogu*, Paryż 1981, s. 24.

⁸ *Marksizm, chrześcijaństwo, totalitaryzm – z Leszkiem Kołakowskim rozmawia Jerzy Turowicz*, „Tygodnik Powszechny”, 1989 nr 7.

nazwane aktem głupoty, aczkolwiek musi świadczyć o braku inteligencji, a tylko o jej uśpieniu. Sam tu zresztą gromadzę coś w rodzaju listy okoliczności łagodzących; chodzi tylko o jasne powiedzenie, że jest co łagodzić.

Andrzej Ajnenkiel, z którym spędziłem rok na wspólnej ławce w Liceum im. Rejtana w Warszawie, tak m.in. wyjaśnia *zafascynowanie marksizmem historyków i większości polskich środowisk intelektualnych: Zdawano sobie sprawę, że istniała obiektywna potrzeba oddania sprawiedliwości grupom społecznym, które do tej pory pozostawały w cieniu*⁹. Lata II wojny światowej były okresem wyraźnego wzrostu wrażliwości na niesprawiedliwość społeczną, dawną i współczesną, obyczajową, prawną i ekonomiczną. Świadczy o tym zawartość prasy podziemnej, świadczy deklaracja władz krajowych z marca 1944 r. „O co walczy naród polski”, świadczy Testament Polski Walczącej (z lipca 1945 r.), zakreślający plan wielkiej przebudowy społeczno-gospodarczej w duchu socjaldemokratycznym. Nawet ludzie nastawieni wrogo do ZSRR i nie mający zaufania do komunistów mogli uważać, że ustrój, w którym przeprowadzono reformę rolną i upaństwowiono wielki przemysł, realizuje postulaty równouprawnienia społecznego i ekonomicznego. Przekonanie, że wielki kapitał międzynarodowy sprzyja prawicy (a więc i faszystom) oraz że pożywką narodowego socjalizmu był kryzys gospodarczy spowodowany przez nieskrępowane działanie żywiołów kapitalizmu, było bardzo rozpowszechnione nie tylko w Polsce. Było to przekonanie zgodne z tezami marksizmu.

Równocześnie wyniszczony przez wojnę kraj poderwał się do odbudowy. Naród polski żył przez kilka lat myślą o przetrwaniu wojny. Wszyscy prawie potracili członków rodzin, domy milionów ludzi uległy zagładzie, przymusowo przesiedlanych, niekiedy parokrotnie, było też wiele milionów. Pragnienie rozpoczęcia życia od nowa, stabilizacji, normalności było po sześciu latach czekania na koniec wojny powszechne; powszechna też radość z osiągnięcia takich, jak odgruzowanie miast, uruchamianie transportu, otwieranie szkół. Odtwarzanie podstaw pokojowej egzystencji nałożyło się na budowanie podstaw nowego ustroju; masowy, po latach okupacyjnej wegetacji, pęd do oświaty i studiów współgrał z hasłami postępu i tworzenia demo-

kratycznej kultury. Podjęcie na nowo normalnego w XX w. procesu uprzemysłowienia i urbanizacji stało się budowaniem gospodarki „socjalistycznej”.

W obliczu klęsk i milionowych strat ludzkich, w obliczu odwrócenia się od nas zachodnich sprzymierzeńców, w obliczu nowych represji i na przekór świadomości nowego poddaństwa wyłaniała się w psychice zbiorowej potężna, witalna potrzeba robienia czegoś pozytywnego. Ówczesni przywódcy partyjno-państwowi potrafili ją wykorzystać. Byli zresztą przeźorni. Z jednej strony stosowali bezwzględny terror, pobudzając tym do rozpaczliwego i beznadziejnego oporu niktające podziemie; z drugiej używali początkowo haseł nie komunizmu, ale demokratycznego frontu ludowego, łączącego wszystkich „antyfaszystów”. Z Kościołem katolickim i w ogóle z religią obchodzono się na razie ostrożnie: w 1946 r. w procesji Bożego Ciała w Łowiczu kard. prymasa Augusta Hlonda prowadzili pod ramiona prezydent KRN-u Bolesław Bierut i minister Obrony Narodowej Michał Rola-Żymierski; wybrany w lutym 1947 r. prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej (jeszcze nie PRL!) Bierut składał przysięgę kończącą się słowami: *Tak mi dopomóż Bóg*. A równocześnie robiono rzeczywiście dużo na polu upowszechniania oświaty i kultury: szczerze subsydiowano teatry; książki stały się tanie, a więc dostępne, polscy pisarze współcześni byli wydawani w nieosiągalnych dotychczas nakładach, od początku też drukowano masowo klasyków polskich i obcych.

Przypominam te znane fakty, aby ukazać w najogólniejszym choćby zarysie ów splot czynników, które wpływały na obniżenie odporności wobec pokusy marksizmu. Do nich wszystkich dochodziły dla intelektualistów dwa potężniejsze a bardziej wstydlive bodźce: strach i ambicja. Strach przed niełaską i biedą, przed utratą posady, wyrzuceniem z mieszkania, więzieniem. Ambicja zrobienia kariery, wykazania się, zabłyśnięcia, górowania nad innymi albo przynajmniej pracy w wybranym zawodzie; trudno ją było (i jest) odgraniczyć od potrzeby sprawdzania własnego

⁹ O *naprawie historii* – z prof. Andrzejem Ajnenkiem, prezesem ZG Polskiego Towarzystwa Historycznego, rozmawia Sławomir Godera, „Przegląd Katolicki”, 23 IV 1989.

talentu, uczestniczenia w życiu zbiorowym – tak oczywistej dla artystów, pisarzy, pedagogów. „Dzienniki” Marii Dąbrowskiej i wyznania Bohdana Korzeniewskiego dostarczają wymownych dowodów na siłę tego syndromu łączącego egocentryzm, a nawet narcyzm z pragnieniem bycia z innymi i potwierdzenia wobec nich własnej wartości.

Strach w obliczu przemocy, ambicje i sytuacja zewnętrzna – wszystko to razem tworzyło dogodne pole dla autoperswazyjnych zabiegów, którym wówczas masowo (i na ogół stopniowo, bo absurdy marksizmu nie od razu stały się natrętne i agresywne) poddawali się polscy intelektualiści¹⁰. Fakt, że w latach czterdziestych i pięćdziesiątych oficjalny komunizm w Polsce nie był (jak w ZSRR) kulturą parweniuszy¹¹, niewątpliwie tym zabiegom sprzyjał. Z różnych powodów, głównie środowiskowych (w przedwojennej KPP dominowała inteligencja polsko-żydowska), sfery partyjno-rządowe promieniowały kulturalnymi ambicjami, a przynajmniej snobizmem. Przyczyniło się to niewątpliwie do traktowania polskich pisarzy i artystów ze znacznie większą tolerancją niż ludzi uprawiających inne zawody; niewielu tylko było więzionych i prześladowanych¹². Już naukowcy traktowani byli trochę surowiej.

Zostanie marksistą pozwalało jednak nie tylko uniknąć obaw i kłopotów, nie tylko umożliwiało pracę w wybranym zawodzie, ale dawało również poczucie udziału we władzy, co łatwo mogło zawrócić w głowach zwłaszcza młodym, przed którymi wówczas szeroko otwarto bramy awansu. To poczucie nie musiało zresztą wynikać z samej możliwości wydawania poleceń innym i dręczenia rozmaitych wrogów klasowych. Mogło przybierać formę bardziej wysublimowaną: świadomości, że oto buduje się Nowy Ład, lepszy i mądrzejszy od dawnego; że dzieje się to w zgodzie z Prawami Historii, ale robię to JA, wpływający własną wolą i wysiłkiem na zmianę kształtu rzeczywistości. Tkwił w tym paradoks, bo marksiści byli przecież deterministami i powtarzali za Majakowskim *jednostka niczym*. Ale jednostka była częścią Partii (*Partia, to ręka milionopalca – w Jedną potężną pięść zaciśnięta* – też Majakowski), a Partia nie tylko miała Rację, ale wszystko mogła. Przecież sam Genialny Nauczyciel i żyjący klasyk powiedział, że *każdy cel może być osiągnięty, każda przeszkoda przezwyciężona*,

jeśli tylko tego dostatecznie mocno chcemy. Nieoceniony Majakowski ujął to dobitniej: Zajeżdżmy kobyłę Historii!

We wszystkich bodaj krajach, gdzie marksiści dochodzili do władzy, pokusa popychania zegara dziejowego okazywała się silniejsza niż wszystkie dogmaty dotyczące związku między rozwojem sił wytwórczych a stosunkami produkcji, itp. Funkcjonowanie tego paradoksu – połączenia skrajnego determinizmu w teorii z rozbuchanym woluntaryzmem w praktyce – tym się zapewne (na boku zostawiając ordynarne motywy polityczne) tłumaczy, że skoro prawa rządzące procesami społecznymi, gospodarczymi, historycznymi, w ogóle wszystkimi procesami zachodzącymi w świecie są (według doktryny) dostępne i nam znane, wytwarza się poczucie panowania nad tymi prawami. Marksista, zwłaszcza młody, mógł się więc czuć zarazem racjonalistą i romantykiem, posiadaczem wiedzy obiektywnej i demiurgiem kształtującym plastyczną rzeczywistość.

5. Takim młodym – a raczej nowo narodzonym (we współczesnym amerykańskim sensie new-born) – marksistą stał się w 1949 r. czterdziestoletni Jerzy Andrzejewski, przed wojną uznawany za czołowego twórcę katolickiego młodego pokolenia, do niedawna pisarz o reputacji moralisty kontynuującego tradycję Josepha Conrada. Drogi jego ewolucji przedstawił przekonująco wieloletni przyjaciel, Cz. Miłosz, w portrecie Alfę w „Zniewolonym umyśle”. Myślę, że można z jego relacji i z lektury ówczesnych pism Andrzejewskiego, takich jak „O człowieku radzieckim” oraz „Partia i twórczość pisarza”, wyprowadzić wniosek, że autora „Popiołu i diamentu” przyciągnęła do marksizmu właśnie wizja bycia demiurgiem tworzącym od nowa świat, zmieniającym przeszłość i przyszłość.

Ale nie tylko to. Miłosz pisze, że Alfą kierował gniew *na to, co przegrało*: na niepodległościowe podziemie, na postawę wierności *nie liczącej się z nikim i niczym*, na dawne struktury polityczne, na powstanie warszawskie. Ową przegraną, niewątpliwą, uznawał widocznie za *powód gorszości*

¹⁰ Pisałem o tym obszerniej w referacie *Autoperswazja jako reakcja intelektualistów na przemoc*, zamieszczonym w mojej książce *Ile jest dróg?* Paryż 1982.

¹¹ Por. L. Kołakowski, dz. cyt., s. 904–906.

¹² Pisze o tym z pasją Jan Walc, *O sposobach użycia nie użytej kultury*, w tomie *40 lat władzy komunistycznej w Polsce*, red. Irena Lasota, Londyn 1986, s. 114–115.

czy fałszywości; był w tym, zgodnie ze swoim zauroczeniem młodością, bardzo młodzieńczy. Ale taka pragmatyczna postawa, utożsamiająca sukces z prawdą czy słuszością, była w tym czasie dość rozpowszechniona; jej ślady łatwo znaleźć u samego Miłosza i to nie tylko w jego kryptonimowych felietonach w krakowskim „Dzienniku Polskim”. To była prosta, praktyczna postać „ukąszenia heglowskiego”, przyjęcia tezy o istnieniu nieubłaganej Logiki Dziejów i tezy o „rozumności” tego co rzeczywiste. Dla ukąszonych najbardziej rzeczywiste było to, co zwyciężało. A przecież ani przesunięcie z instytutów badawczych do łagrów przeciwników teorii Łysenki nie wpłynęło na zaniknięcie praw Mendla, ani podporządkowanie całości życia gospodarczego decyzjom partii nie uczyniło prawdziwą tezę (którą przytaczać musiałem jeszcze podczas egzaminu habilitacyjnego w 1977 r.), że *formacja socjalistyczna stwarza nieograniczone możliwości rozwoju sił wytwórczych*, ani też wymordowanie milionów ludzi, uznanych za przeciwników Świetlanej Przyszłości, nie uczyniło tej przyszłości choćby trochę jaśniejszą.

Kiedy myślę o przemianach Andrzejewskiego, o których Miłosz powiada, że miały *wszelkie cechy nieuchronności*¹³ – nasuwa mi się zestawienie z inną wybitną postacią naszej literatury. Hanna Malewska była od Andrzejewskiego młodsza o niespełna dwa lata. Zabłysnęła dużym talentem już w 1933 r. swoją „Wiosną grecką”. Wyróżniona Nagrodą Młodych Polskiej Akademii Literatury (1937) powieść „Żelazna korona” ustaliła jej reputację wybitnej pisarki katolickiej. Lata wojny spędziła w konspiracji, jako członek AK i wykładowca na podziemnych kompletach; wzięła udział w powstaniu warszawskim. I, nie wycofując się bynajmniej z czynnego życia literackiego, nawet w najtrudniejszych latach – kiedy zarabiała jako archiwistka – nigdy nie uległa pokusie ideowego kompromisu. Patrzyła na historię zarazem jak zawodowy badacz i jak moralista; nie szukała w niej ani praw, ani pocieszenia; znajdowała w niej wzory i przestrogi. Sądzę, że dwie jej książki, „Panowie Leszczyńscy” i „Apokryf rodzinny”, zajmują w historii naszej literatury miejsce pewniejsze niż „Popiół i diament”.

Poświęcony Andrzejewskiemu rozdział sławnej książki Miłosza czytam za każdym razem z tą samą irytacją – tak

wykrzywiony przedstawia obraz kawałka naszej historii. Mniejsza już o nieprecyzyjne dane na temat śmierci Baczyńskiego (który nie zginął strzelając do czołgów), Gajcego i Stroińskiego; ale twierdzenie, że powstanie warszawskie zostało *rozpoczęte na rozkaz rządu emigracyjnego w Londynie* jest fałszem zaczerpniętym z partyjnej propagandy. Karykaturalne są też opinie o *histerii*, która rzekomo zapłonęła w *drugiej połowie wojny* w polskim Podziemiu, i o tym, że wówczas: *Uprawiać konspirację stało się celem samym w sobie*. Opinie te, które pozwalają zrozumieć niepopularność Miłosza wśród polskich emigrantów politycznych w latach pięćdziesiątych, są bardzo znamienym dokumentem chwili: tak sobie uzasadniano ówczesne polityczne opcje. Dodać trzeba jeszcze niezmiernie ważny element – niechęć, a nawet nienawiść do II Rzeczypospolitej. Była to postawa w latach 1945–56 w kręgach literacko-intelektualnych często spotykana; wynikała, jak sądzę, ze splotu przyczyn, od słusznego (a niesłusznie rozciąganego na całą formację historyczną) gniewu na wybryki nacjonalistów przez frustrację ludzi, którzy czuli się wówczas nie docenieni aż po dorabianie motywacji dla własnego pogodzenia się z utratą niepodległości i zniewoleniem ideologicznym. Temat ten zasługuje zresztą na osobne opracowanie¹⁴. Wyznając, że pogardliwe traktowanie Polski Niepodległej odbierałem zawsze jako osobistą przykrość.

6. Przyglądaliśmy się pokusom i środkom odurzającym, które dotyczyły intelektualno-kulturalnej elity. Inny obraz penetracji marksizmu i jej skutków wylania się, gdy zniżymy wzrok do poziomu zwykłych śmiertelników. W Polsce stalinowski marksizm był w czystej formie właściwie zjawiskiem elitarnym, ale przecież docierał do mas, jak żadna przedtem ideologia, jak żadna doktryna filozoficzna; naciśkał na świadomość wszystkich, wpychał się w życie codzienne. Nikt, o ile wiem, nie prowadził – nikt nie mógł prowadzić! – badań nad skutkami tego powszechnego nacisku marksizmu. Moje refleksje, oparte na wspomnieniach, mają z konieczności charakter dość intuicyjny, tyle że

¹³ C. Miłosz, *Zniewolony umysł*, wyd. II, Paryż 1980, s. 111.

¹⁴ Napoczął go D. Kalbarczyk w artykule *Kompostowe pokolenie*, „Res Publica” 1987, nr 2.

oparty na stosunkowo szerokim polu obserwacyjnym: byłem studentem i początkującym naukowcem, ale miałem rodzinne kontakty ze środowiskami i robotniczymi, i wiejskimi, a poza tym w latach 1948–53 uprawiałem namiętnie lekkooatletykę, a więc jeździłem na zawody, obozy kondycyjne itp., obracając się wśród kolegów ze wszystkich sfer społecznych.

Otóż potocznie i szeroko marksizm zaowocował widzeniem świata nie tyle rewolucyjnym, ile pragmatycznym, a mówiąc prościej – postawami przystosowania się do nowej rzeczywistości. Zwycięscy i brutalni (o wywózkach, łagrach, więzieniach, torturach, zabijaniu wiedział każdy, kto nie chciał nie wiedzieć) burzyciele dawnego porządku wykazali, że to przemoc – nie zaś prawo, tradycja, ludzkie pragnienia i przekonania – decyduje o kształcie państwa, formach życia zbiorowego, systemie gospodarczym, własności i sposobach pracy. Wykazali to w majestacie doktryny, która głosiła, że przenika wszystkie tajniki bytu i potrafi zmienić wszystkie aspekty rzeczywistości społecznej. Był to pokaz miażdżącej przeszłość Mocy, jawiącej się w majestacie Teorii.

Reakcją na ten pokaz stał się rozpowszechniony płaski utylitaryzm. Bo skoro skuteczna siła okazała się kryterium słuszności – to trzeba się w codziennym postępowaniu ucześć skuteczności, odrzucając na bok bezużyteczne zasady. Tak to ideologia rewolucyjnego proletariatu wytwarzała żywiołowo postawy drobnomieszczańskiego przystosowania.

Ci, którzy nie stawiali intelektualnego i moralnego oporu, ci, którzy ulegali marksizmowi-nie-dla-elity, przekształcili logikę dziejów w pragmatykę bieżącej koniunktury. Zgodnie z duchem filozofii politycznej Hegla, który państwo uznawał za emanację idealnego Rozumu, przyjmowali narzucony system jako niekwestionowany i racjonalny – bo konieczny. Ale też Hegel, sprowadzony na rządzoną przez komunistów ziemię, udzielał nauk w duchu Hobbesa lekko posmarowanego Benthamem. Umacniała owe nauki obserwacja rozgrywek na partyjnej górze i walki z „odchyleniami”. Dobrze było to co aktualnie skuteczne; nagradzane – to co posłuszne. Teorie walki klas i klasowo determinowanej świadomości, dialektycznej jedności prze-

ciwiciństw, bazy i nadbudowy oraz imperialistycznego zagrożenia okazały się znakomitym uzasadnieniem dla rozkwitu całej gamy postaw oportunistycznych. Usprawiedliwiała – ba, nakazywała – zarówno pokornie podporządkowanie się Górze, czyli płaszczenie się przed silniejszym (a więc mającym rację), jak i włożenie na głowę słabszym (a więc nie nadążającym za postępem). Dlatego to demiurgom na szczytach, takiemu Bermanowi, który świadomie chciał *przestawić naród polski na inne wartości*¹⁵ – odpowiadał na dole ów *raj dla przeciętniaków*, o którym tak celnie pisze Barbara Skarga. Władzę można było zdobyć *za oklaski. Stalinizm przyniósł awans /.../ przede wszystkim społecznej miernocie*¹⁶.

7. Obok produkowania postaw przystosowawczych, które znajdowały w marksizmie dla ubogich uzasadnienie filozoficzne, a więc nie podrywały szacunku, jaki koniunkturalista żywił do samego siebie, innym i chyba ważniejszym skutkiem oddziaływania tej doktryny było wypychanie moralności z dziedziny stosunków międzyludzkich, zwłaszcza zbiorowych.

Skoro życiem społecznym rządzą nieugięte prawa, oparte na procesach ekonomicznych, to dziedzina decyzji i odpowiedzialności moralnej automatycznie kurczy się. Prymitywny kapitalizm uczynił towarem pracę ludzką, a z nią i człowieka, prowadził więc także do wyłączenia części stosunków międzyludzkich ze sfery moralności i przeniesienia jej do sfery ekonomii. Daleko mu było do systematycznej organizacji i nie wiązał się ściśle z władzą państwową. Marksizm poszedł tą drogą znacznie dalej. To co zewnętrznie zdeterminowane, co konieczne nie może przecież podlegać moralnej ocenie; z problemem tym szamotała się etyka marksistowska bezskutecznie, ale i tak jej szamotania nie dochodziły do świadomości zwykłych ludzi. Jeżeli nie stosowało się jakichś kazuistycznych wykrętasów, doktryna prowadziła do prostego wniosku: ci, którzy stoją na pozycjach wstecznych, zasługują na zwalczanie niezależnie od ich osobistych intencji; ci, którzy reprezentują interesy rewolu-

¹⁵ T. Torańska, *Oni*, Londyn 1985, s. 357.

¹⁶ B. Skarga, *Triumf miernoty*, „Przegląd Katolicki”, 15 I 1989; ważna wypowiedź Skargi jest straszliwie pocięta przez cenzurę.

cyjnego proletariatu (tj. partii w danej chwili) są moralnie czyści, nawet jeżeli powodują cierpienie innych. Marksizm, umieszczając swoich wyznawców po stronie bezwzględnej i ponadsobowej słuszności, stawiał ich w istocie poza wyborem moralnym, poza dobrem i złem.

Tak działo się, czy działa mogło, na poziomie częściowo przynajmniej świadomej refleksji. Tendencja do wynoszenia decyzji poza obszar tradycyjnie przyznawany moralności była wspomagana przez czynniki czysto praktyczne, związane z właściwościami systemu totalitarnego. Hannah Arendt ukazała *banalność zła* w totalitaryzmie hitlerowskim; o stalinowskim nie pisano dotychczas w tych kategoriach (choćby wyraził się gdzieś podobnie Gustaw Herling-Grudziński) – a przecież sytuacja jednostek była w nim analogiczna.

Postępowanie człowieka jest tylko w pewnym stopniu – zależnie od wychowania, skłonności i wyczulenia danej osoby – oparte na świadomych ocenach i wyborach moralnych. Większość decyzji jest sprawą obyczaju i rutyny, wynikiem wdrożeń indywidualnych i oczekiwań środowiska. Ale kiedy zniszczeniu ulegają tradycyjne więzi społeczne, kiedy zanikają spontaniczne gesty wyrażające wartościowanie środowiska, a na ich miejsce wchodzi przymus, podporządkowanie i strach – coraz rzadziej pojawia się nie tylko refleksja, ale nawet odruch oparty na przesłankach moralnych. Zastępują je zachowania rutynowe, nakierowane na oczekiwany skutek praktyczny lub reakcję tych, od których jesteśmy zależni. I zachowania te nie są już, w odczuciu działających, ani moralne, ani niemoralne – są poza-moralne. Udziału w „wyborach”, wiwatowania na cześć reprezentantów władzy, należenia do organizacji, których cele są człowiekowi obojętne albo niemiłe (jak TPPR), braku reakcji na kalumnie rzucane na kolegów nie uważa się już za czyny podlegające moralnej ocenie – tak samo, jak nie uważa się za nie wymigiwania się od pracy czy fałszowania sprawozdań. Naukowcy publikujący w okresie stalinowskim oduczyli się szybko rozterek moralnych związanych z cytowaniem klasyków marksizmu, którzy nie w danej materii nie mieli do powiedzenia, albo z obrzędowym powtarzaniem oczekiwanych bzdur. Oportunizm – to niekoniecznie postawa moralna; to poza-moralny bękart utyli-

taryzmu. To zło polegające nie na błędnym wyborze, ale na zapomnieniu, że wybór istnieje i jest dokonywany.

8. Może się wydawać, że odszedłem od zapowiadzanego tematu, którym jest bitwa marksistów o zapanowanie nad umysłami Polaków. Rzecz w tym jednak, że moim zdaniem walki filozoficznej (czy ideologicznej, co w przypadku marksizmu jest równoznaczne) nie można oddzielać od walki psychologicznej i fizycznej. Jeżeli ideologia odnosiła sukcesy, to nie tyle, powtórzmy, dzięki pojęciowemu lotnictwu, ile dzięki zajmującej mieszkania i sklepy piechocie, burzącej osiedla artylerii i saperom stawiającym nowe domy oraz więzienia. Umysły, o które walczone, chodziły na dwóch materialnych nogach i żyły w otoczeniu, nieraz dokuczliwym, innych nie mniej ludzkich dwunogów, których dusze i ciała też były poddawane naciskowi doktryny.

Nie wchodzi w zakres moich rozważań (ani kompetencji) zastanawianie się, w jakim stopniu filozofia marksistowska implikowała stalinowskie wcielenie jej postulatów; odesłać mogę do studium L. Kołakowskiego¹⁷. Sam ograniczę się do tezy prymitywnej i chyba oczywistej: bez marksizmu stalinizm nie byłby możliwy. Ta doktryna ukształtowała ten właśnie rodzaj totalizmu – najbardziej w dziejach okazały – w sposób jedyny i niepowtarzalny. Od niedawna widać już gołym okiem, jak zmienia się (i trywializuje upodabniając do „zwykłej” autokracji) system, z którego wyjęto obowiązującą przedtem marksistowską duszę.

¹⁷ L. Kołakowski, *Marksistowskie korzenie stalinizmu*, w tomie *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Londyn 1982, s. 244–259.

Pour conquérir les esprits

La bataille pour conquérir les esprits, livrée par les communistes après leur prise du pouvoir en Pologne, s'articula autour du problème des sources, du sens et du rôle de la science et du savoir. A l'époque où s'engageait cette bataille, celle d'une âpre confrontation avec les autres courants philosophiques et le christianisme en Europe de l'Est, le marxisme en était

au stade d'une politisation démesurée et dénaturée et en même temps d'une stérilité intellectuelle extrême. Ce qui, néanmoins, faisait la force d'attraction du communisme et du marxisme c'était le fait que la pression physique du système et de la doctrine s'alliait à d'autres facteurs, les uns de subordination, d'autres – de dissuasion.

Rzut oka na Wschód

Janusz Gazda

Ideologia przeciw moralności: w kręgu Pawlika Morozowa (I)

Zbrodnią jest fizyczne unicestwianie ludzi. Nie mniejszą zbrodnią jest czynienie спустoszeń moralnych. Wiele się ostatnio pisze w ZSRR o masowych aresztowaniach, zsyłkach i egzekucjach. Mniej o kataklizmach w sferze ducha. A to właśnie one na kilka dziesięcioleci oddzieliły społeczeństwo radzieckie od demokratycznej części Europy.

Opowiadał mi znajomy, pochodzący z Drohiczyzna na Polesiu, jak po 17 IX 1939 r. tamtejsza ludność zetknęła się po raz pierwszy z nowym systemem wartości moralnych. Zanim zaczęły się masowe aresztowania i zsyłki, władze radzieckie starały się stworzyć wrażenie normalności, zaś część mieszkańców zaczęła już w tę normalność wierzyć. M.in. rozpoczęto zajęcia szkolne i uczniowie szkoły podstawowej, w tym także mój znajomy, otrzymali za darmo nowe podręczniki. Ale wkrótce na jednej z lekcji zaczęli przerabiać czytanke gloryfikującą... 12-letniego chłopaka, który organom bezpieczeństwa wydał własnego ojca, oskarżając go o konszachy z „kułakami“. Chłopak nazywał się Pawlik Morozow.

W domach polskich czytanke wywołała szok. Spodziewano się i bano kolchozów, NKWD, deportacji. Ale wyrodney syn i donosiciel jako bohater do naśladowania i element szkolnego programu wychowawczego – to nie mieściło się w głowie. Zrozumiano, że ingerencja państwa i ideologii może objąć także rodzinę, że zagrożona jest nawet sfera życia duchowego, że system stara się zlikwidować podstawowy imperatyw moralny, zgodnie z którym rodzice miłują swe dzieci, a dzieci rodziców. Mit Pawlika Morozowa był sprzeczny ze świadomością, która brak miłości lub nienawiść pomiędzy rodzicami a dziećmi uznawała za coś nie tylko niemoralnego, ale także przeciwnego naturze.

Syn wydaje własnego ojca. A wkrótce potem Maksym Gorki, pisarz, a więc „sumienie narodu”, powiada na zjeździe literatów w 1934 r.: *Powinniśmy poprosić rząd, aby pozwolił związkowi pisarzy wznieść pomnik bohaterskiego pioniera Pawła Morozowa*¹. Pisarze biją brawo. „Czołobitnia” zostaje przyjęta. Rząd łaskawie zezwala. I rozpoczyna się kult nowego „świętego”, w dodatku – „męczennika”.

Nie dzieje się to bez związku z innymi wydarzeniami. W tym samym roku zostaje uchwalone prawo przewidujące represje za powstrzymanie się od złożenia donosu – donosicielstwo staje się obowiązkowe pod groźbą surowej kary. W rok później wszystkie sankcje kodeksu karnego, w tym także kara śmierci, zostają rozszerzone na 12-letnie dzieci. Dotyczy to również prawa o zdradzie ojczyzny – 12-letnie dzieci, włączone w łańcuch odpowiedzialności zbiorowej, na równi z dorosłymi odpowiadają karnie za nieskładanie donosów. W tym samym mniej więcej czasie Stalin zaczyna się pokazywać z dziećmi na ręku i otrzymuje kolejny przydomek: „Przyjaciół Dzieci”.

Dwie wersje z encyklopedii

W „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej”, w tomie 40. (litera „M”), wydanym w 1938 r., o *bohaterskim pionierze* jeszcze się nie wspomina. Obszerne hasło znajduje się w jej drugim wydaniu, w tomie z 1954 r. Opatrzona jest fotografią: ładny, delikatny chłopiec w marynareczce, białej koszuli z krawatem (być może czerwonym? zdjęcie jest jednak czarno-białe), na głowie czapka jakby mundurowa (wojskowa? szkolna?), wygląda jak aniołek, twarz podłużna, sympatyczna, rozumna, łagodne oczy, regularne rysy, wysokie czoło. Jest to prawdopodobnie zdjęcie poddane zabiegom retuszerskim, bowiem na innej fotografii (z 1930 r.), opublikowanej w tegorocznym numerze miesięcznika „Junost”, Pawlik wygląda zupełnie inaczej: twarz okrągła, nos szeroki, ogólny wyraz pewnej tępoty i zawziętości. Być może w encyklopedii opublikowano zdjęcie kogoś innego.

Hasło brzmi tak: *Morozow Pawlik (Paweł Trofimowicz) (1918–32) – odważny pionier, ofiarnie walczący z kulakami*

¹ Cyt. za: Boris Wasiliew, *Lubi Rossiju w niepogodu*, „Izwestija”, 16 I 1989.

we własnej wsi w okresie kolektywizacji; bestialsko zabity przez kulacką bandę.

Pawlik Morozow urodził się w zapadłej, położonej w tajdze wsi Gierasimowka na Uralu Północnym (obecnie rejon Górno-Tawdyjski w obwodzie Swierdłowskim), w rodzinie biedniackiej. W wiejskiej szkole M. był jednym z najlepszych uczniów i cieszył się zasłużonym autorytetem wśród kolegów. Dużo czytał, nauczył czytać i pisać swoją matkę. Kiedy w szkole utworzono organizację pionierów, M. został wybrany przewodniczącym oddziału. Pionierzy prowadzili aktywną walkę z kulakami. M. zdemaskował własnego ojca, który był w tym czasie (1930) przewodniczącym rady wiejskiej, ale uległ wpływom kulackiej rodziny. Opowiadawszy przewodniczącemu komitetu rejonowego partii o tym, że jego ojciec potajemnie sprzedawał zestanym kulakom fałszywe dokumenty, M. zeznał następnie na procesie swego ojca i potępił go jako zdrajcę. Kiedy kulacy próbowali przeszkodzić w dostawach zboża i namawiali chłopów do ukrywania ziarna, M. zwrócił się do chłopów na ogólnym zebraniu mieszkańców Gierasimowki z apelem o oddanie zboża państwu i wskazał kulaków chowających i niszczących zboże; wspólnie z chłopami-biedniakami brał udział w odbieraniu zboża kulakom. Pionierzy na czele z M. aktywnie pomagali członkom partii w prowadzeniu pracy wyjaśniającej wśród chłopów, występując za zorganizowaniem we wsi kolchozu. Kulacy postanowili się rozprawić z M. 3 września 1932 M. oraz jego młodszy brat zostali zabici w lesie przez bandę kulaków. Zabójcy zostali schwytani i na podstawie wyroku sądowego rozstrzelani.

Bohaterska walka, którą M. prowadził z kulakami, to wzorowy przykład wypełniania pionierskiego obowiązku i oddania sprawy partii komunistycznej! Imię M. zostało nadane kolchozowi zorganizowanemu w Gierasimowce po jego śmierci, a także wielu innym kolchozom, pałacom pionierów i bibliotekom. W Moskwie jego imieniem nazwano Pałac Kultury w dzielnicy Krasnaja Priesnia; tamże w dziecięcym parku jego imienia wzniesiono pomnik M. W 1954 pomnik M. został wzniesiony w jego rodzinnej Gierasimowce².

Tekstu tego hasła nie należy traktować jako zbioru faktów autentycznych (np. matka Pawlika pozostała analfa-

betką, sam Pawlik pisał z trudnością, *oddział pionierów* to zaledwie Pawlik i jego przyjaciel Jasza Judin, który po śmierci Pawlika opuścił pionierską organizację, *banda kulaków* to najbliższa rodzina Pawlika, m.in. babka, dziadek, stryj, brat stryjeczny – zostali oni skazani, ale nie ma pewności, że byli zabójcami)³. Hasło jest nie tyle zapisem prawdziwości, ile kreacją mitu.

W następnym wydaniu „Encyklopedii” (1974 r.)⁴ hasło o Pawliku Morozowie jest trzy razy krótsze. Nie mówi o rozstrzelaniu obwinionych o jego zabójstwo, informuje natomiast o nowym pomniku, wzniesionym w 1957 r. w Swierdłowsku, podaje bibliografię⁵. Ale przede wszystkim nie wspomina się ani słowem, że chłopak wydał własnego ojca. Znickształca się prawdę, wykreśla najistotniejszy element mitu i gloryfikuje się Pawlika Morozowa już tylko za to, że głosił ideę kolektywizacji wsi i *walczył z kulakami* (wówczas to było jeszcze uważane za powód do chwały). Ale niegdyś, przez ponad ćwierć wieku intensywnego funkcjonowania mitu, gdy w każdej szkole obowiązkową lekturą były czytanki o Pawliku, gloryfikowano go przede wszystkim za to, że – jak mówił Gorki – *nie zważając na więzy krwi, odkrył więzy ducha*, co znaczyło, że ponad dotychczasowy, tradycyjny system wartości, ponad miłość synowską do ojca przedłożył nakazy nowej ideologii.

Przymiotnik „socjalistyczny“

Uznanie Pawlika Morozowa za wzorcowego bohatera było ostatnim etapem procesu przedstawiania drogowskazów moralnych. U początku tego procesu odkryjemy próby podważania etosu rodziny podejmowane w całej Europie na długo jeszcze przed rewolucją rosyjską, przede wszystkim

³ *Bolszaja Sowietskaja Enciklopedija*, wyd. II, t. 28, 1954.

⁴ Według: L. Sonin, *Tragedia w uralskiej dieriewnie*, „Ural”, nr 2, 1989; J. Zierczaninow, *Kto przychodził nocą w chudom owczinnom tulupie...*, „Junost”, nr 5, 1989.

⁵ *Bolszaja Sowietskaja Enciklopedija*, wyd. III, t. 16, 1974.

⁶ P. D. Sołomienin, *Pawka-kommunist*, Swierdłowski 1968; E. Smirnow, *Pawlik Morozow*, w zbiorze: *Diety-gieroi*, Moskwa 1961. Encyklopedia nie informuje, że książka Sołomienina po raz pierwszy ukazała się w 1933 r. (pt. *W kulackim gnieździe*), a Smirnowa – w 1938 r. Obie podlegały później przeróbkom. W 1936 r. książkę o Pawliku Morozowie wydał pisarz Aleksander Jakowlew, a w latach 40. – Witalij Gubarić. Książka Gubarićwa miała mnóstwo wydań, ostatnie ukazało się w 1984 r. (!).

przez przedstawicieli lewicy społecznej. Zjawisko było oczywiście dość skomplikowane i niejednoznaczne: zróżnicowane były poglądy i motywy krytyków instytucji rodziny i małżeństwa, które przeżywały autentyczny kryzys. Występowano więc w obronie praw i wolności jednostki ludzkiej, przeciwko związkom sformalizowanym, bez miłości, opartym na różnego rodzaju przymusie.

Krytyka nie zawsze prowadzi do podważania etosu. Jednakże działacze lewicy, którzy, aby podjąć swą działalność, musieli niejednokrotnie zrywać związki z własnymi rodzinami, mieli szczególną łatwość w lekceważeniu więzów rodzinnych, ich trwałości, a także w lekceważeniu wzajemnej odpowiedzialności za siebie poszczególnych partnerów. Niektóre odłamy lewicy prowadziło to do radykalnych wniosków praktycznych. Nie przypadkiem w końcu XIX w. tak charakteryzowała te poglądy „Encyklopedia Kościelna”: *Czasowo, uczą socjaliści, mogą mężczyzna i niewiastę wspólnie ze sobą mieszkać, ale nierozzerwalny związek między nimi musi być wyłączony: mężczyzna każdej chwili może opuścić niewiastę, a niewiasta mężczyznę i oboje mogą swobodnie, idąc za własnym upodobaniem i miłością, wchodzić w nowe związki. /.../ Dzieci, podług socjalistów, nie przez rodziców mają być wychowywane, ale do wychowania mają być powierzone socjalistycznemu państwu*⁶.

Minęło od tej charakterystyki prawie 20 lat, a w Rosji, w historycznym mieście Włodzimierzu, już po zwycięstwie rewolucji bolszewickiej, pojawił się w 1918 r. taki oto dekret lokalnej „władzy radzieckiej”: *Po ukończeniu osiemnastego roku życia każda panna staje się własnością państwa. Każda kobieta, która ukończyła osiemnaście lat, a nie wyszła za mąż, obowiązana jest pod groźbą kary zarejestrować się w biurze wolnej miłości. Osobie zarejestrowanej przysługuje prawo wyboru mężczyzny w wieku od dziewiętnastu do pięćdziesięciu lat jako współmatronka. Prawo wyboru męża lub żony przysługuje chętnym raz w miesiącu. Mężczyznom w wieku od dziewiętnastu do pięćdziesięciu lat przysługuje prawo wyboru zarejestrowanych w biurze kobiet nawet bez ich zgody – w interesie państwa. Dzieci, które przyjdą na świat w takich związkach, stają się własnością republiki*⁷.

Oczywiście „dekret” ten narodził się w wyobraźni prawodawczych samozwańców, niemniej jednak – jak pisze cytuo-

jący go naukowiec radziecki – wyrażał *nastroje pewnych kręgów inteligencji*. Naukowiec ma na myśli jedynie skłonność do *rozprzężenia obyczajowego*, a tymczasem w owym „dekrecie” należałoby przede wszystkim dostrzec typową łatwość, z jaką przychodzi rewolucjonistom łączyć hasła wolnościowe (często zbliżone do nihilizmu) ze skłonnością do stosowania przymusu i rozszerzania uprawnień nowego, „socjalistycznego państwa”.

Zresztą, po pierwszym okresie pewnej swobody obyczajowej w latach dwudziestych (łatwość zawierania małżeństw i otrzymywania rozwodów, zalegalizowanie aborcji) dość szybko wprowadzono w tej dziedzinie przepisy wręcz purytańskie i zaczęto oficjalnie głosić kult rodziny, nie omieszczając jednak dodać, że chodzi o *rodzinę socjalistyczną*. Ów wyróżniający przymiotnik, często używany także w połączeniu z innymi tradycyjnymi pojęciami (jak demokracja, kultura, realizm, moralność, humanizm itd.) i zmieniający ich pierwotną treść aż do jej zaprzeczenia, w tym przypadku oznaczał podważenie etosu rodziny przez podporządkowanie go interesom państwa, ideologii i polityki.

Od Babla do Leonowa

Bohater jednego z opowiadań Izaaka Babla, bolszewik Wasyl Timofiejewicz Kurdiukow, tak pisze o swym ojcu białogwardziście w liście z frontu wojny domowej, adresowanym do matki: *W drugich słowach mojego listu śpieszę napisać mamie względem taty, że tato zarąbał brata Fiodora Timofiejewicza Kurdiukowa, będzie temu z rok czasu. /.../ Przez zdradę wszystkich nas wzięli do niewoli i brat Fiodor Timofiejewicz nawinął się tacie i tatuś zaczęli Fiedkę rżnąć, mówiąc: draniu, psie czerwony, sukinsynie i rozmaicie dorzynali, aż się ściemniło, dopokąd brat Fiodor Timofiejewicz nie skonał. /.../*

Ale jednak Semen Timofiejewicz tatę dostali i zaczęli tatę batożyć i ustawili na dworze wszystkich żołnierzy, jak się należy według wojskowego porządku /.../. I Sieńka spytał Timofiejewa Rodionycza:

– Dobrze wam, tato, w moich rękach?

⁶ *Encyklopedia Kościelna*, t. XXIII, Warszawa 1899, s. 436.

⁷ Cyt. za: Jewgienij Worozekin, *Cepi Gimienieja*, „Sputnik”, nr 1, 1969.

– Nie – odpowiedział tato – źle mi.

Wtedy Sieńka spytał:

– A Fieda, kiedyście go różnęli, dobrze było w waszych rękach?

– Nie – odpowiedział tato – nie myślałem, że mnie tak źle będzie.

Wtedy Sieńka obrócił się do ludzi i powiedział:

– A ja tak myślę, że jeżeli waszym w ręce wpadnę, to nie będzie dla mnie litości. I teraz, tato, my tatę wykończymy.

I Timofiej Rodionycz zaczął nachalnie do Sieńki wyrażać się o mamie i o Najświętszej Paniencie i bić Sieńkę po mordzie i Semen Timofiejewicz wystali mnie ze dwora, tak że nie mogę, droga mamó Jewdokio Fiodorowna, opisać mamie względem tego, jak wykańczali tatę, bo mnie wystuli ze dwora...³

Znakomity pisarz, kronikarz wielkiego nieszczęścia, jakim była rewolucja, opisuje dzikość, straszliwą dzikość, którą ta rewolucja obudziła w ludziach. Spotworniałość opisywanego świata jest odczuwana z dodatkową siłą, ponieważ podziały na „wrogów” i na „swoich” przebiegają wewnątrz jednej rodziny. Ojciec morduje syna, drugi syn morduje ojca, a trzeci, najmłodszy, komunikuje o tym listownie matce. Autor opisuje rozpad etosu rodziny licząc jednocześnie, że w świadomości czytelnika etos ten jest nadal żywy, dzięki czemu będzie możliwy odpowiedni stosunek emocjonalny do opisywanych zdarzeń.

Pojawił się jednak cały cykl utworów o charakterze mitotwórczym – literackich, teatralnych, filmowych – które wyraźnie zmierzały do unicestwienia etosu rodziny na rzecz wartości nadrzędnych, ideologiczno-politycznych. Opiewały one bohaterów, dla których związki rodzinne czy też uczuciowe tracą na znaczeniu w momencie, gdy w grę zaczynają wchodzić różnice ideologiczne. Głosiły te utwory prymat ideologii (a w rezultacie prymat interesów rewolucji, partii, państwa) nad wszystkimi innymi wartościami ludzkimi. Chodziło o to, aby ludzie przestali być wobec siebie lojalni.

W sztuce Konstantego Treniewa „Lubow Jarowaja” (1926 r., od 1949 r. grywana niejednokrotnie na scenach polskich) tytułowa bohaterka, bolszewiczka, ciągle nie może zapomnieć i ciągle obdarza głęboką miłością męża, o którym jest przekonana, że dwa lata temu zginął na fron-

cie niemieckim, ale gdy nieoczekiwanie spotka go i zorientuje się, że jest związany z białymi, po nieudanych próbach przeciągnięcia na stronę bolszewików – wyda go w ręce patrolu czerwonarmistów wiedząc, że jest to równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Lubow Jarowaja wydaje własnego męża wówczas, gdy najbardziej potrzebuje on pomocy, gdy po zajęciu miasteczka przez czerwonych jest ścigany, musi się ukrywać i uciekać w przebraniu. Bardzo to charakterystyczne. Uprzednio bowiem, gdy Lubow została złapana w sztabie białych na szpiegostwie, uratował ją właśnie jej mąż. Nie przemawia to wcale na jego korzyść. W oczach autora i ówczesnych widzów radzieckich chwalebny moralnie (mówiło się wówczas: ideowo-moralnie) jest czyn Luby. Zdała ona ważny egzamin życiowy, gdyż *człowiek radziecki* musi być oddany *sprawie*, bezkompromisowy, bezwzględny i twardy. Tę twardość charakteru najlepiej udowodnić składając w ofierze kogoś najbliższego.

Utwory artystyczne propagują więc zdradę rodziny w interesie państwa. W powieści Leonida Leonowa „Skutarijewski” (1932 r.) stary inteligent, wybitny uczonec, zdradza własnego syna. W filmie Iwana Pyriewa „Legitymacja partyjna” (1936 r.) żona demaskuje męża i wydaje go organom bezpieczeństwa. Nawiasem mówiąc, po latach, w zmienionej sytuacji, w omówieniach tych utworów będzie się dążyło do zatarcia ich prawdziwych treści. Takie fałszerstwa znajdują się nawet w publikacjach wydawanych w Polsce. O sztuce „Lubow Jarowaja” czytamy więc, że jest to *dramat heroiczny ukazujący rewolucję i antyhumanistyczny sens kontrrewolucji poprzez rozpad dawnych stosunków międzyludzkich*; o powieści Leonowa – że autor *na przykładzie historii inteligenta, współpracującego z władzą radziecką, pokazał dramat przełamania dawnych poglądów ideowych i moralnych*; a o filmie Pyriewa (w książce wydanej w 1987 r.!) – że pokazuje *dramat miłości czystej, szlachetnej dziewczyny do wroga podsywającego się pod przodownika pracy*⁹.

⁸ Izaak Babel, *List. Utwory wybrane*, Warszawa 1964, s. 28–32, tłum. Jerzy Pomianowski.

⁹ Cytaty kolejno z: *Słownik pisarzy narodów europejskich ZSRR*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1966, s. 291 i 157; Jelena Bauman, *Rostisław Jurieniew; Mała Encyklopedia Kina Radzieckiego*, WAiF, Warszawa 1987, s. 207.

Te późniejsze interpretacje są oznaką spychania drastycznych problemów w niepamięć, tworzenia – zgodnie z Orwellowskim mechanizmem – nowej historii radzieckiej kultury, a także etyki, złagodzonej i przystosowanej do wymogów nowego czasu. Na poziomie zachowań pojedynczych ludzi wyrażało się to typowym lenistwem umysłowym oraz niechęcią do zgłębiania przeszłości. Pod koniec lat sześćdziesiątych próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie Pawlika Morozowa, pytałem więc o to różnych znajomych w Moskwie. Odpowiedzi były enigmatyczne, chociaż moi rozmówcy przeszli w szkole przez obowiązkowe czytanki o *bohaterskim pionierze*. Opowiadali więc tylko, że podobno (!) w kilku miastach był wzniesiony pomnik Pawlika, że wydano kiedyś znaczki z jego podobizną, ale że w gruncie rzeczy nie jest pewne, czy Pawlik istniał w rzeczywistości, najprawdopodobniej – mówili znajomi – była to postać wymyślona dla celów ideologiczno-wychowawczych. Nie chciało im się nawet sięgnąć do encyklopedii, zdziwieni byli, gdy mówiłem im, że w encyklopedii istnieje odpowiednie hasło. A mity nie przeanalizowane głęboko, nie zrewidowane do końca, mogą bardzo długo funkcjonować w podświadomości społecznej i w dalszym ciągu formować wiele konkretnych ocen moralnych.

„Czterdziesty pierwszy“

Ciekawym przykładem jest opowiadanie Borysa Ławreniewa „Czterdziesty pierwszy“ (1924 r.), napisane dwa lata przed powstaniem sztuki „Lubow Jarowaja“, a następnie dwukrotnie sfilmowane: w 1926 i 1956 r.

Wojna domowa, przez step i piaski Turkiestanu przeźiera się zbrojny oddział czerwonych, a pośród nich prosta dziewczyna, Mariutka, która pisze nieporadne wiersze (*Gdy kozacy się zbliżali – carskie katy-strzelcy, / My kulami ich spotkali, / Czerwonoarmiejcy.*), ale przede wszystkim jest snajperką i z upodobaniem i talentem strzela do białych oficerów. Na kolbie karabinu zakarbowwała już 40 zabitych. Sam wybór takiej właśnie bohaterki świadczy, jak bardzo w owym czasie zaczął się zmieniać etos tamtego społeczeństwa; trudno byłoby w innych literaturach znaleźć utwór,

który opiewałby, w atmosferze całkowitej normalności, kobietę jako „zawodowego łowcę głów”.

Zmieniał się także etos kobiety. Ta, która w tradycyjnych mitologiach dawała radość, wytchnienie, miłość, a nade wszystko – życie, teraz to życie odbierała i przynosiła ŚMIERĆ. Z kart książek, z desek scenicznych i z ekranów znikwały kobiety-kochanki, kobiety-zony, nawet kobiety-matki (wyjątek stanowiły staruszki posiadające dorosłe dzieci), pojawiały się natomiast kobiety-aktorzystki, przodownice pracy, agitatorki, a nawet – snajperki. Nowe stereotypy, powielane na różne sposoby (a także brak kontaktu ze stereotypami innymi) odcisnęły swoje piętno na mentalności kilku pokoleń.

Bohaterka opowiadania Ławreniewa strzelając do swej 41. ofiary spudłowała i w ten sposób jeńcem oddziału czerwonoarmistów został porucznik nazwiskiem Goworucha-Otrok. Wróg, będący jedynie celem karabinowego strzału, z bliska budzi zainteresowanie. A kiedy dzięki różnym zbiegom okoliczności (burza rozbija łódź na jeziorze Aralskim) snajperka i jeńiec znajdują się sami na bezludnej wyspie, zainteresowanie to przemieni się w miłość. Jak pisał polski krytyk literacki: *dwoje ludzi staje wobec sprzeczności między spontaniczną siłą łączącego ich uczucia a rozumowanymi racjami dzielących ich przekonania*¹⁰. Stopniowo to, co dzieli, zaczyna się wydawać mniej istotne, a więzy uczuciowe zyskują trwałą perspektywę. W decydującym jednak momencie, gdy na horyzoncie pojawia się łódź, co zresztą dla rozbitków powinno być zdarzeniem radosnym i oznaczać ratunek, i gdy okazuje się, że jest to łódź należąca do białych, a ukochany Mariutki macha do nich radośnie rękoma – Mariutka wymierza doń z karabinu i strzela. Jest to jej czterdziesty pierwszy śmiertelny strzał. Wolała porucznika zabić, niż miałby on wrócić do szeregów białej gwardii.

Opowiadanie Ławreniewa zostało wówczas przyjęte dość przychylnie, pojawiły się jednak także głosy krytyki, bardzo charakterystyczne. Niektórzy zarzucali autorowi, że *dogadza gustom mieszczańskim*, że zamiast rewolucji droższa jest mu kultura (!), szczególnie zachodnia. Pisano, że Ławreniew

¹⁰ Andrzej Drawicz, *Literatura radziecka 1917–1967*, Warszawa 1968, s. 105.

jest zbyt zafascynowany tym co *ogólnoludzkie* (!), że wykazuje sympatię do wrogów klasowych: białogwardyjski oficer staje się w jego opowiadaniu *równym facetem*¹¹. Pisano też, że *konflikt między Mariutką a Gworuchą-Otrokiem doprowadzony został do abstrakcyjnego zderzenia wrogości i miłości. Przygody na burzliwym jeziorze i na bezludnej wyspie mogłyby zdarzyć się w każdym innym kraju, w innej epoce i w innych okolicznościach*¹².

Podobne głosy pojawiły się w związku z premierą adaptacji filmowej, dokonanej w 1926 r. przez Jakową Protazanowa. Film był szeroko dyskutowany, a wielu ludziom wydawało się czymś ideologicznie nieestosownym pokazywanie na ekranie, jak rewolucjonistka kocha się z białym oficerem. Zastanawiano się poważnie, czy taka miłość jest w ogóle możliwa; chwalać końcowy gest bohaterki (strzał do kochanka) ganiono Mariutkę za wcześniejsze chwile słabości i utratę rewolucyjnej bezkompromisowości. Podczas dyskusji w Towarzystwie Przyjaciół Filmu Radzieckiego jeden z dyskutantów oskarżał bohaterkę „Czterdziestego pierwszego” o to, że *zamieniała bolszewizm na białogwardzistę*, a inny krytykował twórców, ponieważ *teza filmu głosi, że człowiek zawsze pozostaje człowiekiem, a raczej – zwierzęciem. Tymczasem walka jeszcze się nie skończyła. I odwracanie uwagi sztuki filmowej od spraw społecznych na rzecz fizjologii jest obecnie szkodliwe*¹³. Tak pisano w połowie lat dwudziestych.

Nowy „Czterdziesty pierwszy”

Ale po 30 latach, w dobie Chruszczowskiej odwilży, gdy nową wersję filmową zrealizował Grigorij Czuchraj, pojawiły się znów podobne oceny. Wspomina o nich nauczyciel Czuchraja, reżyser Michaił Romm: *Już na radzie artystycznej Mosfilmu wielu znanych mistrzów – reżyserzy, operatorzy, scenarzyści – ostro protestowało przeciwko realizacji. Przecież w filmie tym – mówili doświadczeni mistrzowie – wszystkie elementy są niesłuszne pod względem ideowym: bohater i bohaterka zostali odizolowani od społeczeństwa, przebywają na pustynnej wyspie; bohaterka zakochuje się w białym oficerze, we wrogu; mało tego, zabiwszy go, z okrzykiem rozpaczry rzuca mu się na piersi, ujawniając pełną*

*niedojrzałość ideową. Zamiast głębokiego, ideowego rozstrzygnięcia problemu mamy tu dylemat moralno-etyczny, w dodatku nieprawidłowo postawiony – twierdzili oponenti*¹⁴.

Oczywiście, nie tego rodzaju głosy przeważały. Film cieszył się dużym powodzeniem i uznaniem (otrzymał nawet jedną z najważniejszych nagród – Nagrodę Leninowską). Ale gdy przegląda się opinie jego entuzjastów, uderzająca jest ich zbieżność – w sprawach podstawowych – z opiniami przeciwników. Jednych i drugich łączy ten sam system wartości, którego bronią. Apologetą tego systemu pozostaje także Czuchraj.

Opowiadanie powstało zaledwie 7 lat po rewolucji, a Borys Ławrieniew debiutował jeszcze w 1911 r., był więc człowiekiem ukształtowanym w innych czasach i pod wpływem innego etosu. Patrzył więc na swoją bohaterkę z dystansu, jakby patrzył na dość osobliwe stworzenie, posługiwał się także dystansującą stylistyką i kompozycją. Niezbyt długie opowiadanie zostało podzielone na rozdziałiki o bardzo długich tytułach, a ostatni z nich brzmiał: *ROZDZIAŁ DZIESIĄTY, w którym porucznik Goworucha Otrok słyszy huk rozpadającej się planety, a autor zrzuca z siebie odpowiedzialność za rozwiązanie opowieści. Ten huk rozpadającej się planety to był śmiercionośny strzał Mariutki i metafora ta miała sens moralny*.

U Ławrieniewa w ostatniej scenie Mariutka zachowuje się *jak spłoszona kokoszka, nie wiedząc co czyni, jak w malignie, kierując się pod wpływem przypomnianych słów dowódcy podświadomymi odruchami: Uchylił się rąbek pamięci, jak olśniewająca błyskawica zajaśniał obraz: łód... błękit wody... twarz Jewsiukowa... i... „gdybyście przypadkiem wpadli na białych, nie oddaj go żywcem”. Jęknęła, przygryzła wargi i porwała opuszczony karabin. W chwilę po strzale zrozpaczona żałować będzie swego czynu, padnie na ciało zabitego ze słowami: Co ja zrobiłam... Zbudź się, mój najdroższy, błękitnooki!*

Czuchraj urodził się już po rewolucji. Ukształtowały go inne czasy i inny etos. Dlatego zupełnie inaczej wygląda to

¹⁴ „Picczat’ i riewolucija”, Moskwa 1927, nr 8, s. 100.

¹² „Na literaturnym postu”, Moskwa 1929, nr 8, s. 30.

¹³ „Kino”, Moskwa, 12 III 1927.

¹⁴ Referat Michaiła Romma o problemach twórczej pracy Mosfilmu w 1956 r., „Sowietskij Film”, 11 IV 1957.

wszystko w jego filmie. Nie ma tu tonu dystansującego, na wydarzenia patrzymy oczyma czerwonoarmistów, kamera identyfikuje się z główną bohaterką. Ostatni strzał nie jest wynikiem działania podświadomego, odruchowego, bohaterka nie wypowiada słów: *Co ja zrobiłam...* Wprawdzie rozpacza nad zwłokami mężczyzny, ale nie oznacza to wcale, że żałuje swego czynu. Jej płacz to tylko wyraz bólu z powodu poniesionej ofiary, która była jednak KONIECZNA. Radziecki historyk filmu napisze więc, że Mariutka wypełniła swój *rewolucyjny obowiązek*¹⁵. A przecież film Czuchraja miał być przejawem odnowy politycznej i moralnej. Okazuje się, że trudno było wyzwolić się spod działania systemu wartości ukształtowanego przez długie, długie lata pod wpływem mitologii Pawlika Morozowa i postaci jemu podobnych.

Dlatego jeszcze ponad 10 lat po premierze, w tekście entuzjasty filmu, przeczytamy o mężczyźnie, który pozostał wierny miłości, ale nie chciał przejść na stronę bolszewików, że nie zdał *egzaminu miłości, próby człowieczeństwa, wytrzymaniałości moralnej*, że okazał się *człowiekiem wyczerpanym z ideałów i wiary*. A o kobiecie, która go zabiła, napisze się z dumą, że w *swjej miłości, która wzbogaca ją duchowo, czyni bardziej poetyczną, subtelniejszą, Mariutka pozostaje nadal człowiekiem wiernym rewolucji*. Wierność rewolucji jako najwyższy wymiar człowieczeństwa! Dlatego też napisze się także, iż *czterdziesty pierwszy strzał Mariutki to świadectwo męstwa duchowego i siły woli bohaterki. Jeżeli można było złożyć w ofierze taką miłość, to istotnie ideały, w imię których to się stało, są wielkie i święte*¹⁶.

Nawet w Polsce pisano o filmie „Czterdziesty pierwszy”, że jest on odpowiednikiem klasycznej tragedii, a jego bohaterkę określano mianem *radzieckiej Antygony*. Niestosowność takiego porównania nie polega jedynie na tym, że Antygona stojąc przed koniecznością wyboru między obowiązkiem wobec państwa (upostaciowanego w osobie władcy) a obowiązkiem wobec rodziny i tradycji wybrała to drugie. Tragizm Antygony był tragizmem wyboru, ale Antygona mogła wybrać między dwiema ewentualnościami. Żadna z tych ewentualności nie oznaczała przy tym odebrania komuś życia – Antygona skazywała na śmierć jedynie samą siebie. Mariutka, choć stawiała wobec ewentualności poz-

bawienia życia innego człowieka, w interpretacji radzieckiej wolnego, indywidualnego wyboru nie miała. MUSIAŁA postąpić tak, jak postąpiła.

*Dla Czuchraja, oczywiście, było z góry rzeczą jasną, co przeważa – pisała w monografii reżysera Neja Zorkaja, skądinąd uważana za krytyka filmowego bardzo subtelny i otwarty. – Było to jasne także dla Mariutki. Strzał w „czterdziestego pierwszego”, jako nieuniknione i jedyne wyjście, kładł kres miłości Mariutki i co do jego wyższej sprawiedliwości ani przez chwilę nie zwątpili ani bohaterka, ani pisarz, ani scenarzyści, ani reżyser filmu*¹⁷.

Taka ocena podobnych zachowań ludzkich długo będzie obowiązywać w oficjalnej humanistyce radzieckiej. Mariutka strzelała do swego kochanka, ponieważ wyznawała zasadę prymatu rewolucji nad innymi wartościami; z tego samego powodu Lubow Jarowaja wydawała własnego męża, a Pawlik Morozow – ojca. Przebieg radzieckich dyskusji „odnowicielskich” zaczętych pod koniec lat pięćdziesiątych dowodzi, że łatwiej zdobyć się na potępienie masowych aresztowań, zsyłek i egzekucji niż na rezygnację z zasady prymatu rewolucji.

¹⁵ *Istorija Sowietского Kino*, praca zbiorowa, Moskwa 1969, s. 365.

¹⁶ Wydawany w jęz. polskim miesięcznik „Literatura Radziecka”, Moskwa 1968, nr 11, s. 158.

¹⁷ N. Zorkaja, *Portriety*, Moskwa 1961, s. 261.

L'idéologie contre la morale: dans l'univers de Pavlik Morozov

Le titre de héros soviétique modèle décerné à un pionnier de 12 ans, Pavlik Morozov (1918–1932) qui dénonça son propre père aux agents de sécurité, l'accusant de connivence avec les koulaks, consacra la remise en question de l'ethos familial par sa soumission aux intérêts de l'Etat, à l'idéologie et à la politique. De nombreuses œuvres littéraires, pièces de théâtre et

films se sont employés à prêcher la prééminence de l'idéologie sur les valeurs humaines. Les vicissitudes du débat soviétique „rénovateur” de la fin des années cinquante ont prouvé qu'il était plus aisé de condamner les arrestations, les déportations et les exécutions massives que de renoncer au principe de la prééminence de la révolution.

My i oni

Z Wojciechem Wasiutyńskim rozmawia Michał Jagiełło

– Na użytek czytelników niezbyt dobrze znających Pana życiorys, pozwolę sobie przypomnieć: **WOJCIECH WASIUTYŃSKI** – wybitny publicysta, pisarz i polityk związany ze Stronnictwem Narodowym, w młodości współpracownik „Prosto z Mostu” i jedna z ważniejszych postaci ONR-Falanga. Od wojny poza krajem. Od wielu lat w USA.

Próbował Pan łączyć ideę narodową, i to w jej ostrej formie, ze świadomością wyznawanym katolicyzmem. Nie było to wolne od pułapek. Nie ma przecież przypadku w tym, że zerwał Pan, jeszcze przed wojną, polityczną współpracę z Bolesławem Piaseckim. W swym „Czwartym pokoleniu”, znanym we fragmentach w kraju także pod tytułem „Rozważania o nacjonalizmie” (Gdańsk 1981, drugi obieg), pisząc o tamtych latach stwierdził Pan: „Na pewno wiele metod, wiele wydarzeń nie zasługuje na usprawiedliwienie. Wielu narodowców-katolików miało wtedy zasadnicze wątpliwości. Pamiętać tylko trzeba, jak skomplikowana moralnie była cała sytuacja, zwłaszcza dla człowieka młodego, poczuwającego się do obowiązku skutecznego działania”. I dalej: „W jednym szczególnie punkcie działalność większości narodowców była niezgodna z etyką chrześcijańską, ale o to właśnie w tamtych latach miano do nich najmniej stosunkowo pretensji, a mianowicie w szerzeniu nienawiści do Żydów”.

Jest Pan jednym z nielicznych narodowców mówiących tak otwarcie o tych sprawach. Powiem od razu, że chociaż niektóre z Pana argumentów uzasadniających – do pewnego stopnia! – niechętny stosunek wielu Polaków do Żydów nie przemawiają do mnie, to wzbudza mój szacunek Pana zdolność do rzetelnego mówienia o „grzechu nienawiści” – jak to zostało sformułowane w szkicu pt. „O grzechu przeciw narodowi wybranemu” („Znaki Czasu” 4/1987). Oto zakończenie tego tekstu: „Nie chcę tu wchodzić w niezdrową spekulację, kogo mamy prawo nienawidzić i za co, a kto nas ma prawo nienawidzić i za co. Nie chodzi tu o sprawiedliwość history-

czną, ale o grzech nienawiści, który na chwilę daje siłę, a na stałe rozkłada.

Biskupi polscy w historycznym liście zwrócili się do Niemców: «Przebaczamy i prosimy o przebaczenie». Nikt z polskiej strony tak nie zwrócił się do Żydów. Dlaczego?»

Czy zechciałby Pan skomentować te zdania?

– Poruszył Pan niezmiernie szeroki temat akcentując jego stronę moralną, właśnie o niej mówiłem w cytowanym artykule ze „Znaków Czasu”. Ale może zaczniemy od początku. Dla człowieka dzisiejszego, dla młodych pokoleń w ogóle niezrozumiała jest sytuacja, jaka panowała pod tym względem przed wojną, gdzie wprawdzie było tylko 10% ludności żydowskiej wśród obywateli, ale ludność ta stanowiła mniej więcej 1/3 mieszkańców dużych miast i bodaj czy nie większość w małych miasteczkach. Blisko połowa rzemiosła była w rękach żydowskich, a także większość handlu, nie mówiąc już o wolnych zawodach i sferze kultury, że wspomnę domy wydawnicze czy film. Jednym słowem – Polakom ówczesnym wydawało się, że stoją przed poważnym zagrożeniem, że o losach narodu polskiego może zacząć decydować elita obywateli nie-Polaków. Ludzi tych posądzano, że będą usiłovali kierować polskim społeczeństwem w swoich celach. Ile w tym było materialnej prawdy, a ile złudzeń, podrażnień, napięć, trudno jest w tej chwili powiedzieć. Warto by to kiedyś spokojnie przestudiować... W każdym razie, wracam do sytuacji z lat trzydziestych, u dużej części Polaków żywe było przeświadczenie o tzw. niebezpieczeństwie żydowskim jako realnym zagrożeniu przyszłości narodu polskiego. I na tym tle wyrastały, nazwijmy to – rozmaite zboczenia; na tym tle wyrastała cała ta konstrukcja myślowa, którą określa się mianem „spiskowa wizja historii”. Z Żydami w roli głównej.

– Jedni demonizowali Żydów i masonów, inni w roli tej obsadzali jezuitów.

– Właśnie. Nie zapominajmy o atmosferze panującej wtedy w Europie. Dodam też, że te negatywne wobec Żydów uczucia nie były całkiem jednostronne. Wśród sporej części Żydów polskich były nastroje nie tyle może antypolskie, ile niechętnie tej rzeczywistości, w której żyli. Było tam wiele niechęci do Polaków w ogóle; nie brakowało także pogardy,

np. w stosunku do chłopów. I nawzajem. Prawdą jest, że Polacy Żydom krzywdy nie robili, że im dali gościnę przez wieki, ale jest także prawda, że traktowali ich wzgardliwie.

– *Określenie „Żydek”, tak popularne, wiele tu mówi.*

– Oczywiście. Nasz stosunek do Żydów bywał nie tylko lekceważący, ale także poniżający ich godność. To jest jedna z przyczyn, dla których Żydzi emigrując z Polski wynosili złe wspomnienia.

Takie było, najkrócej mówiąc, podłoże napięć polsko-żydowskich. Dramatyczność całej tej sprawy polegała na tym, że przed wojną nikt nie umiał wskazać rozwiązania „kwestii żydowskiej”. Sami syjoniści nie wierzyli w możliwość masowej emigracji Żydów z Polski. Z drugiej strony pleniły się mrzonki typu przeniesienia części Żydów na Madagaskar! Nic dziwnego, że w atmosferze ogólnej niemożności rozwiązania problemu pojawiały się koncepty skrajne, których ilustracją może być właśnie Falanga, w której byłem przez parę lat. Pomysły te były na pewno niezgodne z prawdziwym duchem chrześcijańskim. Ale wtedy wydawało się, że nie ma innego wyjścia. Dotyczyło to nie tylko młodych z radykalnego skrzydła ruchu narodowego. Byli przecież i tacy, i to także wśród duchowieństwa, którzy głosili potrzebę katolickiej monoideowości państwa i używania brachium saeculare, czyli „świeckiego ramienia” w służbie Kościoła.

– *Wystarczy poczytać „Prosto z Mostu”, aby mieć pojęcie o tych pomysłach.*

– Nie powinno się jednak owych pomysłów odrywać od tła, co nie znaczy, że mamy rezygnować z krytycznego spojrzenia na nie. Cytowałem kiedyś Czechosłowację jako przykład; w Czechach – gdzie nieliczni Żydzi żyli w rozproszeniu w różnych działach gospodarki i życia publicznego – nie było antagonizmu etnicznego, choć można było propagować doktrynę antysemitki. Na Słowacji – gdzie była masa żydowska odróżniająca się językiem, obyczajem i religią – istniał antagonizm etniczny, choćby nikt nie propagował antysemityzmu. Wytwarzało się to, co Anglicy nazywali w koloniach „communal question”. Polska była krajem największego zasiedlenia żydowskiego i najostrzejszego antagonizmu etnicznego.

Alc jeśli ktoś w tej chwili usiłuje skoncentrować się na tzw. kwestii żydowskiej, jeśli tłumaczy np. wszelkie polskie kłopoty żydowskim spiskiem – to jest to mania. Oczywiście Żydzi w świecie mają wielkie wpływy i jest bardzo interesujące obserwowanie, powiedzmy, jak odbijają się stosunki polsko-żydowskie, dawne i późniejsze, na opinii amerykańskiej, ale to nie jest wielkie zagadnienie społeczno-polityczne w Polsce. Takiego zagadnienia nie ma. I dlatego koncentrowanie się na „kwestii żydowskiej” w myśleniu politycznym w kraju jest dziwactwem – delikatnie mówiąc. Z drugiej strony na pograniczu dziwactwa umieszczam stanowisko, które przyznaje Żydom naturalną wyższość. To znaczy, że stosunek do Żydów jest normą wartości moralnych, że Żydzi, nasi starsi bracia, są właściwie bliżej Boga niż chrześcijanie... I jeżeli ktoś jest w jakiejś konkretnej sprawie przeciwko jakiemuś ściśle określonemu odłamowi Żydów, to tym samym jest człowiekiem złym. To jest też stanowisko maniackie, będące jakby odwrótnością pierwszego z opisanych przed chwilą. Stanowisko to również nie jest związane z rzeczywistym życiem polskim. Jeśli warto wracać do „kwestii żydowskiej”, to tylko z obowiązku rozliczania się z własną historią.

– *I tu pojawia się wymiar moralny tego rozliczenia?*

– Tak. Osobiście wyciągam taką naukę z analizy tego, czego byłem świadkiem – a w drobnej części i uczestnikiem – w ciągu swego życia: szalenie niebezpieczne jest szerzenie nienawiści w życiu społecznym. Niezależnie, czy będzie to nienawiść narodowościowa, rasowa czy klasowa – zawsze one, w ostatecznym rozrachunku, bardziej rozkładają nienawidzonego niż tego, który jest nienawidzony. Wyraziłem kiedyś żal, i nadal go odczuwam, że w młodości przyłożyłem rękę do szerzenia nienawiści do Żydów, bez względu na to, czy i na ile miałem rację w przeciwstawianiu się wpływom żydowskim w Polsce.

– *Część historyków, a zaliczyć można tu także Adama Michnika, wysuwa tezę o łagodzącym wpływie katolicyzmu na polski nacjonalizm. Przypominałem sobie o tym teraz, gdy przygotowując się do tego spotkania sięgnąłem do „Przeglądu Powszechnego” z 1937 r., w którym opublikował Pan ważny artykuł pt. „Dynamizm katolicki młodego pokolenia”. Arty-*

kuł ten mógłby stanowić dobry punkt wyjścia nie do jednej, ale do paru rozmów. Moglibyśmy, jak sądzę, porozmawiać np. o pułapkach czekających na młodego człowieka, którego opętał diabełek aktywności i skuteczności. Sądzę zresztą nie- skromnie, że i ja miałbym Panu coś do powiedzenia. Można też ów artykuł potraktować jako świadectwo rozdarcia między wartościami zakodowanymi w zawołaniu „Polak-katolik” a wartościami uniwersalnymi tkwiącymi w samym jądrze wyznawanej religii. Podejrzewam zresztą, że Pana hasłem jest raczej „katolik-Polak”... Ale można również – i to właśnie proponuję – zastanowić się nad różnicami między „starymi” narodowcami a „młodymi”. Czy nie było tak, że ci pierwsi traktowali katolicyzm raczej jako element gry politycznej, wy natomiast traktowaliście wiarę na serio, jako niezbywalny składnik narodowego i zarazem katolickiego światopoglądu? Oni byli dość często obojętni religijnie (należeli wszak do pokolenia pozytywistycznego), wy zaś byliście szczerymi, a nierzadko i żarliwymi katolikami. Ale uzasadnione jest twierdzenie, że wasza żarliwość miała i niedobłą stronę – dość łatwo wpadaliście w fanatyzm i w totalitaryzm. Wasz „katolicyzm integralny” był niebezpiecznie zbliżony do praktyk narodowo-katolicko-totalitarnych. Nawet przecież kard. Aleksander Kakowski ostrzegał was przy okazji głośnej i ważnej skądinąd pielgrzymki na Jasną Górę: „Niektórzy chcieliby z Waszych ślubowań uczynić narzędzie dla innych celów /.../ Religia traktowana jako narzędzie do akcji politycznej traci na swoich walorach i zamiast pożytku może wyrządzić społeczeństwu krzywdę.

– Nie można powiedzieć, że wśród „starych” przeważali ludzie indyferentni religijnie. Przeważnie byli oni z tradycji, sympatii i nawet zwyczaju katolikami. Faktem jest natomiast, że nie próbowali oni tworzyć doktryny łączącej katolicyzm z nacjonalizmem. Dopiero Piasecki w tzw. zielonym programie przekroczył ten próg próbując skodyfikować katolicki totalizm nacjonalistyczny czy totalistyczny nacjonalizm katolicki – jak kto chce. Program ten zaczynał się od twierdzenia, że Bóg jest najwyższym celem człowieka.

– *A nie naród, jak to wcześniej formułowano.*

– Ale zaraz też napisał, że drogą człowieka do Boga jest praca dla narodu, czyli prawie przekreślił inne drogi prowa-

dzące do Boga. Ja się dość gwałtownie sprzeciwiałem temu punktowi – jako niezgodnemu z moim rozumieniem chrześcijaństwa – potem został on nieco zmodyfikowany, ale pozostała mimo wszystko wyraźna tendencja, żeby „zrobić totalizm“, choć nieco złagodzony przez religię.

I to była różnica między „starymi“ a „młodymi“. Zresztą to, o czym mówię, nie objęło wszystkich młodych. Ta jedyna w historii ruchu narodowego próba stworzenia doktryny totalizmu bazującego na religii objęła wąskie grono.

– *A jakie były powody Pańskiego rozstania się z Piaseckim?*

– Było ich wiele. Na pewno wpłynęła na to moja pierwsza podróż na Zachód. Tam, w Szwajcarii, zobaczyłem, że demokracja może działać. Ja przedtem we Wschodniej i Środkowej Europie nie widziałem działającej demokracji.

– *Demokracja nie miała wtedy dobrej prasy.*

– Było powszechne przeświadczenie, że jest w głębokim kryzysie, jeśli nie w upadku. Przecież na wschód od Niemiec nie było demokracji! Poza Czechosłowacją, ale tam też była to demokracja swoista; wszystkie powiaty graniczne objęte były stanem wyjątkowym, a te powiaty graniczne stanowiły – przy wydłużonym kształcie tego państwa – większość jego terytorium. Wszędzie, od Finlandii po Rumunię, panowała taka czy inna forma jakiejś dyktatury wojskowej, królewskiej, partyjnej etc. A w Szwajcarii zobaczyłem, że obywatel może kontrolować rząd i swoje państwo. To było dla mnie ważne i trwałe odkrycie.

Po drugie, wróciłem z przeświadczeniem, że czeka nas w bardzo krótkim czasie rozprawa z Niemcami, w związku z czym doszedłem do przekonania, że w Polsce nie ma czasu ani miejsca na jakąś „rewolucję narodową“ – jak się wtedy mówiło – nie ma w ogóle miejsca ani czasu na ruchy typu faszyzującego, bo teraz będziemy się bronili przed faszyzmem niemieckim w oparciu o demokracje zachodnie. W końcu 1938 r. miałem już pełną świadomość położenia Polski. Usiłowałem to wy tłumaczyć Piaseckiemu. Nie trafiło mu to do przekonania; a może miał po prostu już inne plany? Nie wiem, dość, że na tym tle rozstaliśmy się.

– *Jak Pan doskonale wie, w kraju odżywa zainteresowanie myślą narodową. Działalność Aleksandra Halla i środowisk*

wywodzących się z Ruchu Młodej Polski przynosi już owoce. Powiem od razu, że uważam to przypominanie roli narodowców w rozbudzaniu np. wsi polskiej czy przypominanie wkładu Romana Dmowskiego w budowanie zrębów Niepodległej za godne uznania. Tak samo jak oddawanie sprawiedliwości ludziom, którzy po godnie i często wręcz bohatersko przeżytej wojnie i okupacji znaleźli się pod podwójną presją: tępieni przez stalinowski aparat terroru i opluwani przez rodzimą lewicę. W efekcie narodowcy zostali siłą pozbawieni głosu. Było to sztuczne eliminowanie tego nurtu z polskiego życia publicznego, tak jak nienormalne było wymazywanie postaci Józefa Piłsudskiego. Uniemożliwiała to spokojną wymianę poglądów na temat zasług i pomyłek ruchu narodowego.

W książce „Źródła niepodległości” (Londyn 1977) mówi Pan, że poczucie krzywdy społecznej jest zazwyczaj główną pożywką dla socjalizmu, zaś poczucie zagrożenia tożsamości narodowej – dla nacjonalizmu. Stawia Pan w związku z tym tezę, że „na dłuższy czas Europa Środkowo-Wschodnia, a w szczególności Polska, będzie obszarem silnie nacjonalistycznym a słabo socjalistycznym /.../”. Głównym czynnikiem wzmacniającym ten nacjonalizm (a konieczne jest tu wtrącenie, że Pana „nacjonalizm” nie jest tożsamy z szowinizmem) jest powszechne w Polsce poczucie uzależnienia od ZSRR.

W rozważaniach pt. „O program większości” (Londyn 1986) apeluje Pan, mimo wszystko, o kompromis między NAMI i NIMI. Konieczny jest – powiada Pan – „proces narastania zaufania” między Polakami i Rosjanami. Pojawia się więc pewna koncepcja „polityki polskiej” nawiązująca do myśli narodowców, w której tak ważne miejsce zajmowała geopolityka i w ogóle myślenie o polityce w kategoriach pragmatycznych, a nie li tylko życzeniowych.

Jak Pan widzi szansę tego rodzaju „polityki polskiej”? Jaki powinien być – w dobie zachodzących w ZSRR zmian – nasz stosunek do Ukraińców, Białorusinów i Litwinów?

– Zacznę od sprawy nacjonalizmu i socjalizmu. Ja tak sobie ustawiłem te dwa przeciwstawne ruchy, bo uważałem, że tak ukształtała się i właściwie nadal ukształta się historia najnowsza. Zresztą, że nacjonalizm jest silniejszy od socjalizmu w Europie Środkowej, na to mamy świeże przykłady – coż stało się z socjalizmem jako ideą w ostatnich paru

latach! Zostały po prostu jakieś strzępy, podczas gdy nastroje narodowe czy narodowo-patriotyczne są bardzo silne; wystarczy powołać się choćby na fenomen „Solidarności“, która była cała naładowana duchem narodowej tożsamości i dążenia do niepodległości.

Nie wiemy, jak daleko pójdą zmiany w ZSRR, ale nie ma chyba wątpliwości, że wywierają one korzystny wpływ na zmianę stosunków obowiązujących dotychczas w Europie Środkowo-Wschodniej. Kończy się stalinizm. Nie można już wrócić – tak przynajmniej na zdrowy rozum można sądzić – do dyktowania tzw. krajom demokracji ludowej warunków bytu zaprogramowanych w Moskwie. To nie znaczy, że Moskwa zrezygnowała z wywierania wpływu na swych „sojuszników“ (czy jak to zwać), ale musi już subtelniej dobierać metody wywierania nacisku, aby zachować swą przewagę w tym rejonie.

Zmienia to dość znacznie sytuację Polski. I dlatego postawiłem tezę o konieczności dziejowego kompromisu. To nie jest propozycja jakiegoś układu z Rosją, to jest tylko wyłożenie warunków, w których może się odbyć zasadnicza zmiana stosunków między NAMI I NIMI. Wymaga to ze strony polskiej dużego wyrzeczenia, ale wyrzeczenia tęsknot, a nie czegoś, co realnie istnieje. Nie wolno nam tkwić w niewoli dawnych wyobrażeń. Inna była nasza sytuacja w roku, powiedzmy, 1914 czy 1919, kiedy to toczyły się u nas wewnętrzne dyskusje co do przyszłości ziem wschodnich inna jest dzisiaj. Wtedy znaczna część ziemi między Bugiem a Dnieprem była w rękach polskich, polskie gazety ukazywały się w Kijowie i Wilnie, bo były to miasta albo w liczącej się części polskie, jak Wilno, albo zamieszkanе przez silną mniejszość polską, z polskimi szkołami i teatrami, jak w Kijowie. Polacy byli mniejszością, z którą musiano się liczyć, były to bowiem środowiska z górnych warstw społecznych. Później elity te zostały w ten czy w inny sposób zniszczone. Polacy nadal są na tamtych ziemiach, ale znajdują się w mniejszości, w dolnych warstwach tamtego społeczeństwa i nie posiadają już dawnych wpływów. Musimy więc trzeźwo oceniać swoje szanse. Musimy dbać o tamtejszych Polaków, wspierać ich związki z Macierzą, ale nie wolno ulegać mrzonkom, że tereny te znajdują się w naszej strefie wpływów.

Teraz dopiero dochodzę do naszego stosunku do Ukrainy, Białorusi i Litwy. Pisałem już o tym, ale powtórzę: szanuję prawa każdego narodu do niepodległości, do posiadania własnego państwa, nawet jeśli ten naród nie jest jeszcze w sensie politycznym dojrzały. Ale nie zgadzam się, aby z tego czynić misję dziejową Polski. Nie wolno poświęcać trwałych i długofalowych interesów Polski dla innego narodu, choćby ten naród był narodem dzielnym, mądrym i sympatycznym. Uważam, że trzeba przyjąć zasadę: w żaden sposób nie będziemy krępować w Polsce rozwoju kulturalnego Białorusinów, Ukraińców, Litwinów, ale żądamy ze swej strony również swobody kulturalnej dla Polaków w tamtych krajach.

Wszystko inne to mrzonka! Nawet gdyby miał się rozpaść Związek Radziecki, to my nie wrócimy na tamte ziemie. Lwów jest w tej chwili centralnym punktem nacjonalizmu ukraińskiego, Wilno jest w zdecydowanej większości litewskie i tych faktów nie odwrócimy. Takie są realia. Innymi słowy: nie mamy w tej chwili z tymi trzema narodami konfliktu granicznego (pomijając niepoważne głosy żądające Łomży dla Litwinów a Muszyny dla Ukraińców), życzymy im jak najlepiej, ale nie możemy się pakować w popieranie ich działalności przeciwko Rosji, dlatego że my sami musimy mieć pewną swobodę działania na przyszłość. Zmienia się przecież sytuacja w Europie. Po raz pierwszy na tak dużą skalę zarysował się konflikt amerykańsko-niemiecki, przy czym Anglia popiera Stany Zjednoczone, zaś kontynentalni sojusznicy Ameryki popierają RFN. Jest to spór o kształt polityki wschodniej świata zachodniego. Jedni liczą na korzyści, jakie może im dać handel ze Wschodem – za cenę rozbrojenia, drudzy boją się osłabienia militarnego Zachodu. To może nie jest zagadnienie na jutro ani na rok przyszły, ale trzeba zdawać sobie sprawę, że powstaje nowa konfiguracja w Europie, w której Niemcy stają się nie tylko najsilniejszym gospodarczo elementem jednoczącej się i wzrastającej w potęgę Europy Zachodniej, ale także głównym motorem nowej polityki wschodniej. To właśnie Niemcy mają znajomość ziem Europy Środkowej i Wschodniej, oni jedni mają jakąś gospodarczą wizję, co z tym wszystkim zrobić, i oni jedni zdolni są zgromadzić środki na działania w tym kierunku.

– *Tyle razy byliśmy straszeni niemieckim zagrożeniem, że niechętnie słuchamy tego typu ostrzeżeń.*

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale to nie zwalnia nas z obowiązku myślenia chłodnego, z poszanowaniem realiów świata, w którym żyjemy. Powiadam – musimy pozostawić sobie pole manewru. A jeśli będziemy głosili potrzebę rozbicia ZSRR, a szczególnie jeśli będziemy gardłować o niepodległość Ukrainy, tym samym ustawimy się przeciwko Rosji. Ze wszystkimi tego skutkami! Ustawiając się w roli najzaciętszego wroga Rosji stajemy się tym samym bezbronni wobec jakiegś akcji niemieckiej. A możemy spowodować układ niemiecko-rosyjski przeciw nam. Nie myślę tu o zbrojnym najeździe niemieckim, ale raczej o szeroko zakrojonej i bardzo skutecznej akcji gospodarczo-kulturalnej sprowadzającej nas do roli kraju poddanego Niemcom.

– *Czy nie przemawia przez Pana stara niechęć narodowców do idei konfederacyjnej Piłsudskiego i tzw. akcji prometejskiej, popularnej w niektórych kręgach polskiego wywiadu, a obliczonej na rozsądzanie od środka Wielkiego Sąsiada?*

– Proszę nie wywoływać tych tematów, bo nigdy nie skończymy naszej rozmowy. Powiem tylko tyle: to nie zadawniona niechęć, ale trzeźwe myślenie o naszych szansach i zagrożeniach w najbliższych dziesięcioleciach. Tendencje „prometejskie“, które do dziś pokutują, są nie tylko echem przeszłości; są one także swego rodzaju produktem nienormalnej sytuacji, w jakiej żyje naród. Jeśli przez ponad 40 lat ludzie nie mogli wypowiadać się politycznie, to nie dziwne, że gdy otwiera się taka możliwość, mimo woli wracają do dyskusji przerwanych przed pół wiekiem. Zresztą, u nas nurt myślenia dosłownie politycznego jest ubogi. Zaslugą narodowej demokracji jest na pewno stworzenie konsekwentnego systemu politycznego myślenia o Polsce. Byli wcześniej stańczycy, ale to inna historia.

Wracając natomiast do Piłsudskiego; uderza mnie, że komuniści poparli – tak gorliwie – kult tej postaci. Zastanawiam się nawet, czy nie zaczęli już siodłać jakiegś kasztanki dla nowego wodza, skracając strzemiona dla mniejszego jeźdźcy. To niespodziewane uznanie dla człowieka, który dowodził wygraną przez Polskę wojną z Rosją, jest zastanawiające.

– Jak to zwykle bywa, nie ma w tym głębszej myśli, jest tylko reakcja na potrzeby chwili. Władza stara się uzyskać choćby częściową legitymizację przez odwoływanie się do każdego, kto cieszy się uznaniem rodaków. Najchętniej Piłsudskiego, Dmowskiego i Witosa (a raczej jakieś ich kadłubki) posadzono by zgodnie przy „okrągłym stole“, oczywiście po stronie koalicyjno-rządowej. Znacznie jednak ciekawsza od relacji władza – społeczeństwo jest relacja opozycja – władza. Pytanie o stopień i formy współpracy opozycji z władzą urasta dziś do pierwszorzędnych. Pozwoli Pan, że w tym kontekście znów posłużę się fragmentami Jego tekstów. Oto one: „Nie należy marnować rzeczy niedoskonałych dla niepewnej wizji doskonalszych. Sztuka polityczna polega na tym, by zachować, co się ma i w oparciu o to posuwać się naprzód“. I jeszcze: „Powiedziano, że jest sto rodzajów zawistości, ale niezawistość jest tylko jedna. Powiedzenie nie tylko efektowne, ale i w zasadzie słuszne. Niezawistość jest tylko jedna. Ale można się do niej przybliżać lub od niej oddalać“. Jest Pan też zdania, że „w Polsce zawsze potrzebna będzie ostrożność polityczna i istnienie jakiegoś stałego forum wewnętrznego zaufania“. Uważa Pan, że ta władza jak i szeroko rozumiana opozycja powinny przestrzegać pewnej konwencji, uzgodnionych wcześniej reguł gry.

Jak Pan widzi polskie nadzieje, a może i złudzenia, uosabiane głównie przez „Solidarność“ właśnie dziś?

– Tematyka jest tak szeroka, że będę mógł na nią tylko częściowo odpowiedzieć. Wydarzenia Sierpnia '80 i powstanie „Solidarności“ były autentycznym, rzeczywistym wybuchem typu rewolucyjnego. Była to imponująca swą siłą i swą jednolitością, zaskakująca cały świat „rewolucja“ – brak słowa oddającego specyfikę tego ruchu. Słabą jego stroną było to, że nie towarzyszyła mu spójna myśl polityczna. Wszystko odbywało się drogą reakcji uczuciowych w aurze podniosłego nastroju i mistycznego niemal przeświadczenia, że Opatrzność nad nami czuwa.

– Słuszna sprawa musi zwyciężyć. Ten pewnik stał się niemal kategorią polityczną.

– Właśnie to moralne stanowisko było bardzo silne, natomiast brakowało przemyślenia politycznego. A jak to jest dzisiaj? Uważam wynik „okrągłego stołu“ za postęp. To

nie jest jeszcze demokracja, to nie jest jeszcze niepodległość, ale to jest już coś! Więcej swobody jest przy dwóch partiach niż przy jednej. Mniej mi się podoba, że ta druga „partia” jest za bardzo podobna do pierwszej. Ubolewam, że nie stworzono namiastki koalicji ugrupowań opozycyjnych – a są one różnej barwy i to jest wreszcie sytuacja normalna! – lecz poprzestano na skupieniu wokół Lecha Wałęsy grupy jego doradców i zdeklarowanych sympatyków. Bo to przecież nie jest regularne przedstawicielstwo wyłonione w drodze demokratycznej przez „Solidarność”...

– *Nie było praktycznie czasu na zastosowanie tej procedury. Władza parta do jak najszybszych wyborów – i miała w tym swoje wyliczenie. Czy Komitet Obywatelski miał tu jakieś pole manewru? Wydaje się, że bardzo ograniczone.*

– Lech Wałęsa powiedział: Nie było czasu na demokrację, więc ja decyduję. Ale to nie jest właściwa droga do demokracji. To nieraz mówią dyktatorzy.

– *Mnie też to niepokoi. Praktyka uczy, że jeśli raz odstąpi się od zasad demokratycznych, to nie jest łatwo wprowadzić je w terminie późniejszym. Zawsze znajdzie się uzasadnienie do „zwierania szeregów”. Faktem jest jednak, że obecne wybory są bardziej plebiscytem niż prawdziwymi wyborami – tak się ułożyła sytuacja i to ona narzuca mało demokratyczny styl obecnej kampanii. Plebiscyt ma swoje prawa! Faktem też jest, że Lech Wałęsa ma autentyczne poparcie znacznej części narodu i wielu z nas na ten jeden jedyny raz oddaje mu część swej wolności.*

– To osobne zagadnienie. Wracam do przerwanego wątku: „okrągły stół” i czerwcowe wybory stanowią pewne otwarcie. Jeśli nie nastąpi jakieś polityczne załamanie, czy to na tle katastrofy gospodarczej, czy ostrej reakcji wewnątrz obozu rządzącego, to przez najbliższych parę lat będziemy mieli atmosferę względnej wolności politycznej, która przyniesie rozwój organizacji społecznych, a także jednoznacznie politycznych. Czyli za kilka lat może już być blisko prawdziwej wolności.

– *Obie strony, władza i opozycja, musiałyby szanować uzgodnione reguły gry. Problem polega na tym, że przy „okrągłym stole” zawarto taktyczne porozumienie, które nie jest tożsame z rzeczywistym uzgodnieniem rzetelnych reguł*

gry. Mówiąc wprost: jedna strona chce „złapać oddech” i liczy, że znaczna część opozycji pomoże jej modyfikować tzw. realny socjalizm, druga zaś, mając za sobą poparcie większości rodaków, chce zmiany ustroju. Być może zdecydowane przejście władzy ku ustrojowi socjaldemokratycznemu, w stylu zachodnich demokracji parlamentarnych, stworzyłoby szansę na wyklarowanie się tej jednej, nadrzędnej w stosunku do wszystkich podmiotów życia politycznego konwencji. Być może dopiero wtedy byłaby możliwa „polityka polska” – dążenie do jasno wytkniętego celu różnymi drogami. Władza nie ma takiego celu. A jeśli jakieś izolowane grupki po stronie obozu rządzącego mają taką właśnie wizję Polski, to boją się ją ujawniać. Chyba żeby Moskwa dała sygnał, że pieriestrojka i na to zezwala.

Zgadzam się jednak z Panem, że pewne minimum zgody narodowej jest dla nas nieodzowne.

– W Polsce nie ma właściwie w ogóle prawa. Wszystko odbywa się albo drogą nakazu, albo przetargu; nikt się nie przejmuje trwałym prawem. Na każdym kroku widać, jak bardzo zostało rozchwiane poczucie prawne społeczeństwa. Rozchwiane przede wszystkim przez władzę, która prawo nie tylko łamie, ale zmienia i traktuje jako coś chwilowego. To jest duże niebezpieczeństwo, że wszystkie umowy mogą być łamane!

– Proponuję, aby na zakończenie tej rozmowy powrócić do spadku po endecji. Nie trzeba już chyba dziś nikogo przekonywać, że warto kontynuować pewien nurt racjonalnego myślenia o Polsce postrzeganej nie w kategoriach romantyczno-mesjańskich, ale naprawdę politycznych – a to właśnie starali się rodakom zaszcześcić narodowcy. Równocześnie jednak tak trzeźwo potrafiący myśleć narodowcy sami grali na instynktach mas, podsycając stereotypy. Jest to jakieś błędne koło. Endecja, tak zaśluzona w dziele scalania narodu (nie jest to tylko jej zasługa; wymienić tu trzeba Kościół, ruch ludowy i socjalistów niepodległościowych), równocześnie wyzwoliła, skodyfikowała i niemal usankcjonowała cechy mniej budujące: niechęć a często wręcz wrogość do „innych”, uraz do liberalizmu pod każdą postacią, spiskową koncepcję dziejów, aberracyjny „judeocentryzm” etc. W moim pojęciu jesteśmy wciąż (a mówię o milionach Polaków) we władaniu myślenia

narodowo-autorytarnego i gdyby w tej chwili przeprowadzić wolne wybory, górę wzięłaby jakaś partia narodowa szermująca plemiennością i nadużywająca religii katolickiej. Boję się tych tendencji. Uważam zresztą, że pewien zaskorupały nacjonalistyczny gorset będzie utrudniać nasze dobijanie się do demokracji i mądrego pluralizmu. Tak samo jak, z drugiej strony, krępuje wielu z nas (a znów mam na myśli miliony!) to wszystko, co niesie z sobą życie w „realnym socjalizmie”. I nie idzie tu tylko o widoczne gołym okiem efekty gospodarcze, ale o zainfekowanie specyficznym „leninowskim” sposobem rozumowania.

– To mi przypomniało, że Falanga interesowała się taktyką bolszewicką, a jeden z naszego grona powtarzał, że „Bolek ma leninowski łeb”.

– *Interesujące. Potwierdza to dodatkowo moją tezę, że zniszczenia, jakie spowodował w Polakach komunizm w wydaniu bolszewickim, są większe, niż to się na ogół wydaje. Konieczne jest zatem rozliczenie się ze spadku po nacjonalizmie i konieczne jest zdarcie tej drugiej, jakże groźnej naleciałości. Uważam, że trzeba budować nowe porozumienie tych wszystkich, którzy są przeciwko totalizmowi pochodzenia nacjonalistycznego i tych, którzy są przeciwko wszelkim formom totalizmu i kolektywizmu marksistowsko-leninowskiego. Ani „lewica”, ani „prawica”, ani „Polak-katolik” nie opisują dziś rzeczywistych podziałów w polskim społeczeństwie. Potrzebny jest nowy kompromis „narodowców” z „liberałami”.*

Pisał Pan kiedyś, że u nas kompromis kojarzy się z kompcją. Chodzi więc o to, aby było to porozumienie męskie, nie zacierające różnic tych dwóch nurtów, ale eliminujące bezsensowną stratę energii. Dziś bowiem nadal jedni muszą bronić się przed zarzutem szowinizmu i narodowego a zarazem katolickiego totalizmu, drudzy wciąż traktowani są podejrzliwie jako „dzieci Marksa”, „bezpartyjni bolszewicy” nie rozumiejący – rzekomo – polskich interesów narodowych.

Przepraszam za ten wykład, ale rozmowa z Panem jest dla mnie także okazją do rozmowy z samym sobą. A to powoduje, że nie potrafię trudnych zagadnień zamknąć w jedno zgrabne zdanko.

- Zacznę od przypomnienia, że dopóki ruch narodowy ograniczał się do ugrupowań elitarnych, dopóty nie można go było posądzać o szowinizm. Liga narodowa wolna była przecież od tej przypadłości. Z chwilą gdy narodowcy stali się ruchem masowym, zaczęli ulegać tym typowym polskim nieufnościom do wszystkiego co obce, co nie jest polskie. Ale trzeba też pamiętać, że tego rodzaju nastroje istnieją w każdym narodzie. Nawet społeczeństwo tak zasadniczo liberalne i pluralistyczne, jak amerykańskie, nie jest wolne od uprzedzeń. Wielu przecież w USA jest takich, którzy wierzą w spisek antyamerykański, za jego narzędzie uważając ONZ. Znajdziemy tego przykłady we Francji i we Włoszech... Jest to, rzecz można, nieuniknione w każdym narodzie, tak jak mocno zakorzeniona jest nieufność wieśniaka do „pana z miasta“ etc. Rzecz w tym, żeby ruch narodowy przetwarzał te tendencje na pozytywną i twórczą odrębność narodową, a nie wygrywał ich demagogicznie. Brać można wzór z „Myśli nowoczesnego Polaka“ Dmowskiego.

- *A jak Pan komentuje to, co wydarzyło się 4 czerwca?*

- Wyniki wyborów potwierdzają to, o czym mówiliśmy... Ogromna większość Polaków wypowiedziała się przeciw rządzącej partii i całemu systemowi, a otworzyła kredyt Wałęsie i jego Komitetowi. Przyszłość zależy w dużej mierze od tego, czy oni ten kredyt należycie wyzyskają.

- *Dziękuję Panu za rozmowę.*

Warszawa, maj/czerwiec 1989 r.



Stanisław Czapiewski SJ

Przez zakratowane okienka

Wspomnienia syberyjskie (II)

Filozofia głodu

Na następnych stronicach moich wspomnień poświęcam niewspółmiernie wiele miejsca kwestii głodu. Chciałbym tego uniknąć, lecz powiem otwarcie, że nie miałbym o czym pisać, gdybym musiał potraktować tę najstraszniejszą bolączkę krótko, jak na ascetę przystoi. Czytelnicy nie zrozumieliby tragedii niewolników sowieckich.

Istotnie, najważniejszym zadaniem dnia każdego obywatela sowieckiego, a w wyższym jeszcze stopniu każdego więźnia, jest jedzenie. Toteż nikogo nie zdziwi, że wśród tych ostatnich będzie wzrastał egoizm dochodzący niejednokrotnie do kradzieży koledze kromki chleba, w której on widzi jedyną nadzieję przetrwania. Nikogo nie zdziwi, że rozwinie się jakaś dziwaczna filozofia głodu, która ujmie każde zagadnienie jedynie z tego punktu widzenia. Na razie ten narastający materializm nie zaprzecza jeszcze duchowości człowieka, lecz staje tylko w obronie zagrożonego życia. Dlatego „grzeczny” duch ustępuje praktycznie na drugi plan. Człowiek syty nie pojmie tej filozofii.

System bolszewicki w zastosowaniu do milionów więźniów godzi brutalnie w sam instynkt życia, dlatego człowiek pod wpływem terroru głodowego, chcąc się ocalić, staje się na ogół biernym narzędziem w rękach ciemnicy. Od kuli ginie się momentalnie, w głodzie człowiek męczy się długo, przechodząc przymusową deprawację czasem aż do zezwierzęcenia. Nie poddają się jedynie duchy niesłychanie mocne... Wszelkie elementy nieprawomyślne poddaje się w Rosji kuracji głodowej. Bolszewicy znaleźli drogę okrężną do rozumu... ucieleśniając stare przysłowie, najpierw żyć, a później filozofować. W takim systemie człowiek staje się niesłychanie prymitywny i nic poza jedzeniem nie widzi.

Nasze racje głodowe przedstawiały się następująco: kategoria pierwsza, czyli ci, co wyrobili nawet 50 procent przepisanej normy, otrzymywali rano 350 do 400 g chleba, miseczkę zupy i kawałek ryby. Na kolację znowu taką samą miseczkę zupy, bez żadnych dodatków. Ludzie tej kategorii tworzyli dość pokaźną grupę. Druga kategoria, czyli ci, co osiągnęli 75 procent normy, otrzymywała 450 do 500 g chleba, miseczkę zupy i kawałek ryby, a na kolację znowu miseczkę zupy i nieco gęstej kaszy. Do tej grupy należała bezwzględnie większość więźniów w naszym obozie. Trzecia kategoria to ci, którzy wyrobili sto procent normy. Oni otrzymywali na śniadanie 700 g chleba, miseczkę zupy i kawałek ryby, a na kolację to samo co inne kategorie. Do tej grupy należało nie więcej jak 15 procent. Czwarta kategoria to „stachanowcy“, którzy przekroczyli normę. Otrzymywali oni lepsze śniadanie, 1 kg chleba i większy kawałek ryby, a na kolację dodatkowo kawałek chleba i nieco mięsa. Pomiędzy omówionymi kategoriami były jeszcze różne stopnie pośrednie.

Chleb był ciemny jak smoła i wilgotny, toteż niewielka ilość przypadła na 1 kg... Zupa z biegiem czasu stawała się coraz rzadsza, a w ostatnich miesiącach naszego pobytu w obozie była to po prostu kleista woda, w której pływało trochę ziarenek kaszy. To jednak można tłumaczyć skutkami wojny z Niemcami. W początkach trafiał się w zupie kawałeczki mięsa niewiadomego pochodzenia, ale nikt tego nie analizował, dziękując Bogu, że jeszcze żyje.

Droga na teren pracy była na ogół ciężka, prowadziła bowiem często przez błota i wyboje. Trzeba było często maszerować około 8 km w jedną stronę, nic więc dziwnego, że już od samego rana odczuwało się dokuczliwy głód spotęgowany pytaniem: Co będzie na obiad? Wprowadzie w rozkładzie dnia figuruje godzinna przerwa obiadowa, ale niewielu ludzi miało dość silną wolę, aby zachować choć skórke chleba na tę porę. Łatwo więc sobie wyobrazić, jak wyczerpani wracali ci ludzie wieczorem do obozu. Jedynym ich marzeniem było dorwać się jak najprędzej do miski zupy, aby zaspokoić pierwszy głód.

Oto codzienny obrazek z kolacji. Izba jadalna, mogąca pomieścić z trudem sto osób, musi nakarmić połowę stanu obozu, toteż robi się niesłychany ścisk. Brygady robocze

stoją przy okienku czekając na swoją kolejkę. Gdy przypadkiem w tłoku ktoś drugiego potrącił i wylał mu zupę, poszkodowany nie otrzymał drugiej porcji. Stąd awantury, przekleństwa, histeria.

Miski są obtłuczone, ordynarne. W krajach zachodnich karmi się w lepszych zwierzęta domowe. Głodny człowiek na to nie zważa, nie wzgardzi nawet kostką czy główką rybią w zupie. Nienasyconym wzrokiem wodzi po dali, choć wie, że już więcej nie dostanie. A może jednak będzie „repeta”? A więc po kolacji czeka jeszcze sporo czasu na „dobawku”.

Widziałem straszniejsze obrazy. Oto ktoś w ciemnościach wsuwa się pod stół i z brudnej podłogi zbiera łyżką rozlaną kolację, zjadając ją ze smakiem... „Stachanowcy”, w naszym więziennym języku wariaci, rzuca czasem obgryzioną kość pod stół. Ktoś głodny jak szakał podnosi ją dyskretnie i łapczywie chrupie. W tych obrazach jest coś odrażającego – coś, na co i litość nie jest właściwym wyrazem. Do takiego poniżenia godności ludzkiej prowadzi głód. Na poziomie trzymała się elita duchowa, gotowa raczej umrzeć, niż tak się upodlić.

Litwini przyjechali na Syberię na ogół dość dobrze zaopatrzeni w słoninę i cukier. Zresztą wyglądali tego i zdrowo. Ale w naszych niezmiennie trudnych warunkach zapasy wyczerpały się bardzo szybko, a o otrzymywaniu paczek od rodzin nie było nawet mowy. Wtedy byliśmy świadkami przerażającej katastrofy, której ofiarą padali właśnie ci ostatni. Polacy, oswojeni z tragedią wrześniową, byli już trochę zahartowani na nędzę obozową.

Dziwna rzecz, że właśnie w nędzy i głodzie tak strasznie chce się palić – rzekomo dla uspokojenia nerwów. W początkach nie brakowało nam papierosów, bo każdy zaopatrzył się przed aresztowaniem. Zresztą można było kupić w kantynie pociągowej pyszne „Kiszeniewy”, zrabowane przez bolszewików po przyłączeniu Besarabii do Związku Radzieckiego. Rychło jednak ten luksus się skończył. Papierosy przez pewien czas posiadali spekulanci, którzy przewidując krytyczną sytuację zaopatrzyli się w nie obficie, by później żerować na ludzkich namiętnościach. Zdawałoby się, że w skrajnej nędzy nie będzie miejsca na wzajemny wyzysk. Chleb i papierosy rządziły życiem obozowym, jak złoto na giełdzie.

Palacz miał zawsze dużo przyjaciół, proszących choćby o kilka dymków obiecując uroczyście oddać przy najbliższej okazji. U niektórych ludzi papieros wszedł do systemu filozofii głodu i namiętnego palacza do tego stopnia ogłupiał, że ten sprzedawał nawet część swojego „chleba powszedniego” za nędznego papierosa z machorki w gazecie. Przykro było patrzeć, jak ludzie, ledwo włączający nogami, uganiali się za podłą machorką kosztem zdrowia i życia. Nie można było ich przekonać, że popełniają swego rodzaju samobójstwo. Twierdzili, że ich to koi i łagodzi mękę głodu. Dziwna mentalność tych powoli konających staruszków: ni panowie, ni żebracy – chyba jacyś obłąkańcy. Niestety, większość z nich zmarła dość wcześnie z wycieńczenia.

Obrazki z dna nędzy

Wczesnym rankiem o godz. 5., bez względu na porę roku, budzi więźniów donośny gong. Wstawać, wstawać! – rozlega się równocześnie we wszystkich barakach. Po nędznym śniadaniu odbywa się zbiórka i sprawdzanie stanu brygad roboczych z udziałem komendanta i jego licznych pomocników. Przy tej porannej „prowierce” rozgrywały się niejednokrotnie smutne sceny, które zobaczymy później. Wyjście do pracy i powrót był zawsze połączony z osobistą rewizją. – Przy bramie otrzymujemy „aniołów stróżów”, czyli konwojentów, którzy zaczynają swoją funkcję sakralną formułką, jakby porannym pacierzem: *Nie wolno rozmawiać, nie wolno wydalać się ze szeregu, a gdyby ktoś próbował uciekać użyję broni bez uprzedzenia!* Wiele zależy od tego, jacy dziś będą konwojenci: czy podróż będzie spokojna, jak pójść do pracy i czy w przerwie można będzie upitrasić coś do jedzenia. Po tym ważnym akcie uzbrajają nas w narzędzia do pracy. Każdy dostaje najmniej dwa narzędzia: siekierę i piłę. W pierwszych chwilach marszu zazwyczaj panuje milczenie. Każdy próbuje w skupieniu zmówić swoje poranne paciorki, aby ten nowy dzionek minął szybko i szczęśliwie. Gdy trafił się wyrozumiały konwojent, ludzie rozmawiali, politykowali i pocieszali się wzajemnie.

Często kusila czerwona jagoda uśmiechając się do biednego więźnia. Próby zerwania jej były powodem krzyków, grózb i przekleństw. Zapada więc znowu głucho milczenie

spotęgowane męczącą wędrówką. Minał pogodny nastrój, a biedacy trawia wewnętrzny ból. Ciągłe podlegani na nowo jak otwartą ranę. *Dlaczego muszę w dziurawych butach iść koniecznie środkiem drogi, gdzie jest moc wybojów i straszliwe błoto?* Wyczuwa się złośliwą odpowiedź: bo ja tak chcę, bo musisz, ty burżu! *Czemu musimy się tak spieszyć, gdy ten czy inny kolega ledwo rusza nogami?* – tu już nie głos wewnętrzny, ale „strełok” odpowiada: *Zdychaj nędzny psie... ty taki owaki!* – *Dlaczego* – ktoś pyta odważnie – *nie mamy ani jednego dnia wolnego? Skonamy ze zmęczenia...* – Ten upiorny głos znowu się odzywa: dotychczas próżnowałeś – teraz pracuj aż do skonań!

Takie pytania i dialogi mnożyły się bez końca i tak wbiły się swym żądłem w serce, że niejeden z nas stał się wreszcie obojętny na wszystko jak trup. Opanowała bierność i rezygnacja. Czasem aż zęby dygotały ze złości i pięści kurczyły się odruchowo. Wtedy człowiek był gotów niszczyć wszystko, jak rozkapryszony dzieciak. Zdeptałby nawet te młode szczenięta, które radośnie za nami biegną do lasu. Niech jeszcze rosną... przydadzą się później!...

To były chwile rozgoryczenia za krzywdę wyrządzoną złośliwie i programowo, w imię zasad komunistycznych – za krzywdę wyrządzoną milionom jednostek i rodzin. To uczucie jest straszne i tak diabelsko-ludzkie, że nie wahałbym się powiedzieć, iż przeżyliśmy odrobinę piekła. Poczucie krzywdy i bezsilności potrafi ukoić jedynie głęboka wiara religijna.

Praca w lesie nieco uspokajała wewnętrzne wzburzenie, lecz do wieczora jeszcze wiele będzie dręczących momentów. Znajdujemy się 9 km od obozu. Godz. 7, słońce już zachodzi. Zanim wyjdziemy z lasu na polanę, gdzie musi się odbyć zbiórka brygad, upłynie jeszcze pół godziny, więc o której staniemy za ogrodzeniem? Z drugiej strony ludzie zmęczeni i apatyczni powiadają: Po co spieszyć? Padniemy z wycieńczenia. Zdrowsi zaś, którym się spieszy do domu, odpowiadają: Weźmiemy was pod ramię i pomożemy do wlec się do baraków. Takie rozwiązanie sprawy byłoby jeszcze koleżeńskie. Ale człowiek rzeczywiście pada ze zmęczenia. Cała brygada musi się zatrzymać, gdy tymczasem strażnik łaje „Łazarza” i szturchańcami cuci resztę energii. W rezultacie robimy prymitywne nosze i na własnych bar-

kach transportujemy do obozu wątłe czy nawet gasnące życie. Takich wypadków widziałem około 10. Do domu dowieczemy się na god. 9.30. Byle prędzej, by coś zjeść!

To jeszcze nie koniec dziennej udręki, bo po kolacji musimy się wszyscy zebrać na dziedzińcu celem dokonania wieczornego apelu. Ta nużąca formalność trwa dość długo. Przeliczanie bywało połączone z rozkazem na dzień następny, w którym przeznaczano teren i rodzaj pracy poszczególnym brygadam. Przy tej okazji ogłaszano wszelkie przegrupowania, udzielano pochwały czy nagany, a często odczytywano wyroki śmierci rejonowej komendy „Oddzielenia”. Ogłaszano również nazwiska zmarłych kolegów. Wbrew woli komendy czciliśmy ich pamięć zdjęciem czapek i minutowym milczeniem.

Byliśmy naprawdę biedni, gdy czasem obliczenia nie zgadzały się ze stanem faktycznym. Pewnego razu po normalnej zbiórce budzą wszystkich około północy i jeszcze raz dwie godziny później! Z dużą ulgą przyjęliśmy zniesienie późną jesienią zbiórek czy apelów wieczornych na okres zimowy. Właściowie pozostały one nadal, lecz odtąd odbywały się pod dachem.

Dla uzupełnienia nędzy skazańca trzeba dodać jeszcze kilka szczegółów o kwestii mieszkaniowej. Obóz składał się z kilku drewnianych baraków, gnieźdzących do tysiąca mieszkańców. Baraki dzielą się na kilka sal, a w każdej z nich musi się zmieścić tyle osób, by był duży ścisk. Tak więc sala jest wypełniona rzędami prymitywnych przycz o dwóch piętach. Górna odbiega od sufitu nie więcej jak 1 metr. Brak oczywiście drabinek do wchodzenia na piętro, brak także sienników czy materaców, muszą nam wystarczyć twarde deski. Nie wolno robić sobie na własną rękę sienników z trawy czy mchu, możemy natomiast używać własnych ubrań czy łachów. Prywatne prześcieradło staje się po prostu szczytem marzeń. Jedynym wspólnym umeblowaniem jest piec, beczka do wody i miotła. Słowem, niesłychany prymityw. Toteż nic dziwnego, że w podobnych warunkach jest strasznie ciasno, gwarно i duszno, zwłaszcza porą zimową, gdy wszyscy usiłują wysuszyć swoje onuce przy ciepłym piecu. Rano głowa jest ciężka, toteż nieraz z ochotą idzie się do lasu na świeże powietrze.

Barak, jak już wspomnieliśmy, jest prawdziwym rajem dla wszelkiego robactwa. Gdyby nawet pojedynczy człowiek stosował jakieś zasady higieny, nie zdoła się uchronić przed robactwem, gdyż sąsiad go zarazi. Toteż nikt się nie wzdyga, gdy się ktoś po grzbiecie drapie... Nikt się nie krępuje, gdy w czasie pory obiadowej wokół ogniska więźniowie robią „obisk” swoich koszul. To jest obrazek codzienny.

Na szczęście między insektami są pewne prawa. Na przykład pluskwy naśladują totalizm naszych oprawców zjadając wszy, znane z roznoszenia chorób zakaźnych. Za to ukąszenia pluskiew są bardziej bolesne. Władze obozowe usiłują robić co pewien czas dezynfekcję ubrań. Niestety, wskutek niesłuchanie prymitywnych urządzeń ubrania często wracają poważnie uszkodzone. Chętnie natomiast korzystamy raz w tygodniu z łaźni, oglądając przy tej okazji swoje szkielety.

W barakach nie było światła elektrycznego, toteż musieliśmy się zadawałniać kopciuszkiem naftowym bez szkła. Jesienią i ten „lüksus” znikł bez śladu. Przynosiliśmy więc z lasu drzazgi, lupaliśmy je na cienkie patyki i suszyliśmy przy piecu. W izbie, rzecz jasna, było nie do wytrzymania. Ale nie działa się nam krzywda, skoro i w kuchni stosowano ten system oświetlenia, w jadalni i w biurach. Pewnie, znowu winna jest tocząca się wojna z Niemcami. Zimą było przynajmniej ciepło w baraku, bo każda brygada miała obowiązek przynosić codziennie trochę drzewa do ogrzania własnej sali. Mimo zmęczenia pilnowaliśmy tego obowiązku bardzo sumiennie, przecież chodziło tu o własną skórę.

Cudowny kociołek

Po kilku tygodniach pracy padły pierwsze ofiary, pięciu Polaków. Znamiona głodu rysowały się wyraźnie na twarzach wszystkich więźniów. Jak sobie radzić, by jednak przetrwać te ciężkie czasy? To było i moje żywotne pytanie, bo pozycja księdza nie dawała pod tym względem żadnych wyjątków. Byliśmy zrównani do tej samej linii nędzy. Zachód dąży do zrównania ludzi na poziomie dobrobytu i kultury, toteż z trudnością może on pojąć sowieckie normy.

/.../

Ja także miałem kociołek. Może jego historia wyda się śmieszną drobnostką, jednak odegrał on w moim życiu więziennym bardzo doniosłą rolę. Ileż razy zmieniał on swój kształt! – masakrowany w ścisku i na nowo prostowany, gładzony, pieszczony. Skonfiskowany kilka razy w czasie surowych rewizji, lecz zawsze odnaleziony. Mój aluminiowy kociołek! Był on jednym z kompletu lampionów, które po raz ostatni oświetlały aulę Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, gdy młodzież polska dnia 11 listopada 1939 r. z bólem serca żegnała Orła Polskiego i szlachetny tytuł uczelni – na czas Bogu wiadomy. Któż wtedy mógł przypuszczać, że jeden z tych lampionów powędruje z polskim kapłanem na Syberię, by tam dawać bezcenne usługi skazańcom?...

Gdy skończyły się skromne zapasy mąki i kaszy, stanęła między naszą piątką „zwiena“, umowa, że każdy codziennie ofiaruje do wspólnego kociołka po dwie łyżki rannej zupy, 50 g chleba, główki rybie i ości. W ogrodzeniu rosło trochę zdeptanej lebiody. Moim zadaniem było zebrać przeznaczoną na jutro działkę, oczyścić, posiekać i w jakiś sposób dostarczyć rano do lasu. Przy pracy znalazło się czasem kilka grzybków, trochę jagód i ziele przypominające naszą pietruszkę. Strawę trzeba było gotować tak dyskretnie, by strażnik w złości nie wylał tej bezcennej ambrozji. W tej sztuce kuchennej doszedłem rychło do wprawy. Pod pozorem doglądania ogniska, na którym spalało się gałęzie, dochodziłem co 15 minut do kuchni, by zamieszać, poprawić ognisko i dodać jakiegoś nowego specjału... Gdy gwizdek oznajmiał przerwę obiadową, nasza piątka siadała nieco na uboczu, by delektować się zupą. Uwijaliśmy się szybko, bo tyle było naokoło ludzi głodnych, którzy nie potrafili się oprzeć, aby nie zjeść rano całej porcji chleba... Nieraz jednak trzeba było się podzielić w imię miłości bliźniego.

Zdawałoby się, że po takim posiłku człowiek nabierze sił do pracy, lecz zwyczajnie opanowywała nas ociężałość i senność. Kiedyś nawet pochorowaliśmy się, gdyż dałem zbyt wielką ilość dzikiej pietruszki. Ktoś z nas jednak na tym wygrał, bo uzyskał zwolnienie od pracy na jeden dzień! Takich chorych nazywało się szczęśliwcami. Nasz dziwny posiłek miał jednak inne zalety, bo po kilku tygodniach

skonstatowaliśmy, że gdy innym na skutek szkorbutu wypadały zęby, my cieszyliśmy się pod tym względem dobrym zdrowiem.

Po sześciu tygodniach sytuacja żywnościowa znacznie się pogorszyła, na co bez wątpienia wpłynęła wojna niemiecko-rosyjska. W sklepiu obozowym prócz borówek nie można już było niczego kupić. Trzeba jednak przetrwać! Moje „plantacje” lebiody także się skończyły, lecz obok pewnego kołchozu rosła bujna pokrzywa. W domu karmiono nią pisklęta, więc dlaczego miałaby szkodzić człowiekowi? Ale jak ją zdobyć? – idziemy przecież pod konwojem w zwartym szeregu, po czterech. Nie wolno się z niego wysunąć. Prosić o pozwolenie? Nie, na pewno nie zgodzą się. Głód dodaje odwagi. Jednym susem jak błyskawica wpadam w bujne pokrzywy, zrywam prędko tyle, ile tylko ręką objąć zdołam, i w mgnieniu oka jestem znowu w szeregu, zanim strażnik zdołał użyć broni. Tak robiłem przez parę dni z coraz większą wprawą. Co mi szkodzi ich soczyste przekleństwa? Gdy czasem ten wyczyn się nie udał, próbowaliśmy się zadowolić dzikim ostem leśnym, który po zaparzeniu także posiadał pewne wartości odżywcze, choć w smaku nie dorównywał pokrzywie.

Droga do pracy prowadziła nieraz przez pole kapusty. Każdego kuśił choćby jeden listek. Tu jednak wartownicy byli bardzo bezwzględni, czuwając jak psy policyjne. Mimo to w moim kociołku nie brakło nigdy choćby kilku liści na okrasę. Robiło się to błyskawicznym przysiadem, a jeszcze bezpieczniej za pomocą haczyka na kiju. Jesienią w czasie zbioru niedojrzałej kapusty każdy listek był skrzętnie podnoszony i po wytarciu o brudne ubranie zjadany z apetytem. Nie zważaliśmy zbyt na higienę i nie robiliśmy „naukowej” różnicy w jagodach i grzybach. I rzecz dziwna, nikomu to nie szkodziło.

W systemie terroru głodowego jedzenie było kwestią życia i śmierci, a ze spraw ideologicznych aktualna została jedynie nadzieja przetrwania. Kto stracił nadzieję, musiał ginąć na przekłętej ziemi skazańców. Aby te smutne fakty zrozumieć, trzeba sobie dobrze uświadomić cały splot zabijających czynników, jak utrata wszystkiego wraz z ojczyzną, kompletny brak wiadomości o rodzinie, głód i nędza, praca

bez wytchnienia aż do wyczerpania sił, udręki moralne ze strony naszych ciemiężców i wiele innych.

Żądło nadziei

Przez nieprzebyte bory syberyjskie i przez druty kolczaste przenikają do nas czasem okruszyny tajnych wiadomości – i jak promyczek światła w ciemności budzą nadzieję. Coś szepcą Litwini, coś drga w powietrzu. Nasi „prorocy” zaczynają triumfować. A może się tylko ludzimy nadzieją, aby wlać nieco życia w strzępy naszego człowieczeństwa? Nie, tym razem stało się coś, czego nikt z nas nie przewidywał – umowa pokonanej Polski ze Związkiem Sowieckim.

Jest pamiętny dzień sierpnia 1941 r., uroczystość Przemienienia Pańskiego. W drodze powrotnej z lasu niejeden z nas wzdycha do jakiejś zmiany, bo inaczej wszyscy tu poginiemy. Modlimy się gorąco w tym dniu o tę zbawczą zmianę, jak ojcowie nasi w czasie półtorawiecznej niewoli. Przekraczając bramę obozu, słyszymy radosne okrzyki: *Amnestia dla wszystkich Polaków!* Nikt z nas na razie nie zastanawia się nad tym, czy słusznie użyto wyrazu *amnestia*. W rzeczywistości bowiem to słowo ma pełne zastosowanie w odniesieniu do przestępców. Nonsensem natomiast jest stosowanie tego pojęcia do setek tysięcy ludzi wyrwanych gwałtem z ojczyzny i osadzonych w więzieniach i obozach koncentracyjnych, rozrzuconych po stepach Kazachstanu i na kręgu polarnym.

Po wieczornej zbiórce sam naczelnik obozu czyta z gazety rosyjskiej głosem oficjalnym tekst umowy podpisanej przez Stalina i gen. Sikorskiego. Na to imię zadrgały nasze serca i dech na chwilę ustał, a w szeregach z rozczuleniem szep-tano: Zbawca!... Darmo silić się na opis tej cudownie pięknej chwili. Dziś każdy towarzysz obcej narodowości zazdrośnie na nas patrzy i chciałby się czuć Polakiem, chciałby zapomnieć o swarach przeszłości. Ale Polakiem trzeba się było urodzić...

Według wszelkich praw logiki należałoby spodziewać się tutaj końca naszej udręki w Rosji Sowieckiej. Niestety, ta udręka musi jeszcze dojść do punktu kulminacyjnego. Na tle tej entuzjastycznej radości zrozumiałe staje się pytanie: „Towarzyszu komendancie, a kiedy opuścimy obóz? – Nie

wiem – odpowiada on chłodno. – Może za trzy dni, za trzy tygodnie, za trzy miesiące – może nawet dłużej. Nie znaju“.

Tak, ale mamy przynajmniej gwarancję wolności. Musimy przetrwać. Będziemy pracować w miarę sił, byle tylko dobrej sprawy nie popsuć. Zamierzamy nawet odprawić mszę św. potajemnie na dziękczynne „Te Deum“.

Odtąd dochodzą nowe bolączki i jeszcze straszniejsze cierpienia, godzące w sam sens sprawiedliwości i dobrej woli. Mijają trzy dni, trzy tygodnie, trzy miesiące, a nasza sprawa wpadła jakby do bezdennej studni. Wśród nas zaczynają nurtować burzliwe prądy, nasuwają się tysiączne pytania, bez rzetelnej odpowiedzi. Czemu nas nie zwalniają? Czemu nie dają choćby prześlysków pewnej swobody na miejscu, możliwości pracy na wolnej stopie? Czemu w dalszym ciągu musimy maszerować do pracy przymusowej pod zbrojnym konwojem, narażeni na obelżywe przekleństwa? Dlaczego nie mamy choćby wolnej niedzieli?

Podobne bolesne pytania załamują ludzi małej wiary, toteż znowu wzrasta śmiertelność wśród Polaków starszego pokolenia. Bo istotnie, w obchodzeniu się z nami nie zaszła żadna zmiana, mimo licznych interwencji u władz sowieckich, mimo protestów, a nawet grózb strajku. W skutkach odczuwaliśmy coraz ostrzejsze represje. Wzmocniono czujność nad nami i otoczono nas siecią szpiegowską. Beznadziejność... Tak, załamanie nadziei i brutalne jej zdeptanie jest najtragiczniejszym przeżyciem ducha ludzkiego.

Dobiega koniec września. Na wszelkie nalegania o wyjaśnienie naszej sprawy otrzymujemy zawsze taką samą odpowiedź: Jesteście naszymi sprzymierzeńcami tu na Syberii i sumienną pracą przy wyrębie lasu przyczyniacie się poważnie do zwycięstwa. Jeżeli chodzi o niewygody i braki, to trzeba się do nich przyzwyczajać („nada priwikać“). Po prostu kością w gardle stanęły te perfidne frazyczki, za którymi kryła się wyraźnie zła wola i traktowanie Polaków z Wilna jako Litwinów. Ten pogląd został nam ujawniony znacznie później. Więc i nadzieja może nosić w sobie bolesny koniec.

Z deszczu pod rynnę

Gdyby do uczuć, jakie w odpowiednich porach podsuwa sama natura, nie mieszały się ludzkie zgrzyty, uprzedzenia

i żale, to byłbym skłonny przyznać, że krótka jesień na północnym Uralu jest istotnie piękna. Zasypiające życie borów syberyjskich uchodzi w przepychu wszystkich kolorów tęczy. Z nastaniem pierwszych mrozów zaczynają się żniwa owsa i jęczmienia.

W tym właśnie czasie pracowałem przez 2 tygodnie z niewielką grupą Polaków przy budowie studni w sąsiednim obozie. Byliśmy traktowani do pewnego stopnia jako goście. Tym razem towarzyszył nam bardziej wyrozumiały strażnik, który patrzył przez palce, jak z sąsiedniej stajni pewne ilości zboża wędrowały codziennie pod naszą opiekę. Z jęczmienia parzyliśmy „kawę”, a owsa używało się do gotowania kleiku. Lekko przypalone na blasze ziarno tarło się między dwoma krążkami drzewa, które nieco przypominały starościeckie żarna.

W porównaniu z poprzednią nędzą prowadziliśmy tu życie sielsko-anielskie. Byliśmy pogodni, a wieczorami po raz pierwszy odważyliśmy się śpiewać pieśni. Chciałoby się w tych warunkach dążyć studnię nie 20 m głęboką, ale ryć się w głąb ziemi choćby i 100 m, byle tylko nie wracać do poprzedniego obozu. Widocznie naczelnik przeniknął nasze intencje... Zresztą dostaliśmy się już do dobrej wody, więc stop! Musieliśmy z żalem odmaszerować, skazani na rozwiązanie brygady, pewnie za zbyt wygodne życie. Odtąd trzeba będzie chodzić codziennie 9 km przez błota i śniegi, by zwozić drzewo spuszczone latem. Będziemy je ściągać w jedno miejsce i układać w wysokie „sztable”, skąd inni ludzie powiozą je saniami traktorowymi do tartaku lub na miejsce spływu. I do tych prac nie zabraknie Rosji niewolników.

Każdy z nas otrzymuje konika i coś w rodzaju sanek, na które grubszym końcem ładuje się drzewo. Trzeba je załadować samemu i cały dzień dreptać za konikiem po ostrych wybojach między drzewami. Ta praca jest niesłychanie męcząca i potrafi w krótkim czasie wyczerpać człowieka do ostatnich granic. Robotnik dzieli swoją dółę z koniem, z tą jednak różnicą, że koń zdawał się być cenniejszym w oczach Sowietów niż niewolnik. Gdy ktoś z nas umarł, spisano tylko akt zejścia i nieboszczyka powieszono pod sosny, lecz gdy ktoś nieostrożnie skaleczył konia, lub spowodował jego

śmierć, robiono szczegółowe dochodzenie i winnego karano.

Od samego rana rozlegają się w lesie nawoływania, krzyki i coraz częstsze przekleństwa, w miarę jak ludzie z przemęczenia tracili nerwy. Często drzewo zaryło się sękiem w ziemię, nieraz konik był za słaby, żeby ruszyć nadmierny ciężar. Wtedy aż gardło ochrypło... Przyznam się, że nie umiałem dawniej przeklinać, lecz przy tej wyczerpującej pracy usta wbrew woli wypowiadały takie zdania, które chyba niewiele odbiegały od przekleństw... Niech zdycha ta szkapa od zmęczenia i zbicia, niech zdycha jedynie dlatego, że jest sowiecka... Niech ją bolą moje razy, jak mnie bolą wszystkie katusze zadawane przez naszych ciemieńców. Czuje się nawet żal do słońca, że tak leniwie nachyla się ku zachodowi, że w ogóle świeci. To były niekontrolowane odruchy nerwowe, nie zawsze mieszczące się w granicach pojęcia grzechu.

Przy tak męczącej pracy głód w szczególniejszy sposób dokuczał – tym bardziej że jesienią racje żywnościowe pogorszyły się jakościowo. Konie otrzymywały swój owies, który musieliśmy rozdzielać własnymi rękami, zanim można było spożyć ten kęs chleba mocą woli odjętego od śniadania. Bodajże wszyscy ulegali pokusie, aby zabrać garść owsa do kieszeni. Po drodze będą go łuskać ziarnko po ziarnku, będą go żuć i ssać zwilżoną mączkę jak ożywcze mleko... Będą przypiekać go na ogniu, aby ułatwić sobie tę pracę. Niestety, i to władze więzienne zauważyły i odtąd pilniej czuwać będą, by koniom nie działa się krzywda. Po pewnym czasie niektórzy zaczęli puchnąć, według orzeczenia lekarzy, wskutek spożywania surowego owsa.

Skutki tej przekłetej pracy znać było na wszystkich i wszyscy ją bardzo dobrze zapamiętali na zawsze. Po miesiącu udręki, po zupełnym wyczerpaniu sił i nerwów, po bezskutecznych błaganiach o ulgę, o jeden dzień wypoczynku, choćby raz na miesiąc, w sercach wielu zrodził się bunt. Nie pójdziemy do pracy, nie myślimy tu konać, przecież przysługuje nam prawo do wolności, publicznie ogłoszonej. Niestety, w skrajnej niedoli, w najbardziej krytycznym momencie ludziom opadają skrzydła. Wolą zginąć niż ewentualnie jeszcze pogorszyć swoją vegetację.

Chcąc się ratować, uciekłem się do ograniczonej władzy lekarza obozowego, który zwolnił mnie od pracy na trzy dni wskutek całkowitego wyczerpania. Czułem się wtedy tak szczęśliwy, jakbym odzyskał część prawdziwej wolności. Duszny i ciemny barak wydawał mi się domem rodzinnym ze wszystkimi wygodami. Zdawał się być zacisznym kościołem, bo też istotnie miałem szczęście odprawiać codziennie mszę św. w skrytości. Ileż mocy duchowej spłynęło z tej największej Ofiary!... Przycichł wewnętrzny bunt i nerwy się uspokoiły.

Przesiedziałem w obozie dalsze dwa tygodnie, kryty pod rozmaitymi pozorami przez niektórych przyjaciół, Litwinów z administracji. W tym czasie wyciągnąłem jedyną puszkę konserw, którą przechowywałem przez cztery miesiące przeznaczając ją na czarną godzinę. Przy dobrowolnej pracy w kuchni zdobyło się czasem dodatkową porcję zupy na śniadanie. Wynosząc ziemniaki z piwnicy odkryłem zapasik margaryny i oczywiście nie miałem skrupułów, aby uszczuplić go bardzo nieznacznie na własną korzyść. Siły powoli wracały, a z tym również poprawiało się samopoczucie.

Szczególniejszą troską otaczałem nasz szpitalik obozowy odwiedzając codziennie chorych. Wszyscy księża dbali o to i nie pamiętam, aby ktoś żegnał ten świat bez ostatniej pociechy religijnej.

Dajcie wypocząć

Sowiecki system eksploatacji milionów niewolników nie przewiduje wypoczynku niedzielnego, przynajmniej w stosunku do nas. Toteż szczęśliwy czuł się człowiek, któremu udało się pod jakimś pozorem „ukraść” choćby jeden dzień Boży dla siebie. Pamiętam jednak trzy dni wolne od pracy: jeden w rocznicę rewolucji bolszewickiej oraz dwa inne, przeznaczone wyłącznie na szczegółową rewizję.

Pewnego dnia rano we wrześniu otrzymaliśmy całkiem niespodziewanie rozkaz zabrania wszystkich rzeczy i stawienia się na polanie za bramą. W przeddzień wieczorem, może nawet celowo, ktoś rozsiewał pogłoski o możliwości zwolnienia wszystkich Polaków. Przecież już dawno proklamowano im zwolnienie. Zmęczona wyobraźnia więz-

niów ma znowu szerokie pole do popisu... A więc wyprowadzą za bramę wszystkich bez wyjątku, aby tam odseparować Polaków i obdarzyć ich wolnością. W ten sposób odetnie się możliwość dalszego komunikowania się Polaków z pozostałymi więźniami. Niestety, znowu pomyliliśmy się zupełnie. Straszne więc było nasze rozczarowanie, gdy zamiast wolności musieliśmy się poddać szczegółowej rewizji. Na ten „odpuść” przyjechało do pomocy wielu strażników z sąsiednich obozów. Po ośmiu godzinach praca była skończona. Znudzeni i zniechęceni wróciliśmy na stare bartogi.

O możliwości rewizji dowiedziałem się pod najściślejszym sekretem od naszego kucharza, toteż zaryzykowałem przechowanie części sprzętu liturgicznego u niego, a buteleczkę wina u lekarza pod etykietą „lekarstwo na gardło”. Rano jednak uległem temu samemu złudzeniu i nawet stanowczo domagałem się od kucharza i lekarza zwrotu mych rzeczy. Dopiero dzięki ich zdecydowanej postawie w ostatnim momencie przed wyjściem za bramę zrezygnowałem ze złudzeń co do zwolnienia Polaków. Musiałem się rychło podźwignąć na duchu, aby innym świecić nadzieją wbrew nadziei.

Kiedy indziej w ostatnich dniach jesieni zarządzono podobną rewizję, ale tym razem bez złudzeń. Rewidujący strażnik znalazł mój miniaturowy kielich zaszyty pomiędzy podwójnym dnem torby. Mimo wysiłków nie umiałem tego skarbu lepiej zabezpieczyć. Miałem prawo do zarejestrowania go jako przedmiotu wartościowego i w ten sposób zdołałbym go w przyszłości odzyskać. Doceniając jednak jego bezpośrednią użyteczność wołałem prosić strażnika o możliwość przemycenia kielicha. Żołnierz nawet dość poważnie się zastaniawiał, lecz nadszedł sam naczelnik obozu i sprawa przepadła. Zapytał mnie o wartość kielicha. Sądząc, że go może łatwiej ocalę jako przedmiot o małej wartości, oświadczyłem, że jest wykonany z brązu, zewnątrz srebrzony, a wewnątrz lekko złoty. To wystarczyło naczelnikowi, aby go rzucić z pozorną obojętnością na kupę zlikwidowanych kociołków, blaszanek i butelek. Natychmiast po rewizji zmobilizowałem wszystkie siły, by kielich stamtąd wydobyć, lecz już go tam nie było. Mam pewne dane, że sam naczelnik go zabrał. Pozory „prawa” były zachowane. Tak

przepadł na zawsze mój mały kielich, który od samego Wilna przemycałem przez wiele rewizji. Odtąd będą się posługiwał szklaneczką.

/.../

Późnym wieczorem, po kolacji, gdy tak strasznie chce się spać, zmęczony kapłan nakłada na łachman roboczy skromną stulę i odprawia mszę św. Dziś uroczystość Wszystkich Świętych, jutro Dzień Zaduszny. Toteż w tak wielkie święto kapłan ledwo dosłyszalnym głosem śpiewa mszę św. błagając naszych Patronów o ratunek i moc przetrwania. Bogu poleca dusze kolegów, którzy spoczywają snem wiecznym na nieznanych cmentarzach syberyjskich. Dziś kapłan także przemawia, spowiada, rozdziela komunię św., bo wszyscy potrzebują mocy ducha.

Ale i wśród tych najświętszych czynności kapłan nie może zapominać, że jest stale w niebezpieczeństwie. Każdej chwili może wpaść bezbożnik i brutalną ręką sprofanować największe świętości. Modli się więc pośpiesznie, trochę nerwowo, ale bez wątpienia ze wzruszającą pobożnością.

Krzysztof Maślanka

Refleksje na temat współczesnej kosmologii

Pisarze powinni wymyślać swoje historie; gdy bowiem opisują rzeczywistość, wygląda to zbyt nieprawdopodobnie, by uwierzyć.

1. W pierwszym tomie nowo powstałego czasopisma z dziedziny fizyki teoretycznej „Modern Physics Letters A” zamieszczono artykuł Andrieja D. Lindego pt. „Chaotic Inflation”. Tak się złożyło, że wydawcy czasopisma, mający swą siedzibę w Singapurze, przysłali w celu reklamowym jeden numer do Polski, by zachęcić do jego stałej prenumery. Tymczasem, właśnie z uwagi na inflację i naszą niewesołą sytuację gospodarczą w ogóle, nie ma wielkiej nadziei, by zobaczyć w kraju dalsze numery tego czasopisma.

Ale „Chaotyczna inflacja” prof. Lindego z Instytutu Liebiediewa w Moskwie to bynajmniej nie ironiczne aluzje do naszej sytuacji gospodarczej nadające się pod cenzorskie nożyczki. Chociaż zarówno angielskie słowo „inflation” jak i polskie „inflacja” wywodzą się od tego samego łacińskiego „inflatio” (nadmuchiwać, rozdymać), to jednak w naszym języku jego znaczenie ograniczyło się wyłącznie do ekonomii – w sensie rozdymania się ilości pieniędzy w portfelach w okresie kryzysu (oraz reformy). Natomiast szersze, angielskie znaczenie przyjęło się ostatnio w równie skomplikowanej, ale zupełnie innej dziedzinie wiedzy – kosmologii.

Kosmologia jest niewątpliwie dość wyjątkową dziedziną wiedzy. Stara się opisać wszechświat jako całość: jego pochodzenie, ewolucję, rozmiary, dalsze losy. Inflacją wszechświata nazwano w kosmologii pewien proces, który, jak się wydaje, miał miejsce tuż po jego powstaniu lub, jak ktoś woli, stworzeniu. Był to proces niezmiernie wielkiego i nagłego rozszerzania, „rozdęcia”. Bardzo młody, liczący zaledwie ułamek sekundy wszechświat powiększył swe roz-

miary w ciągu równie małego ułamka sekundy o wiele rzędów wielkości: 10^{30} razy! Po inflacji nadal rozszerzał się (choć już znacznie mniej gwałtownie) i stan ten trwa do dzisiaj. Nie odczuwamy tego na co dzień, ciemne nocne niebo robi wrażenie doskonale nieruchomego. Ale subtelne obserwacje widm dalekich galaktyk potwierdzają hipotezę rozszerzającego się wszechświata. Nie jest oczywiście moim celem zanudzanie czytelników wyrafinowanymi szczegółami współczesnej kosmologii. Natomiast nie mogę odmówić sobie przyjemności przytoczenia pewnej autentycznej związanej z inflacją anegdoty. Było to w 1982 r. Pewien młody polski fizyk relacjonując koledze przez telefon rezultaty swoich ostatnich obliczeń wykrzyknął podniecony: *Shuchaj, to jest niesamowite: z jakichkolwiek warunków byśmy wystartowali, zawsze otrzymujemy inflację!* W tym momencie rozmowa została przerwana...

Co do samej kosmologii to należy wspomnieć, że w tej fascynującej dziedzinie wiedzy, do niedawna, mniej więcej do końca lat siedemdziesiątych, panowało dość powszechne przekonanie, że zrozumiano wiele, właściwie prawie wszystko co istotne. Ukształtował się zaakceptowany powszechnie tzw. model standardowy. Określenie to miało w pewnym sensie pieczętować jego niepodważalność i ostateczność. Nie było to pozbawione podstaw: model ten był syntezą wszystkich podstawowych działów współczesnej fizyki (m.in. ogólna teoria względności, teoria cząstek elementarnych) i z powodzeniem wyjaśniał wiele obserwowanych zjawisk kosmologicznych, np. przewidywał fakt istnienia tzw. promieniowania tła; opierając się na tym modelu można było poprawnie obliczyć liczbę pierwiastków powstałych w tzw. Wielkim Wybuchu oraz zrozumieć wiele innych faktów.

Do wyjaśnienia pozostały tylko trzy „drobne” problemy. Nie było np. do końca jasne, DLACZEGO obserwowany wszechświat jest w dużej skali tak bardzo symetryczny (kosmologowie wolą powiedzieć: jednorodny – taki sam w każdym punkcie, oraz izotropowy – taki sam w każdym kierunku).

Ale fizycy teoretyczni przypominają z natury bardziej upartych i pedantycznych biurokratów niż skłonnych do kompromisu układnych dyplomatów. Natura ich ma

bowiem wbudowaną pewną, może trudną do zrozumienia przez innych, cechę – gdy w przyrodzie jest coś takiego, że w ZASADZIE mogłoby być inne, to zaraz niezmiernie się niepokoją i zadają swoje odwieczne pytanie: Dlaczego właśnie tak, a nie inaczej – po czym przystępują do obmyślania MODELU, który by wyjaśnił właśnie taki wybór. Istnieje przy tym cała lista różnych zasad, których należy przy tym przestrzegać. Np. spośród różnych modeli najlepszy jest taki, który wyjaśni zagadkę najprościej, przy użyciu najmniejszej liczby naturalnych założeń itp.

Dlaczego zatem obserwowany wszechświat jest w dużej skali właśnie jednorodny i izotropowy, mimo że prawa fizyki (dokładniej równania Einsteina) dopuszczają bardzo wiele rozwiązań niesymetrycznych? Jaki fizyczny mechanizm „wybiera” to jedno szczególne i nietypowe? W 1981 r. pojawiło się wyjaśnienie. Amerykanin Alan Guth podał nową teorię (tzw. inflacyjny model wszechświata) i przez jakiś czas pozostali, mniej pomysłowi kosmologowie, wykorzystując jego idee pieł się pracowicie po szczeblach swej prywatnej kariery naukowej. Wyjaśnienie problemu przez Gutha jest rzeczywiście bardzo proste i bez trudu może je zrozumieć każdy: obecnie obserwowany wszechświat jest jednorodny i izotropowy, ponieważ, gdy był bardzo młody, przeszedł fazę bardzo gwałtownego rozszerzania; to ostatnie wygładziło wszelkie ewentualne niejednorodności i zgęszczenia. Oczywiście w swej pracy Guth podał bardziej szczegółowe i subtelne rozważania. W ten sposób powoli dumne i wyniosłe określenie „model standardowy” ustąpiło miejsca mniej okazałemu – choć jeszcze pełnemu szacunku – określeniu „model klasyczny”.

Można tu zauważyć pewną analogię z sytuacją w fizyce z końcem XIX w. Tam również wszystko było jasne i oczywiste, zaś do zrozumienia pozostały tylko trzy „drobne” problemy (zagadka prędkości światła, promieniowanie ciała doskonale czarnego i ciepło właściwe metali). Rozwiązania owych „drobnych” problemów okazały się jednak z czasem nowymi działami fizyki (teoria względności i mechanika kwantowa). *Jest zwykłym losem pewnych idei to, że rodzą się jako herezje i umierają jako przesady.* Po tym wszystkim koniec rozwoju nauki na skutek rozumienia wszystkiego – nawet jeśli kiedyś nastąpi – wydaje się dziś bardziej odległy

niż kiedykolwiek. Fizycy nauczeni pokory przez historię rozwoju swej własnej dyscypliny nie chcą się bawić w proroków jej losu.

Wspominany na początku A. Linde był jednym z tych, którzy w sposób istotny rozwinęli pomysł Gutha. Początek jego artykułu z „Modern Physics Letters A” jest dość niekonwencjonalny – przynajmniej jak na tego typu literaturę. Zaczyna on mianowicie od postawienia problemu, który już niegdyś nurtował Einsteina: *Tak naprawdę, to ciekaw jestem, czy Bóg mógł stworzyć wszechświat inaczej*. Potem następują dwie strony fachowych i bardzo technicznych rachunków oraz komentarzy, zupełnie niepojętych dla przeciętnego, nawet wykształconego, laika. Na koniec tego wszystkiego zaskakująca konkluzja: *Wydaje się zatem, że Bóg nie tylko mógł stworzyć wszechświat inaczej, ale w swej mądrości stworzył wszechświat, który nieprzerwanie produkował różne wszechświaty wszelkich możliwych typów*.

Mimowolnie przypominają się słowa starego Pasteura: *Trochę wiedzy oddala od Boga; wiele wiedzy zawsze sprowadza do Niego z powrotem*. Tak czy inaczej, trzeba obiektywnie przyznać, że ostatnio pewne pojęcia i zwroty, nie tak dawno jeszcze należące wyłącznie do filozofii czy wręcz teologii, zaczęły nieśmiało wymykać się tym dostojnym dziedzinom i pojawiać się w artykułach z dziedzin określanych sloganem ścisłych. Innymi słowy, do niedawna istniała bardzo wyraźnie zaznaczona granica między tym, co dostępne obserwacjom i eksperymentowi a tym, co jest domeną szeroko rozumianej wiary. Ta właśnie granica, której istnieniem w dobie sukcesów nauki często się szczyciono, na naszych oczach zaczyna się rozmywać. Spróbujmy przyjrzeć się temu bliżej.

2. Jeden z największych współczesnych fizyków, laureat nagrody Nobla w swej dziedzinie, Steven Weinberg, wspomina w swym wykładzie po otrzymaniu nagrody o tym, jak przed laty redakcja najważniejszego czasopisma fizycznego „The Physical Review” w trosce o czystość literatury fizycznej usunęła motto z jego artykułu – cytat z Szekspirowskiego „Króla Leara”: *Z niczego może być tylko nic, mów jeszcze...* Chodziło o dosyć trudny problem: w pewnym szczególnym modelu sił podstawowych – bardzo eleganc-

kim i oszczędnym w swych założeniach – nie dało się w żaden sposób uzyskać zgodności z eksperymentem. Piękny i kuszący model dawał uparcie absurdalne wyniki – masy wszystkich opisanych nim cząstek były równe zero. Trudno chyba o większą niezgodność z doświadczeniem. Weinbergowi i jego kolegom trudno było pogodzić się z logiczną myślą o porzuceniu teorii, w którą włożyli tyle nadziei. Pozostawał delikatny dylemat: czy wybrać piękno i estetykę, czy prawdę. Ostatecznie zdecydowano się na opublikowanie teorii w jej aktualnej postaci, ale ze wspomnianym wyżej mottem. Kilkadziesiąt lat wcześniej nie miał takich wątpliwości Hermann Weyl (1855–1945), wielki matematyk niemiecki, który napisał: *W swej pracy starałem się łączyć prawdę i piękno, lecz gdy musiałem wybierać między nimi, zwykle wybierałem piękno*. Graniczące prawie z brakiem pokory zaufanie do matematyki i bezgraniczne przekonanie o jej wewnętrznej precyzji i doskonałości. Nad fizyką jednak stoi przez cały czas bezlitosny eksperyment; czy wolno zatem ignorować jego sąd w imię estetyki? W codziennym życiu, gdy coś jest PIĘKNE, może – lecz niestety nie musi! – być jednocześnie REALNE. Urok nauk przyrodniczych, tak często lekceważonych i nie rozumianych, polega m.in. na tym, że obydwa wspomniane pojęcia są w nich ze sobą nierozdzielnie związane. Dzisiaj wiadomo już z całą pewnością, że tzw. model standardowy Weinberga-Salama poprawnie opisuje pewne podstawowe siły przyrody. Brakujące ogniwo teorii, które pozwoliło skutecznie „nadać masę” cząstkom – i tym samym uratować całą teorię – zostało niedługo potem znalezione przez P. Higgsa. A redaktorzy pewnych fachowych czasopism z dziedziny fizyki teoretycznej nie są już tak troskliwie ostrożni, gdy chodzi o czystość publikowanych tekstów. Pojawiły się bowiem nowe, jeszcze bardziej fascynujące problemy. Dla przykładu podam trzy z nich.

Oto fragment artykułu „Kwantowa grawitacja” wybitnego fizyka amerykańskiego B. S. DeWitta zamieszczony w „Scientific American” w 1983 r.: *Próby obliczenia kreacji cząstek w Wielkim Wybuchu zostały podjęte przed dziesięć laty niezależnie przez rosyjskiego akademika Jakowa B. Zeldowicza oraz Leonarda Parkera /.../ Mimo że szereg rezultatów wygląda sugestywnie, żaden nie jest definitywny. Ponadto przed wszystkimi metodami obliczeniowymi stoi pod-*

stawowe pytanie: co należy wybrać jako stan kwantowy w momencie Wielkiego Wybuchu? Tutaj fizycy muszą grać rolę Boga. Żadna z dotychczasowych propozycji nie wydaje się przekonująca. Można w tym miejscu uśmiechnąć się z podziwem, a może raczej pobłażliwie: *granie roli Boga* to z pewnością trudna sztuka. Stąd już tylko krok do stwierdzenia za bohaterami jednej z „Podróży Ijona Tichego” Stanisława Lema, że istniejący wszechświat jest po prostu źle stworzony i cały proceder należy powtórzyć od początku... Ale oto inny przykład – początek artykułu „Pochodzenie wszechświata jako kwantowy efekt tunelowy” opublikowanego w 1982 r. we wspomnianym wyżej „The Physical Review” przez Atkatz i Pagelsa: *Jaki był początek wszechświata? Była to kiedyś rozszerzająca się kula ognista (fireball) kwarków, leptonów i gluonów. Ale skąd to się wzięło?* Jeszcze wymowniejszy jest początek wystąpienia Aleksandra Vilenkina na konferencji „Phase Transitions in the Early Universe” zamieszczony w 1985 r. w drugim wiódącym czasopiśmie, „Nuclear Physics B”: *Idea, że wszechświat został stworzony z niczego, jest przynajmniej tak stara, jak Stary Testament. Pierwsza poważna naukowa dyskusja tej możliwości została przedstawiona kilka tysięcy lat później. W roku 1973 Tryon zauważył, że wszystkie ściśle zachowane liczby kwantowe, we wszechświecie zamkniętym mogą być równe zeru, zatem cały wszechświat może być próżniową fluktuacją /.../. Ten sam problem powstaje w biblijnej wersji stworzenia: co robił Bóg, zanim stworzył niebo i ziemię? Jeśli odpoczywał i nie robił nic, to dlaczego nie kontynuował tego zawsze potem, tak jak wciąż przedtem?*

Święty Augustyn, który wiele lat spędził rozmyślając nad tym problemem, doszedł do rozwiązania podobnego do tego, które sugerujemy w niniejszej pracy. Doszedł on do wniosku, że, zanim wszechświat został stworzony, nie było wcale czasu. Dlatego nie ma sensu pytać, co Bóg robił wcześniej.

Można jedynie dodać, że cały dalszy ciąg pracy Vilenkina jest już tylko płataniną matematyki i fachowych, a przede wszystkim bardzo autorytatywnych stwierdzeń, których porównanie z cytowanym fragmentem „Wyznań” św. Augustyna nie jest już ani łatwe, ani oczywiste. Ale znacznie bardziej dokuczliwa jest nieznośna myśl: czy to wszystko nie jest tylko prostackim uproszczeniem? Chociaż intencje

nauki nie były przecież nigdy jawnie bluźniercze, to jednak wszechświat, jako dzieło stworzenia, złapany w sidła matematycznych formuł, nie wydaje się już tak doskonały. Właściwie nie ma niczego zaskakującego w tym, że kosmologia zajmująca się ewolucją wszechświata, w szczególności kosmologia wyposażona w narzędzia współczesnej fizyki wysokich energii, może pokusić się o próbę opisu egzotycznych warunków panujących tuż po Wielkim Wybuchu. To nie jest zaskakujące – raczej nieuchronne. Zadaniem fizyki teoretycznej jest rekonstrukcja rzeczywistości materialnej za pomocą matematyki. Wczesny wszechświat, owa *kula ognista kwarków, leptonów, gluonów*, był niewątpliwie rzeczywistością materialną, co prawda odległą od nas w czasie o 10 mld lat. Panujące wtedy warunki można jednoznacznie opisać za pomocą pojęć dobrze znanych z życia codziennego, np. temperatura, gęstość. Ale wartości tych fizycznych wielkości wyrażają już tylko beznamienne liczby tak duże, że wymykające się wszelkiej intuicji: temperatura: 10^{33}K , gęstość: 10^{93} g/cm^3 .

Z drugiej strony, początek jest z natury swej zawsze stanem wyróżnionym, granicznym, niepowtarzalnym. Pytanie o początek całego wszechświata lub nawet o to, co było „przed”, jest pytaniem jakościowo nowym. Jest też oczywiste, że implikacje ewentualnej odpowiedzi będą znaczne nie tylko dla fizyki, ale także dla światopoglądu każdego człowieka, który odważy się myśleć.

Pojawiające się od niedawna fachowe publikacje, których fragmenty cytowano powyżej, sugerują, jakoby nauka zaczęła nie tylko dobierać się do problemu stworzenia wszechświata z NICZEGO, ale wręcz matematycznie modelować taki proces. Byłoby to doprawdy niezwykle ekscytujące, gdyby nie pewien ważny, a niezbyt podkreślany w tych pracach fakt. We wspomnianym „matematycznym modelowaniu stworzenia świata z niczego” występuje coś w rodzaju „nicości” przed „stworzeniem”. Samo „stworzenie” jest utożsamiane z pewnym przejściem fazowym, tzw. kwantowym efektem tunelowym, natomiast stan „po stworzeniu” jest tzw. próżnią kwantową.

Nie wnikając w szczegóły powyższych pojęć nietrudno jednak zauważyć pewne milczące założenie – otóż przez cały czas działają tu zwykłe prawa fizyki. W ten sposób pytanie

o pochodzenie *kuli ognistej* staje się mało ważne w porównaniu z pytaniem o pochodzenie praw przyrody. Ale stworzenia tych praw z absolutnej nicości nie odważył się modelować jak dotąd żaden z teoretyków.

Warta przytoczenia w tym miejscu wydaje się wypowiedź ks. prof. Michała Hellera wygłoszona na Seminarium „Nauka – Religia – Dzieje” w Castel Gandolfo, które odbyło się w obecności Papieża w dniach 16–19 VIII 1980 r. Jest to swego rodzaju przekorna – zwłaszcza w zestawieniu z powyższymi cytatami – „pochwała” niewiedzy; w istocie jednak jest w tym także pokorne przyznanie, iż w sprawach tak fundamentalnych jak stworzenie wszechświata lepsza jest niewiedza od błędnych poglądów: *Po prostu nie wiem, czy Bóg stworzył wszechświat w początkowej osobliwości, czy nie. Przyznam, że czasem lubię nie wiedzieć. Gdy nie wiem, nieskończone pole możliwości rozciąga się przede mną. Gdy wiem, zacieśniam się tylko do jednej możliwości i... czy zawsze do tej, do której trzeba? Sądzę, że nauce nie należy stawiać ograniczeń. Niech własnymi środkami próbuje wyjaśnić to, co dziś nie wyjaśnione. Na tym polega jej powołanie. Bóg z całą pewnością nie może służyć jako hipoteza do wyjaśnienia luk w naszej niewiedzy. Lukę taką stanowi niewątpliwie dziś początkowa osobliwość.*

Reasumując: czy w przypadku wszechświata jako całości aparat współczesnej fizyki (teoria pól kwantowych w czasoprzestrzeniach zakrzywionych) oraz język matematyki (teoria równań różniczkowych, geometria Riemanna itd.) będą na tyle adekwatne, by zamierzona „rekonstrukcja rzeczywistości materialnej” nie okazała się karykaturą? Leszek Kołakowski napisał kiedyś: *Każde narzędzie powinno wykazywać minimalną adekwatność w stosunku do swego celu. Nie można np. zatemperować ołówka piłą do drewna ani borować zęba wiertarką. Czy zatem kosmologowie doczekają chwili, w której będą musieli stwierdzić nieadekwatność swoich narzędzi i pokornie się wycofać? Najwyraźniej brakuje tu pewnej, choćby (a może przede wszystkim) filozoficznej wskazówki – której dotychczasowa kosmologia wraz z całą astrofizyką i językiem matematyki dać nie może. Dokładnie tak, jak nie można w ramach teorii gry w szachy zrozumieć (obiektywnego) piękna symfonii Czajkowskiego. I nikt rozsądny nie wini za to szachów oraz nie próbując, przekonany*

o ich niewątpliwej skądinąd doskonałości, uprawiać w ich ramach teorii muzyki. Ta ostatnia jest bardziej złożona, subtelniejsza, po prostu inna. Dlatego też, w duchu pewnej przekory, ale jednocześnie pełnego szacunku dla najgłębiej rozumianej prawdy, zaryzykuję tu stwierdzenie, że w fizycznej kosmologii nie należy szukać miejsca dla Boga-Stwórcy. Nie dlatego, by odmawiać Mu tego miejsca, ale z powodu świadomości i głębokiego przekonania, że gdziekolwiek by Go umieścić, zawsze będzie to miejsce różne od tego, w którym od wszechczasów istnieje – On, który nie potrzebuje, by Go koronować, i który nie obawia się detronizacji.

Mam wrażenie, że trudno tu o jakąś uniwersalną receptę. Istnieje pewne niebezpieczeństwo dogmatyzmu, a ten, jak wskazuje historia, nigdy nie przyczynił się do postępu w nauce. I może nawet lepiej, by każdy miał tu szansę własnego wyboru, co więcej, by przez konkretny wybór zamaniłfestował swą własną indywidualność. Może np. komuś pomocny będzie następujący cytat z przemówienia papieża Jana Pawła II podczas uroczystości wręczenia medalu Papieskiej Akademii Nauk: *Każdy, kto pokornie i wnikliwie usiłuje poznać tajniki wszechrzeczy, prowadzony jest, niejako podświadomie, ręką Boga*. Ostatni rozdział tego artykułu będzie niejako próbą usprawiedliwienia wszystkich tych wysiłków, które w zamierzeniu swym są *pokornym i wnikliwym poznawaniem tajników wszechrzeczy*.

3. Początkiem i jednocześnie niezbędnym warunkiem badań naukowych w fizyce teoretycznej jest pewien swoisty, trudny do wyrażenia niepokój. Dopiero później przychodzi pragnienie poznania, umiejętność dziwienia się czy też zwykła ciekawość ostatecznego wyniku. Jednak najbardziej pierwotny z nich wszystkich jest niepokój wynikający z faktu istnienia, delikatny i jednocześnie nieustępliwie drążący od wewnątrz, cierpliwy i niezmordowany. Wydaje się przenikać cały wszechświat jako jego niezbywalny składnik. Dlaczego istnieje cokolwiek; dlaczego istniejąc jest określone, właśnie takie, a nie inne; jaki był początek i jakie jest przeznaczenie; jaki jest sens faktu istnienia.

Jest niewątpliwie paradoksem, że uczucie niepokoju może być twórcze, może być źródłem siły zmuszającej do

poszukiwań, u których celu oczekuje się przynoszącego ulgę zrozumienia. Nie jest to oczywiście jedyny i z pewnością nie najważniejszy z wielu niepokojów drażących ludzi. *Niespokojne jest serce człowieka, dopóki nie spocznie w Bogu* – mówi św. Augustyn. Taki niepokój kieruje człowieka do celu najwyższego.

I nie zmienia sensu powyższego fakt, że dla większości tych, którym wydaje się, że pracują dla nauki, głównym motywem działania jest tzw. kariera naukowa. Ta ostatnia sprowadza się w praktyce do kolekcjonowania kolejnych tytułów naukowych kupowanych za cenę nie przynoszących żadnego postępu publikacji. Jakkolwiek stan taki jest starannie zabezpieczony prawnie przez same struktury współczesnych uczelni, jest to z pewnością dalekie odejście od ideałów nauki. W moim przekonaniu graniczy to wręcz z patologią.

Materialne składniki wszechświata są wolne od niepokoju istnienia; są po prostu posłuszne obiektywnym prawom przyrody. Także większość ludzi jest wolna od takiego niepokoju. Nie ma w tym niczego dziwnego – są pochłonięci przez tyle czynności ułatwiających bezstresowe przejście przez życie, wypracowanie niosącej wrażenie niepokoju stabilizacji. A wszystko to przecież musi być zgodne z subtelnymi wymaganiami norm towarzyskich, rozmaitych konwencji, których złamanie naraziłoby na niechybne ośmieszenie przez drugich. Dlaczego jeszcze mieliby dobrowolnie szukać dodatkowych problemów w życiu, w którym każdy dzień może przynieść utratę pracowicie zbudowanego spokoju?

Niemniej pewne jednostki z pewnością podlegają wpływowi wspomnianego niepokoju. W różnym – niekiedy przejściowym – stopniu. Czasem jednak jest to coś w rodzaju nieuleczalnej choroby. Oni właśnie tworzą naukę i jej prawdziwy postęp.

Ale sam niepokój nie wystarczy. On jest wprawdzie początkiem, kluczem do całej reszty. Aby jednak rozpocząć, długą na ogół, wędrówkę na poszukiwanie rozwiązań, niezbędna jest nadto intuicja. Ta ostatnia według słów Einsteina *ważniejsza jest od wiedzy*. Ona pozwala postawić problem – z bogactwa i natłoku zjawisk i faktów wybrać

kilka lub jeden – ten właściwy. Intuicja podpowie także właściwe pytanie.

A potem jest już tylko długa droga, labirynt pełen fałszywych tropów i nieudanych prób. Na końcu znajduje się nagroda w postaci zrozumienia. Ów stan bezpośrednio poprzedzający pełne zrozumienie twórca teorii względności przyrównał do religijnego uniesienia lub przeżyć kogoś zakochanego. Ale nie każdy ma szczęście tak przeżywać przygodę z nauką. *W świetle zdobytej już wiedzy dedukcje te wydają się oczywiste – każdy inteligentny student może je zrozumieć bez większego trudu; lecz poprzedzające je poszukiwania, którym towarzyszył ciągły niepokój, przechodzenie ze stanu pewności w stan zwątpienia i wreszcie przedarcie się ku jasności – pojąć może tylko ten, kto sam miał podobne przeżycia.*

Ale nawet w przypadku samego Einsteina opisany przez niego stan nie trwał długo. Powoli radość wygasa i osamotniony odkrywca jest ponownie w towarzystwie swego starego znajomego. Niepokój – ale tym razem z powodu nowych nie rozwiązanych zagadek, które zjawily się wraz z odkryciem. I ta odwieczna, pełna nostalgii prawda zanotowana przez Koheleta: *Nie nasyci się oko widzeniem ani ucho napełni słyszeniem.*

Réflexions sur la cosmologie d'aujourd'hui

Des publications récentes suggèrent que la recherche scientifique a non seulement commencé de s'attaquer au problème de la création de l'univers à partir du néant, mais encore de traduire le processus en termes de modèles mathématiques. Une telle démarche suppose toutefois nécessairement

l'action des lois physiques dont cependant aucun théoricien n'a jusqu'ici osé reconstituer, par modèle mathématique, la création à partir du néant. C'est dire, conclut l'auteur, que l'oeuvre de la création transcende les données de la cosmologie physique.

Pytania bez odpowiedzi

Kazimierz Dziewanowski

Spełnione proroctwo – i co dalej?

W 1986 r. miałem okazję (i satysfakcję) spędzić czas jakiś wykonując pewne prace w archiwum Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie, którego dyrektorem jest o. Hieronim Fokciński SJ. Było to kilka dobrych miesięcy, które pozostawiły mi wiele ciekawych wspomnień. Chciałbym opowiedzieć o jednym z nich, które utkwiło mi szczególnie mocno w pamięci. Wiąże się ono z ważnymi wydarzeniami, które obecnie przeżywamy, i stanowi też – jak sądzę – przyczynek do dyskusji, którą zapoczątkowała ostatnio redakcja „Przeglądu Powszechnego”. Mam na myśli ważną i potrzebną dyskusję pt. „Kościół a pluralizm” („PP” nr 7-8/1989).

Przeglądając materiały pozostałe po ostatnim ambasadorze RP przy Stolicy Apostolskiej, Kazimierz Papée, natrafiłem na relację, która przykuła moją uwagę. Ambasador Papée przekazywał rządowi RP w Londynie sprawozdanie z rozmowy przeprowadzonej z Monsiorem M. Był rok 1949. Z kontekstu jak również z innych papierów ambasady wynikało, że kryptonimem „Monsignor M” ambasador oznaczał prawdopodobnie ówczesnego kardynała i kierownika watykańskiego sekretariatu stanu, późniejszego papieża Pawła VI, Giovanni Montiniego.

Rozmowa dotyczyła przyszłości świata i Kościoła. Nie cytuję jej, tylko streszczam. Rozmówca ambasadora przewidywał, że idą ciężkie czasy. Czasy wielkiego konfliktu, generalnego ataku wrogich sił przeciw Kościołowi, a także przeciw demokracji i ogólnie mówiąc – cywilizacji zachodniej. Starcie będzie bezlitosne. Kościół nie jest do niego dostatecznie przygotowany, a demokracja jeszcze mniej. Świat przeżyje więc chwile niezmiernie trudne. Kościół stanie przed najwyższym zagrożeniem. Ale w ostatecznym rachunku walka zostanie wygrana, choć to może potrwać kilkadziesiąt lat. Atak zostanie odparty, Kościół przetrwa,

najwyższe wartości będą uratowane. Trzeba jednak uświadomić sobie, że nadchodzą czasy wielkiej grozy, wielkiego niebezpieczeństwa.

Przeczytałem tę relację w 1986 r., 37 lat później. Zrozumiałem, że proroctwo sprawdziło się. Dziś, już po 40 latach, jest to jeszcze bardziej oczywiste niż wtedy. Z każdym dniem staje się coraz oczywistsze. Kościół przetrwał, przetrwała cywilizacja zachodnia i wartości, na których się one opierają. Lecz konflikt był ciężki i straszny, spowodował nieobliczalne szkody i mógł się zakończyć inaczej. Ale czy rzeczywiście? Waham się przed napisaniem takiego zdania, jest ono chyba błędne. Konflikt był istotnie ciężki i spowodował przerażające szkody – ale nie mógł się zakończyć inaczej. Skąd ta pewność i ten optymizm? Nie biorą się one z przekonania, że dobro musi zawsze zwyciężyć i że historia zmierza w dobrym kierunku. Chciałbym w to wierzyć, ale przyznaję szczerze, że nie wiem, nie mam takiej pewności. Więc nie dlatego. Mój optymizm w tej sprawie bierze się z przesłanek rozumowych. Historia XX w. dowiodła już w sposób rozstrzygający, że systemy oparte na przemocy, na odrzuceniu dotychczasowego dorobku ludzkości w dziedzinie kultury, prawa, etyki, sprawdzonych norm życia publicznego i stosunków między ludźmi, systemy lekceważące i odrzucające wyższą motywację ludzką, a próbujące zastąpić ją brutalną i uproszczoną motywacją walki i nienawiści (narodowej, rasowej lub klasowej) – te systemy zbankrutowały. Udowodniły, że są nie-twórcze, jałowe, niszczycielskie, mniej wydajne, niewydolne, nie wytrzymujące dłuższej konkurencji. Prędko wywołują powszechną ludzką nienawiść i pogardę, nie są zaś w stanie pozyskać lojalności. Są skierowane przeciw ludziom i dlatego są skazane na przegraną.

To zjawisko występuje dziś w skali światowej, pod wszystkimi szerokościami geograficznymi i na wszystkich kontynentach.

Ten oto fakt: wielka i udowodniona nieudolność reżimów totalitarnych i dyktatorskich, całego sposobu rządzenia zwanego autorytarnym – to właśnie jest podstawa optymizmu, do którego się przyznaję i który wynika z przesłanek empirycznych i rozumowych. Po prostu uważam, że dzisiaj już można uznać to rozumowanie za prawidłowe i

dowiedzione. Sprawdza się ono w krajach komunistycznych, a przedtem sprawdziło się w innych dyktaturach totalitarnych. Klasycznym przykładem takiego pasożytniczego, demagogicznego i jednocześnie nietwórczego reżimu był włoski faszyzm. Ale i hitlerowskie Niemcy też okazały się zdolne tylko do jednego – do wywołania wielkiej wojny. Taki był ich podstawowy i jedyny cel. Cel ten osiągnęły, ale wojnę przegrały, nawet więc z punktu widzenia zwolenników reżim okazał się nieudolny. Cała ta epopeja trwała zresztą zaledwie 12 lat. Gdyby potrwała dłużej, wtedy również tam ujawniłby się marnotrawny, pasożytniczy i jałowy charakter reżimu. Charakter ten był wtedy przysłonięty przerażającą wszystkich agresywnością, ale reżim najprawdopodobniej nie był zdolny do dłuższego i skutecznego funkcjonowania w warunkach pokoju. Sam Hitler dobrze to zresztą wiedział.

Można więc z dużą pewnością powiedzieć, że wbrew twierdzeniom zwolenników tzw. silnej władzy zostało już udowodnione, że „silne reżimy” okazują się na dłuższą metę słabe i nieudolne, a silną władzą jest w rzeczywistości tylko demokracja. Wielu ludzi wciąż jeszcze nie przywykło do rozumienia tego paradoksu.

Ale to, co dzisiaj już jest dość jasne i oczywiste (choć nie dla wszystkich), w 1949 r. wcale jeszcze jasne nie było. Żył Stalin, który odniósł wielki triumf w wojnie światowej. Reprezentowany przez niego system wydawał się z każdym dniem coraz potężniejszy i sięgający coraz dalej, występujący z brzegów i nie dający się powstrzymać. Właśnie w tym roku ogarnął Chiny, a w poprzednim Czechosłowację. Ledwie co narzucił swoje panowanie Polsce, Rumunii, Bułgarii i Węgrom. Próbował, choć nieskutecznie, zagarnąć Berlin Zachodni. Szedł wciąż naprzód wzbudzając lęk lub podziw, grozę lub pokorę. Wielu dochodziło do wniosku, że symbolizuje nowe czasy.

Trudno było wtedy przewidzieć, że w perspektywie historycznej on także okaże się krótkotrwałym epizodem. Proszę mnie dobrze zrozumieć – dla trzech pokoleń w Polsce, a czterech czy pięciu w ZSRR to nie był krótkotrwały epizod, lecz pochłaniająca wszystko tragedia. Jednak mierząc to miarą historii możemy dziś powiedzieć, że był to tylko epizod – chociaż o głębokich skutkach. Natomiast w 1949 r.

przebieg i wynik zmagani nie był ani jasny, ani oczywisty. Tym wyżej trzeba ocenić dalekowzroczność rozmówcy ambasadora Papéego. On wierzył w siłę Kościoła i najwyższych uznawanych przez ludzi zasad i wartości.

Miał rację. Była to racja tak wspaniała i głęboka, że gdy w 1986 r. – wiedząc już z grubsza, jaki jest wynik tych zmagani i tego konfliktu – czytałem dokument opisujący ową rozmowę, poczułem się do głębi poruszony. Było w tym coś wspaniałego. Oto miałem przed oczyma Znak. Pod tym Znakiem minęło całe moje dorosłe życie. Wpadło mi w ręce świadectwo, które dowodziło, że już wtedy był ktoś, kto przewidział i zrozumiał tę długą, zawiłą, często przygnębiającą i straszną drogę, jaką wypadło nam wszystkim przejść. On to wiedział, ale także bardzo się niepokoił. Czy można więc dziwić się nam, którzyśmy byli samotni i słabi? Którzy nie ogarnialiśmy tak rozległych horyzontów?

Dopiero teraz, gdy spojrzymy na czas, który minął, jeśli przypomnimy sobie, jak sprawy wyglądały w 1949 r., dopiero teraz widzimy, jak długa była ta droga, jak dalece wszystko się zmieniło, jak gwałtowna walka się rozegrała. I teraz dopiero można mi powiedzieć, że rzecz została przesądzona i rozstrzygnięta, choć jeszcze nie dobiegła końca i może się rozegrać wiele jeszcze dramatów i tragedii.

Rok 1949 – to było przed sprawą kard. Mindszenty'ego, przed generalnym atakiem na Kościół w Polsce, atakiem mającym wiele etapów, a którego kulminacją było aresztowanie Stefana Wyszyńskiego i próba rozsądzenia Kościoła od wewnątrz. W 1949 r. mówiono wprawdzie czasem i pisano, że w ZSRR trafiają się ludzie wierzący, ale brzmiało to tak, jakby ktoś powiedział, że są tam jeszcze ludzie, którzy widzieli cara.

Nad wszystkim unosiło się drwiące pytanie Stalina: *Papież – ile on ma dywizji?*

Dziś to pytanie znalazło już swą odpowiedź. Papież ma sporo dywizji, a co ważniejsze – ich siła i trwałość są większe niż siła i trwałość gwardyjskich dywizji Stalina.

*

Wróćmy jednak do dyskusji opublikowanej w „Przeglądzie Powszechnym”. Wydaje mi się ona ważna. Podniesiono w niej wiele istotnych wątków i zrobiono to w sposób,

który budzi nadzieję, że dialog może być owocny i pożyteczny. W tekście tej dyskusji znalazłem wiele wypowiedzi, które otwierają pole do dalszych przemyśleń w dziedzinach, które uważam za niezwykle ważne. Myślę o wypowiedziach obu Ojców Redaktorów „Przeglądu”, dalej p. Bożeny Chrzastowskiej, red. Turowicza, a także p. Marcina Kuli, Pawła Lisickiego, Marcina Mellera i Piotra Skwicińskiego. Zresztą cała dyskusja i wszystkie wypowiedzi były ważne. To, co powiedziano, może wzbudzać spory, ale o to przecież chyba chodziło.

W całej tej bogatej dyskusji najdonioślejszy wydaje mi się jeden, może dwa wątki, którymi i ja chciałbym się zająć. Ale najpierw krótki cytat z wypowiedzi Jerzego Turowicza. Pragnę go przywołać, bo wiąże się ściśle z tym, o czym napisałem wyżej. J. Turowicz powiedział: *Kościół w ciągu tych powojennych lat, będąc stale w zwarcu z systemem politycznym, był jednak w defensywie, co oczywiście wytwarzało w sposób nieunikniony i zrozumiały to, co nazywa się mentalnością przedsołoborową. No, bo Kościół był taką twierdzą obłożoną.*

Tak było. Zrozumiałe to i oczywiste, a wynikało z tego właśnie gigantycznego starcia, o którym proroczo mówił Monsignor M. Ale Turowicz wyciąga z tego pewien wniosek, który wydaje mi się prawdziwy i ważny: *Powiem może twarde słowo, ale myślę, że w jakimś sensie nasz Kościół jest jeszcze ciągle trochę Kościołem przedsołoborowym... Ta mentalność przedsołoborowa prowadzi do ciągle jeszcze silnego w Kościele polskim klerykalizmu.*

Inaczej, a przecież podobnie ujął sprawę o. Stanisław Opiela: *Sobór Watykański wyraźnie potwierdził, że laikat ma nie tylko prawo, ale i obowiązek zajmowania własnej postawy, która nie kłócąc się z wiarą może być bardzo zróżnicowana w dziedzinie społecznej, politycznej, czy kulturowej... Nasuwa mi się przykład obecności Kościoła w środowisku kultury i poprzez kulturę. To zaliczyłbym do słabszych stron Kościoła w Polsce. I dalej: Soborowy dekret o wolności religijnej wyraźnie stwierdza /.../ prawo człowieka do wyznawania chrześcijaństwa jak i do odrzucenia wiary... Dialog polega na takim założeniu, że jeden i drugi ma coś, co może ich wzajemnie ubogacić. Jeśli ktoś byłby przekonany, że osiągnął*

już prawdę absolutną, to nie ma możliwości dialogu i nie ma potrzeby dialogu.

Ośmielony tymi – i pozostałymi – głosami w owej dyskusji chcę oto i ja poważnie się na wypowiedzenie mojego zdania, choć zdaję sobie sprawę, jak małe są moje w tej materii kwalifikacje.

Obłożona twierdza, o której mówił J. Turowicz – tak oczywiście było i inaczej być nie mogło. To zrozumiałe. Ale twierdza obroniła się. Oblegająca moc poszła w rozsypkę, popękały jej najsrozsze kolubryny, rozpadły się jej beluardy, zawaliły podkopy. Na zwycięskich szczytach odśpiewano tryumfalne *Te Deum laudamus*. Pora zastanowić się, w jakiej kondycji jest dzisiaj załoga twierdzy? Czy jest w stanie sprostać wymaganiom, jakie stawia przed nią zwycięstwo? I co to znaczy – zwycięstwo?

Powstają wątpliwości. Uczestnicy dyskusji mówią o tym bardzo wyraźnie. O. Grzegorz Schmidt: *Wydaje się, że wszyscy podzielamy przekonanie, iż zmieniająca się sytuacja społeczno-polityczna jest dla Kościoła nowym wyzwaniem.* I ja też myślę, że nowa sytuacja zmusza do całkiem nowych przemyśleń. Wszak udział w długotrwałej walce obronnej musiał tak ukształtować umysły obrońców, że w nowym, odmiennym już świecie może to się okazać przynoszącym szkody organiczeniem. Mówił o tym J. Turowicz, mówili i inni. Wskazywali na wyraźnie rysujące się niebezpieczeństwo. Otóż ci, którzy potrafili obronić się i wygrać, zwykle wykazują bardzo ludzką i psychologicznie wytłumaczalną skłonność do nadmiernej pewności siebie, do samozadowolenia, do odpychania tych, którzy mają jakieś wątpliwości. Mają naturalną skłonność do tryumfalizmu.

Tryumfalizm jest bratem wiary we własną nieomyślność. Nietolerancja jest jego siostrą. Jeżeli zawsze mieliśmy rację i jeżeli ta nasza racja zatryumfowała – to ktoś może nas jeszcze pouczać, kto ma prawo do odmiennego zdania? Taki jest mechanizm psychologiczny, który jest naturalny i który łatwo zrozumieć, ale nie wolno się z nim godzić. Jeżeli bowiem pogodzimy się z tym, to po wielkim zwycięstwie może nas spotkać wielka klęska. Tak to bywa: tryumfalizm, nietolerancja, poczucie wyższości najczęściej prowadzą do klęski. Zwycięstwo odniesione po wielu przegranych jest czymś chwalebny i wspinałym. Natomiast porażka

poniesiona mimo zwycięstwa bywa zazwyczaj rozpaczliwa i mało chwalebna. A zresztą, wielki wódz i wielokrotny zwycięzca, lord Wellington, powiedział: *Czy istnieje rzecz równie gorzka jak klęska? Tak jest, madame* – zwycięstwo.

Mój pogląd jest taki: chrześcijaństwo i zasady filozoficzne, etyczne, moralne, jakie ono reprezentuje i na jakich się wspiera, są tak wspaniałe, tak potężne i niezwykłe, że – jak to przewidywał Monsignor M. – musiało przeważyć. Stałoby się tak, nawet gdyby walka trwała o wiele dłużej. Jak długo istnieją ludzie, którzy myślą i czują – nikt go pokonać nie zdoła. Ale będąc czymś tak wielkim chrześcijaństwo musi być tolerancyjne. Inaczej w ogóle go nie ma. I dlatego tryumfalizm jest jego śmiertelnym wrogiem. Większym wrogiem i groźniejszym niż pozostali. Tamci są wrogami zewnętrznymi, ten jest wewnętrznym – jak nowotwór, który przeżera organizm.

W dyskusji przytaczano przykłady braku tolerancji, wrogości wobec tego co odmienne, niechrześcijańskich zachowań ludzi, także księży, którzy czują się zbyt pewni siebie i swojej racji i w rezultacie nie uważają za stosowne odnieść się po chrześcijańsku do innych ludzi, jeżeli myślą oni inaczej. Jeden z uczestników dyskusji wskazywał na nietolerancyjność prowadzącą do odepchnięcia ludzi wątpliwych i rezygnacji z działalności misyjnej, która jest przecież obowiązkiem każdego kapłana. Zamiast przekonywać i pozytywnie wpływać niektórzy wolą niestety potępiać. Można zapytać: W jaki sposób byliby oni w stanie przekonywać niewiernych, jeśli potrafią jedynie gromić i wyklinać sąsiadów?

Zajmowanie nietolerancyjnego stanowiska jest moim zdaniem wyrządzeniem chrześcijaństwu i katolicyzmowi ciężkiej krzywdy. Fundamentalisci nie powinni mieć złudzeń: swoją postawą nie przynoszą Bogu chwały a Kościołowi pożytku, tylko przeciwnie – szkodzą temu, czemu chcą służyć. Ja w każdym razie jestem głęboko o tym przekonany.

Lecz co to znaczy „nietolerancyjny”? To takie brzmiące obco wyrażenie, które powtarzamy nie zadając sobie często trudu, aby wnikać w to, co ono oznacza. Dopóki jest takim ogólnym, niejasnym terminem, dyskusja jest również ogólna i niejasna. Trzeba więc przywołać konkretne przykłady, aby wiadomo było, o czym mówimy. Z nietolerancją

mamy do czynienia np. wtedy, gdy ksiądz odmawia ochrzczania dziecka, bo rodzice nie spełniają stawianych im przez niego wymagań. Moim zdaniem taki ksiądz popełnia grzech rzucając w gruncie rzeczy odpowiedzialność na dziecko, które nie jest niczemu winne, biorąc na nim odwet za zjawiska, które się księdzu nie podobają. Jeszcze gorzej grzeszy, gdy poniża i prześladowuje dzieci, których rodzice mają inne poglądy – a w dyskusji przytaczano i takie przykłady. Czyżby ewangeliczne przestrogi wobec tych, którzy krzywdzą i gorszą maluczkich, już nie obowiązywały? Dziecko jest bezbronne, a odczuwa wszystko o wiele silniej, więc urażanie go jest moralnie niewybaczalne. Jak można w takich przypadkach w ogóle mówić o chrześcijaństwie? Wiem, o czym mówię, bo i w moim życiu nietolerancyjny, zawzięty ksiądz odegrał rolę o sporych konsekwencjach.

Kapłan bez dobroci – to kościół bez Boga.

Człowiek nietolerancyjny to również taki, który po wszystkich XX-wiecznych doświadczeniach ustrojów totalitarnych, po hitleryzmie, stalinizmie, postalinowskim socjalizmie realnym, po faszyzmie i rozmaitych imperializmach nadal próbuje budzić fanatyzm, nieufność i wrogość między ludźmi odmiennych języków czy wyznań – np. wobec protestantów czy prawosławnych. O takich przykładach też była mowa w dyskusji, znamy je zresztą z wielu obserwacji. Tego rodzaju ksenofobiczne, nietolerancyjne, pragnące odgrodzić nas murem niechęci od innych ludzi stanowisko, to w moim przekonaniu groźna dla przyszłości Polski aberracja umysłowa. To przecież właśnie nasi wrogowie próbują od wielu lat nas skłócić, poróżnić, zantagonizować. To oni podsycają rozmaite rodzaje nienawiści. Jakże więc mogą ludzie uważający się za chrześcijan współuczestniczyć w tym dziele?

Wyciągam z tego wniosek następny, który wyłożę tutaj bez ogródek wiedząc, że niejeden się na mnie oburzy, ale musiałbym się wstydzić, gdybym próbował ukryć, co na ten temat myślę. Otóż myślę, że hasło „Polak – katolik” w jego potocznym, często spotykanym znaczeniu jest hasłem zarówno niechrześcijańskim jak i niepatriotycznym. Sprezycujmy, o czym mowa. Jest prawdą niezaprzeczalną, że większość Polaków to katolicy. Ale z tego nie wynika bynajmniej i nie może wynikać, że tylko katolicy są Pola-

kami i że jeśli ktoś jest prawosławnym, luteraninem, ewangelikiem, muzułmaninem, jest wyznania możeszowego albo w ogóle jest niewierzący – ten już Polakiem być nie może. Nie ma zgody na taki wniosek. Cała polska historia przeczy takiemu stanowisku, przeczy mu także rozum i zaprzecza Ewangelia. Głoszenie (a tym bardziej próby narzucania) takiego hasła, które musi automatycznie zrażać i zniechęcać innych ludzi, które umacnia podejrzliwość i odrazę sąsiadów budząc w nich przekonanie o polskim, tępych fanatyzmie – z pewnością służy bardziej interesom wrogów Polski niż interesom Polaków. Siłą polskości, a zwłaszcza polskiej kultury, była zawsze ich duża atrakcyjność dla obcych. Dlatego na tej ziemi osiedlali się dobrowolnie ludzie różnych wiar, kultur i języków, którzy potem sami wnosili bezcenny wkład do polskości. To wie każdy, kto zna dzieje polskiej kultury. Każdy zaś, kto zna dzieje polskich walk o niepodległość, dobrze wie, że właśnie spośród potomków tych przybyszów pochodzili najżarliwsi polscy patrioci. Odcinanie się od tych tradycji, rozmyślnie budzenie niechęci i podziałów, ograniczanie pojęcia polskości do wymiarów niechętnego świata zaścianka jest działaniem na szkodę Polski. Przyjrzyjcie się, o „prawdziwi Polacy“, listom poległych w kampanii wrześniowej, w Katyniu, na Monte Cassino, w powstaniu warszawskim, zobaczcie, ile tam nazwisk niemieckich, żydowskich, rosyjskich, ukraińskich, czeskich, litewskich, tatarskich! Popatrzcie, policzcie – i pomyślcie: kto ma największą korzyść z waszej działalności?

Byłoby wielką tragedią, gdyby poczucie tryumfu po odniesionym zwycięstwie miało doprowadzić do upowszechnienia tego hasła i tego pojęcia. Takie zwycięstwo byłoby spóźnioną, ale skuteczną (i fatalną dla Polski) wygraną pogrobowców realnego socjalizmu. Tylko im mogłoby zależeć na wyizolowaniu Polski i skłóceniu jej ze światem.

*

Czy istnieją powody do tryumfalizmu?

Totalitaryzm przegrał i jest dziś w odwrocie – ale jakie są tego przyczyny i czyja w tym zasługa? Któż to może ostatecznie i wyczerpująco wyjaśnić? Nie sądzę, aby można się było odwołać do jakiejś pojedynczej przyczyny czy siły społecznej, do jednego tylko czy choćby paru wyjaśnień. Myślę,

że przez wiele dziesiątków lat historycy i socjologowie będą się uporczywie spierać i szukać wyjaśnienia tej dramatycznej epopei. Odpowiedź – jeśli zostanie kiedykolwiek znaleziona – będzie równie zawiła, jak ludzka natura, ludzka mentalność, stosunki w społeczeństwie i zasady ekonomii. Właśnie dlatego, że to wszystko tak bardzo złożone i zawiłe – totalitaryzm przegrał. Gdyby było proste – wtedy by pewnie zwyciężył.

Wchodzimy w świat odmienny od tego, który istniał u nas przez 45, a nawet 50 ostatnich lat. W świat pluralizmu. Oznacza to wielość postaw i poglądów, wielość rozmaitych podejść do rzeczywistości i do różnych idei, przede wszystkim zaś – swobodę wyboru. W świecie pluralistycznym gdy ktoś chce nakłonić drugiego człowieka, aby przyjął jakąś ideę, punkt widzenia czy myśl – musi go do tego przekonać, pozyskać. Kto chciałby zmusić, wyrzucić presję, nastraszyć – ten nie jest do tego nowego świata przygotowany. Poniesie więc porażkę.

Od dawna chodzi mi po głowie pewna myśl, która niepokoi i jest raczej sprzeczna z potocznym poglądem wyznawanym i w Polsce, i zagranicą. Poglądem, który mówi o sile i potęgze Kościoła w Polsce w odróżnieniu od słabości i kryzysu Kościoła w Europie Zachodniej. Mnie się wydaje, że pogląd ten jest w dużej mierze oparty na złudzie. Bo chociaż prawdą jest, że na Zachodzie znaczna część tamtejszych społeczeństw jest opanowana indyferentyzmem, który wynika z wielu przyczyn, a nie tylko z nastawienia konsumpcyjnego (to jest tłumaczenie uproszczone i dość prymitywne) – o tyle nie jest przecież prawdą, że społeczeństwo w Polsce jest tak bardzo uduchowione i na wyższym poziomie teologicznym. Społeczeństwo polskie jest podobne do społeczeństw w innych krajach, interesuje się sprawami materialnymi w tym samym stopniu co inne, a może – w poczuciu niedosytu – bardziej nawet niż inne. Przywykło natomiast demonstrować swój sprzeciw poprzez udział w ceremoniach religijnych. Nie należy tego mylić z rzeczywistym zaangażowaniem.

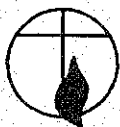
W świecie pluralizmu i swobody wyboru (jeśli w końcu rzeczywiście nadejdzie) tego rodzaju motywacja zacznie słabnąć. Wydaje mi się, że pierwsze takie oznaki widzimy już teraz. I już teraz wchodzi one w wyraźną kolizję z istnieją-

cym tu i ówdzie wśród kleru poczuciem tryumfalizmu. Jest to niebezpieczna kolizja, która wróży źle. Jest ona szczególnie niebezpieczna z uwagi na słabość społecznego, świeckiego, zorganizowanego i świadomie działającego zaplecza Kościoła w Polsce. Ten słaby i zagrożony Kościół katolicki we Francji, we Włoszech, w Austrii, w Niemczech Zachodnich, choć ubolewa nad pustymi świątyniami, wspiera się jednak na sётkach świeckich organizacji, kół, wspólnot, które podejmują dzieła ważne lub marginalne, doniosłe albo tylko drobne, lecz robią to z przekonaniem, z poświęceniem, świadome celu, nie szczędząc trudu i środków. W Polsce na razie jest takich zjawisk bardzo mało. Co gorsza – są one nader rzadko skierowane w stronę najważniejszą, to znaczy ku wsparciu i pomocy dla drugiego człowieka, zwłaszcza dla słabego, chorego, starego, dla kalek albo ludzi młodych, zdrowych i silnych, którzy jednak mają trudności ze znalezieniem swego miejsca w życiu. A przecież to właśnie jest znamię prawdziwego chrześcijaństwa, a przynajmniej tak mi się zdaje.

Fakt, że w Polsce jest zbyt mało takich działań, że nieraz trudno je dostrzec i że nie odpowiadają one ogromowi potrzeb – ten fakt stawia znak zapytania nad przyszłością. Może się okazać, że istnieje pustka. Bo nie jest dobrze, gdy łatwo można dojrzeć budujące się kościoły, a bardzo trzeba się naszukać, by znaleźć miejsce, gdzie chrześcijanie gotowi byłiby pomóc bliźniemu, który pomocy potrzebuje. Najwspanialsze nawet budowle nie zastąpią tego co najważniejsze: przyjaznego spojrzenia, pomocnej ręki, zrozumienia.

*

Sumując moje wywody pragnę przypomnieć, że w każdej mszy św. pada wezwanie: *Przekażcie sobie znak pokoju!*...



Wokół greckokatolickich cerkwi

Jakże łatwo czasami o upraszczające rzeczywistość oceny i sądy. Szczególnie gdy dotyczą one przeszłości, której teatrem były obszary stosunkowo mało znane szerszej publiczności. Kłopot polega jednak na tym, że historia ludzkich poczynąń rzadko kiedy jest prosta i jednoznaczna. Znacznie częściej cechuje ją ogrom uwikłań trudnych do rozplątania, nie poddających się łatwym ocenom i interpretacjom. Są obszary, na których ludzkie dzieje były na tyle skomplikowane, że niemal każde dążenie do formułowania jednoznacznych ocen jest skażone nierzetelnością w najlepszym, zaś propagandowym zaciętrzewieniem, z którego wynika fałsz w – najgorszym wypadku. Dlatego w odniesieniu do takich obszarów i wydarzeń każde zdanie, które zbliża się do owej trudno uchwytnej granicy uproszczeń, powinno budzić rezerwę. A może i sprzeciw.

Sądzę, że takimi właśnie obszarami, na których dzieje ludzkie z trudem poddają się ocenom, są tereny wschodnich kresów Rzeczypospolitej oraz te terytoria obecnej Polski, które łączy po dziś dzień ze światem Kresów bardzo wiele. Celowo napisałem *dzieje ludzkie*, nie zaś *dzieje Polaków*, bowiem historia tych ziem to także historia Białorusinów, Litwinów, Rusinów, Ukraińców, także Bojków, Huculów, Łemków. Otóż ziemie te, tak straszliwie doświadczone w latach II wojny, tak bardzo doświadczane w trudnych latach powojennych, wymykają się z całą pewnością widzeniu ich przez pryzmat stereotypu, wedle którego świat może być biało-czarny. W przypadku tych ziem i ich dziejów widzenie takie zbliża się niebezpiecznie blisko granicy, za którą kryje się nieprawdziwość ocen i sądów.

Czy to, co do tej pory napisałem, to jakieś wołanie o obiektywizm? Czy to zachęta do obiektywnego spojrzenia na dzieje Kresów wschodnich, w których nie ma jednoznaczności? Ale w takim razie jak pogodzić kresowe tęsknoty Polaków tak silne i tak zrozumiałe z naukowym obiektywizmem? Kto ma to zrobić? Czy ci, którzy do Kresów, do kresowej kultury i cywilizacji nie czują żadnego sentymentu? Bo przecież nie mogą być obiektywni ci, którzy radzi by wołać, że Kresy to tylko Polska, ale nie mogą być obiektywni i ci, którzy widzą tam tylko Ukraińców, Rusinów, Litwinów lub Białorusinów. Tadeusz Chrzanowski pisząc swe „Kresowe tęsknoty” twierdził: *Romantyzm „temperowany”, a więc taki, jaki znamionuje muzykę Jana Sebastiana, jest chyba najwłaściwszą drogą postępowania. Nie ma bowiem w nauce obiektywizmu: to fikcja zakładana przez naukowych demagogów i poprawiaczy,*

*tylko tylko, że nad nieobiektywizmem musi uczony panować, jak dobry kierowca nad swą rozpedzoną maszyną*¹. To chyba rzeczywiście jedyna droga, która może ustrzec badacza lub publicystę przed niebezpieczeństwem prymitywizującej rzeczywistość jednoznaczności.

Zdania powyższe są może nieco na wyrost w stosunku do tego, co chcę powiedzieć dalej. Otóż uwagi na temat owej kresowej niejednoznaczności czy tego skomplikowanego kresowego zróżnicowania ograniczę jedynie do pewnego regionu, który pozostaje w granicach współczesnej Polski, a który jednakowoż może być dobrym przykładem w formułowaniu sądów i ocen na temat problematyki w przybliżeniu określanej terminem kresowej. Chodzi mi mianowicie o obszar leżący w południowo-wschodniej części kraju, rozciągający się przede wszystkim nad Sanem, Ostawą, może częściowo także nad Popradem. To właśnie tam istnieją do dzisiaj bojkowskie i łemkowskie cerkwie, o których losie pisano tak wiele. Niestety pisano o nich już poniewczasie. Wtedy, gdy cerkiewne krzyże spadały z malowniczych bań, zaś polichromie przeżerała wilgoć i grzyb.

Obszar, o którym mowa, od dawna budził kontrowersje, a niemal każdy tekst poświęcony problematyce polsko-rusińskiego pogranicza wywoływał namiętne spory i dyskusje. Nie bez przyczyny znawca problematyki łemkowskiej Antoni Kroh pisał nie tak dawno: *Dla Łemków jest to ziemia łemkowska, dla Polaków połemkowska. Cała różnica*². W tych dwóch słowach – łemkowska i połemkowska – kryje się ogrom nieporozumień, sądów zbyt jednoznacznych, by mogły być prawdziwe, wreszcie urazów, które na trwałe – miejmy nadzieję, że nie na zawsze – weszły w życie społeczne polskiego południowo-wschodniego pogranicza. Nie mam powodu ukrywać, że impulsem do skreślenia tych i następnych uwag dotyczących ziem beskidzkich i bieszczadzkich stała się dla mnie lektura pozycji wydanej przez Biblioteczkę Przemyską w serii historycznej, a zatytułowanej „Cerkwie greckokatolickie w diecezji przemyskiej po roku 1945“, pióra Aleksandra Nałęcza³. To, co piszę, nie jest jednak recenzją tej książki. Są to raczej refleksje, które zrodziły się wokół tej pracy, refleksje będące wyrazem niepokojów nieobcych piszącemu te słowa, a powstałych właśnie ze świadomości skomplikowania zagadnień będących przedmiotem pracy Nałęcza.

Na początek o problemie, który nie jest tak bardzo niejednoznaczny i który w całym tym cerkiewno-greckokatolickim skomplikowaniu wydaje się najprostszy. Przynajmniej z perspektywy Kościoła. Otóż czyje te cerkwie właściwie powinny być? Jaki jest ich współczesny stan prawny? Czy rzeczywiście odpowiada on historycznym uwarunkowaniom, czy też może raczej stanowi relik

czasów, w których władza wszelkimi możliwymi sposobami próbowała komplikować życie wyznaniowe w naszym kraju?

Historia grekokatolickich unitów sięga Unii Brzeskiej (1596), czyli chwili, w której wyznawcy chrześcijaństwa wschodniego z kresowych terenów Rzeczypospolitej uznali zwierzchność Stolicy Apostolskiej, uzyskując od niej potwierdzenie i zgodę na sprawowanie liturgii według obrządku wschodniego w świątyniach zwanych cerkwiami. Oznaczało to pełną zgodę Rzymu na sprawowanie liturgii w świątyniach budowanych zgodnie z tradycją wschodniego budownictwa sakralnego. Że jest to budownictwo poddane ścisłym kanonom, że każdy element tej architektury i wystroju wewnętrznego świątyni jest swoistym świadectwem wiary – o tym nikogo, kto choć trochę słyszał o duchowości Kościoła wschodniego, przekonywać nie trzeba¹. Tereny, o których mówię, akces do Unii zgłosiły nieco później, bo w 1691 r., kiedy to ówczesny biskup ruski z Przemyśla Innocenty Winnicki podpisał akt Unii Brzeskiej. *Przyjęcie Unii Brzeskiej faktycznie oznaczało przejście diecezji przemyskiej na obrządek grekokatolicki i wejście jej do wspólnoty Kościoła katolickiego, który obrządek ten prawnie uznał. Wszelkie dalsze regulacje w obrębie i między obrządkami były odtąd wyłącznie zagadnieniem wewnętrznym Kościoła, cerkwie zaś uzyskały status świątyni katolickich, co zrównywało je z kościołami rzymskimi*².

Stan taki trwał przez całe stulecie. Nie zawsze gwoili prawdziwe stosunki pomiędzy oboma obrządkami układały się w sposób bezkonfliktowy, a pojawiające się co pewien czas próby latynizacji Rusinów – za przykład niech posłużą choćby decyzje Synodu w Zamościu w 1720 r., które m.in. pozwalały na usuwanie z cerkwi ikonostasów – przyczyniały się do likwidowania czy też zmniejszania nieufności pomiędzy wyznawcami obu obrządków. Nieufność ta wynikała głównie z obawy Rusinów przed polonizacją, której mogła służyć latynizacja ich wschodniego chrześcijaństwa, a także niepokojów żywiołu polskiego wynikających z ciągłych obaw przed wzrostem wpływów prawosławia, którym to wpływom mógł sprzyjać rozkwit wschodniej obrzędowości i duchowości. Z biegiem lat obawy te ustąpiły miejsca zaniepokojeniu społeczności polskiej coraz bardziej narodowym, ukraińskim cha-

¹ Tadeusz Chrzanowski, *Kresowe tęsknoty*, w: „Akcent” nr 3/1987, s. 163.

² Antoni Kroh, *Problemy współczesnej kultury lemkowej na przykładzie Muzeum w Zydranowej*, w: „Polska Sztuka Ludowa” nr 3-4/1985, s. 132.

³ Aleksander Nałęcz, *Cerkwie grekokatolickie w diecezji przemyskiej po roku 1945*, Przemyśl 1988.

⁴ Por. Paweł Florenski, *Ikonostas i inne szkice*, Warszawa 1984, szczególnie: *Świątynia jako synteza sztuk*.

⁵ Nałęcz, dz. cyt., s. 17.

rakterem Kościoła greckokatolickiego na Rusi. Faktem jest jednak, że mimo nie zawsze harmonijnego współżycia obu obrządków należały one bezspornie do rodziny Kościoła katolickiego. Jednym z charakterystycznych przejawów tej przynależności było m.in. powołanie przez Stolicę Apostolską w 1934 r. greckokatolickiej Administratury Apostolskiej Łemkowszczyzny. Wolno sądzić, że krok ten został podyktowany chęcią uchronienia Łemków przed coraz bardziej narodowym charakterem cerkwi greckokatolickiej na Ukrainie. Ów nacjonalistyczny element w działalności cerkwi powodował, że Łemkowie, którzy nie czuli się Ukraińcami, odwracali się od swego Kościoła i przechodzili na prawosławie, które gwarantowało im zachowanie pradawnej liturgii, a jednocześnie nie zmuszało ich do identyfikacji z ludnością ukraińską. Powołanie Administratury Apostolskiej zależnej bezpośrednio od Stolicy Świętej było wyraźnym potwierdzeniem przynależności wspólnoty greckokatolickiej do Kościoła powszechnego. Jednocześnie pokazywało, jak dobrze Watykan rozumiał problemy religijne i etniczne Polski południowo-wschodniej.

Sytuacja zmieniła się po zakończeniu II wojny światowej. *Okazało się, grekokatolicyzm będzie problemem niewygodnym i niebezpiecznym dla nowych władz nie tylko w Polsce, lecz także w pozostałych państwach obozu radzieckiego*⁶. Niewygodnym jedynie dlatego, że Kościół ukraiński zajął w czasach II wojny światowej i po jej zakończeniu takie, a nie inne stanowisko? Czy może także dlatego, że komunistyczne władze nie bardzo miały ochotę zgadzać się na istnienie na terenach przez siebie rządzonych Kościoła, który pozostawał w ścisłej łączności ze Stolicą Apostolską, który był częścią Kościoła powszechnego? Trudno obecnie rozstrzygać ten problem. Faktem jest, że już w maju 1945 r. przystąpiono we Lwowie do demontażu i niszczenia Kościoła unickiego.

Początkiem było utworzenie 28 V 1945 r. we Lwowie Centralnej Grupy Inicjatywnej na rzecz złączenia Cerkwi greckokatolickiej z ruską Cerkwią prawosławną. Prace grupy trwały około 9 miesięcy i polegały na przygotowaniu Synodu, który miał zdecydować o zerwaniu Unii i przyłączeniu się do Cerkwi prawosławnej. Renegaci unijni wykorzystali te siły prawosławne, które nigdy nie godziły się z faktem istnienia Kościoła unickiego, a także korzystali ze wsparcia czynników administracyjnych odpowiedzialnych za politykę wyznaniową i wewnętrzną. Najbardziej drastycznym wyrazem takiej współpracy był fakt aresztowania przez władze radzieckie I III 1946 r. w trakcie obrad Synodu wszystkich hierarchów Cerkwi greckokatolickiej⁷. Wolno sądzić, że władze obawiały się, iż ta część ludności ukraińskiej, która była przywiązana do Unii, może pod przewodnictwem swej legalnej hierarchii nie zaakceptować reżyserowanych obrad Synodu. Oczywiście w tej sytuacji

trudno mówić o dalszej, legalnej z punktu widzenia prawa kanonicznego, działalności lwowskiego Synodu. Niemniej jednak, legalnie czy nie, uchwały Synodu zadecydowały o likwidacji Kościoła greckokatolickiego na terenach radzieckich i przejęciu Cerkwi greckokatolickiej przez Kościół prawosławny.

Nie jest żadną tajemnicą, że powojenne działania władz polskich w wielu kwestiach były uzależnione od sugestii i dyspozycji doradców radzieckich. Nie inaczej zresztą działo się i w innych krajach bloku wschodniego. Przykładem nas interesującym mogą być choćby podobne synody, których celem była likwidacja Kościoła greckokatolickiego, a które odbyły się w Rumunii w 1946 r. i w Czechosłowacji w 1950 r. W Polsce do formalnego aktu likwidacji Kościoła greckokatolickiego nigdy jednak nie doszło. Trudno wszakże wątpić, że o stosunku władz administracyjnych do grekokatolicyzmu i majątku unickiego w Polsce nie decydowało także to, co stało się z tym Kościołem w Związku Radzieckim. Praca A. Nałęcza przynosi tu nieco interesujących konstatacji. Przede wszystkim tę, że po zakończeniu działań wojennych, mimo dobrowolnego lub przymusowego opuszczania ziem południowo-wschodnich przez ludność ukraińską i lemowską, mimo pozostawiania majątku cerkiewnego bez opieki, władze państwowe nie negowały praw Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego do pozostawionego mienia cerkiewnego. Był to jednak stosunkowo krótki okres pewnego liberalizmu w polityce wyznaniowej państwa, który kończył się gdzieś około drugiej połowy 1947 r.

Lata następne przyniosły zdecydowaną zmianę klimatu. W kwestiach pozostawionego bez opieki, nie z winy unitów greckokatolickich, mienia cerkiewnego owa zmiana klimatu polegała na odmówieniu Kościołowi katolickiemu jakichkolwiek praw do opuszczonych cerkwi. Powołując się na nieistnienie formalne i prawne Kościoła greckokatolickiego w Polsce władze decydowały, że majątek cerkiewny będzie stanowił własność skarbu państwa. Podawano przy tym bardzo zawile argumentacje oraz powody takiego stanowiska. Wymieńmy przynajmniej dwa: otóż po wywiezieniu do Związku Radzieckiego bpa Józefa Kocyłowskiego na terenie naszego kraju nie było już żadnego hierarchy unickiego. Dla władzy był to wystarczający argument do orzeczenia, że Kościół greckokatolicki w Polsce przestał istnieć. Warto w tym miejscu zacytować fragment listu, w którym biskup przemyski Franciszek Barda wyjaśniał władzom zależność pomiędzy unickim Kościołem greckokatolickim a Kościołem łacińskim: *Nie-*

⁶ Tamże, s. 19.

⁷ Uniknął wówczas aresztowania przemyski biskup grekokatolicki Józef Kocyłowski, który wkrótce został jednak deportowany z Przemyśla i zmarł w Mościskach.

*obecność biskupa ruskiego nie oznacza kasaty diecezji, nie pozbawia księży ruskich uprawnień, jakie im daje prawo kościelne i jakich im udzielił biskup przed wyjazdem. Księża ci nadal podlegają Ojcu św. i korzystają w miarę potrzeby z opieki polskich biskupów obrządku łacińskiego. W razie opuszczenia przez księży ruskich ich cerkwi, świątynie te i wszelki należący do nich majątek ruchomy i nieruchomy, jako będący własnością Kościoła katolickiego, powinien być zostawiony pod zarządem i opieką miejscowego duchowieństwa i biskupa łacińskiego. Wymagają tego nie tylko przepisy prawa kościelnego, ale także zapewniona w Państwie Polskim Kościołowi katolickiemu swoboda jego wewnętrznej administracji*⁸.

Drugi z argumentów, którym posługiwały się władze przejmując dobra cerkiewne na własność państwa, mówił o zabytkowym charakterze tych obiektów. Zgodnie z taką argumentacją cerkwie oraz majątek cerkiewny stanowiły wartość zabytkową i muzealną, dlatego też państwo powinno otoczyć je opieką, a także zatrzymać jako wartość kulturową i historyczną dla przyszłych pokoleń. Niestety był to raczej argument obliczony wyłącznie na uzyskanie doraźnych efektów propagandowych, nie zaś na rzeczywiste zabezpieczenie opuszczonych obiektów. Bardzo szybko okazało się bowiem, że państwo nie tylko nie jest zainteresowane konserwacją i ratowaniem cerkwi, ale nie dysponuje także niezbędnymi funduszami. Władzom brakowało zarówno chęci ocalenia tych obiektów – gdyby taka była, czyż lokowano by w cerkwiach składy i magazyny? – jak również pieniędzy na remonty i rewaloryzację. Nadzieje na to, że państwo może przejąć odpowiedzialność za ochronę substancji zabytkowej kraju, a szczególnie obiektów zabranych bezprawnie ich prawowitym właścicielom, już dawno się rozwiały i nie ma powodu po raz kolejny udowadniać, że o ochronę zabytków znacznie lepiej zabiegają właściciele niż przypadkowi użytkownicy.

Z tego, co powiedziałem dotychczas, nietrudno wysnuć wniosek, że ukształtowany u schyłku lat czterdziestych oraz w początkach lat pięćdziesiątych stan prawny, wedle którego cerkwie greckokatolickie zostały przejęte przez skarb państwa, razi daleko idącą niesprawiedliwością. Jest to stan prawny nie liczący się zupełnie ze strukturą organizacyjną Kościoła katolickiego, w łonie którego istniały jako równoprawne różne obrządku. Dlatego stan obecny, w którym Kościół może być co najwyżej użytkownikiem greckokatolickich budowli cerkiewnych, ale nie jest jednocześnie ich właścicielem, trudno uznać za normalny. I to jest sprawa podstawowa, bez której rozwiązania trudno myśleć o wyprostowaniu krętych losów greckokatolickiej spuścizny w południowo-wschodniej Polsce. Oczywiście może jeszcze powstać wątpliwość następująca. Skoro strona prawosławna nigdy nie akceptowała Unii Brze-

skiej, skoro uważała ją za akt wrogi wobec Kościoła prawosławnego, to może słuszniej byłoby doprowadzić do takiej sytuacji, w której cerkwie greckokatolickie stałyby się własnością prawosławnych? Pozornie jest to rozumowanie logiczne. Trzeba jednak pamiętać, że obiekty, o których mowa, w przeważającej większości zbudowane zostały już po 1691 r., a ich substancję materialną tworzyli wierni unickiego już wówczas Kościoła katolickiego. Dlatego też bez zastrzeżeń należy się zgodzić z A. Nałęczem, gdy pisze: *...posługiwanie się władzy argumentem o przejściu mienia cerkiewnego na własność państwa było aktem niesprawiedliwości naruszającym podstawowe prawa Kościoła*⁸. Aktu tej niesprawiedliwości nikt do tej pory nie naprawił, bowiem nawet umożliwienie, po wielu trudnościach, o których pisze Nałęcz, Kościołowi katolickiemu sprawowania w cerkwiach posługi duszpasterskiej nie jest uregulowaniem prawnym sytuacji cerkwi greckokatolickich w Beskidach i Bieszczadach. Na początku tego tekstu odżegnywałem się od sądów i ocen jednoznacznych, ale w tej właśnie kwestii oczekiwania na rozwiązanie są jednoznaczne. Trudniejszym i, jak sądzę, mniej jednoznacznym zagadnieniem jest ochronienie spuścizny greckokatolickiej z tego rejonu. Czy stopień zachowania tego dziedzictwa kulturowego i religijnego byłby większy, gdyby sprzyjała temu w pełni uregulowana sytuacja prawna zabytkowych obiektów cerkiewnych?

Jest to w gruncie rzeczy pytanie o to, czy gdyby cerkwie te stały się prawną własnością Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego z chwilą, w której ludność greckokatolicka została zmuszona do opuszczenia swych ziem, los tych świątyń byłby korzystniejszy, a ogromna ich część nie poszła w ruinę? Najprostsza odpowiedź brzmi: oczywiście byłoby lepiej, zabytkowe świątynie zostałyby uratowane. Taki jest zresztą ton książki A. Nałęcza. Szczerze mówiąc nieco zazdroszczę autorowi takiego przekonania. Być czegoś pewnym bezwarunkowo to rzeczywiście godne szacunku. Tyle tylko, że takie prawdy jednoznaczne bywają często także wątpliwe. W ten sam sposób wątpliwe, jak i zakończenie pracy Nałęcza: *Dawne cerkwie, w których modli się obecne pokolenie rzymskokatolików, są pod dobrą opieką. Przez stałą konserwację diecezja zachowuje je dla dalszej służby Bogu i Kościołowi; równocześnie są one w dalszym ciągu świadectwem bogatej architektury cerkiewnej*¹⁰.

Dla kogoś, kto interesuje się przeszłością cerkwi i cerkiewną tradycją, fakt zachowania obiektu sakralnego na potrzeby kultu to jedna sprawa, druga – to uratowanie cerkiewnego charakteru poszczególnych obiektów. Można bowiem zachować świątynię na

⁸ Cyt. za Nałęczem, s. 20.

⁹ Nałęcz, dz. cyt., s. 21.

¹⁰ Tamże, s. 148.

potrzeby duszpasterskie pozbawiając ją jednocześnie cerkiewnej specyfiki. W takiej sytuacji trudno mówić o ratowaniu dziedzictwa grekokatolickiego. Cerkwie unickie z rejonu diecezji przemyskiej, a także tarnowskiej charakteryzowały się bardzo specyficzną bryłą, określonym planem, na którym były wznoszone, typowym dla sztuki cerkiewnej wystrojem wnętrza¹¹. Wszystkie te elementy nadawały unickim budowlom sakralnym ich niepowtarzalny charakter. W rejonie Bieszczadów, na wschód od bieszczadzkiego Wielkiego Działu, wznoszono trójdzielne cerkwie bojkowskie charakteryzujące się wielkimi kopułami, z których najwyższą wznoszono nad nawą. Bardziej na zachód budowano cerkwie określane mianem lemkowski, których cechą rozpoznawczą była harmonijna bryła piętrząca się ku górze – od strony prezbiterium ku wieży. Dawni mistrzowie cerkiewnego budownictwa doskonale znali zasady wznoszenia tych świątyń, potrafili z prawdziwym mistrzostwem zachować odpowiednie proporcje pomiędzy poszczególnymi częściami trójdzielnej budowli, umieli zwieńczyć je harmonijnymi kopułami lub, jak w przypadku cerkwi lemkowski, wieżami. Były to w sumie świątynie pełne harmonii, doskonale wtopione w krajobraz i nie poddające się, pod groźbą utraty podstawowych walorów architektonicznych, modernizacjom, przeróbkom czy zmianom proporcji pomiędzy poszczególnymi częściami. W pewien sposób były to budowle skończone w zamiśle twórczym budowniczych. Jeżeli zatem ich kształty mają być współcześnie świadectwem grekokatolickiej architektury cerkiewnej, to wszelkie przeróbki czy modernizacje byłyby przyniesieć mogą co najwyżej okaleczenie pierwotnej harmonii tych budowli.

I to jest właśnie zagadnienie, które budzi wątpliwości i kontrowersje. Liczne są bowiem przypadki, że cerkwie użytkowane przez Kościół katolicki zarówno od zakończenia wojny jak i odzyskane na potrzeby kultu po wielu latach, zostały poddane takim właśnie modernizacjom i unowocześnieniom. W wielu przypadkach z tracano ową pierwotną harmonię cerkiewnej bryły, powiększano nadmiernie którąś z części składających się na dawną trójdzielną świątynię czy wreszcie dobudowywano nie pasujące już zupełnie do cerkiewnej architektury dwie wieże nad babińcem, nadając całemu obiektowi charakter małopolskiego kościoła wiejskiego¹². W ten sposób unickie świątynie zatraciły swój charakterystyczny kształt budowli cerkiewnej i nie mogą być uważane za świadectwo grekokatolickiego dziedzictwa tego regionu. Podobnie działo się i dzieje, niestety, w przypadku przenoszenia cerkwi w inne miejsce. Cerkiewna bryła doskonale harmonizująca z otoczeniem zostaje umieszczona w zupełnie innym krajobrazie i traci wiele ze swych pierwotnych walorów architektonicznych. Dobrze, jeżeli zabieg przenoszenia budowli został wykonany fachowo, z należy-

tym szacunkiem dla substancji zabytkowej obiektu, jeżeli przy okazji przenosin nie postanowiono powiększyć lub zmodernizować świątyni. Zdarzało się jednak, że postępowano dokładnie odwrotnie. Przeniesienie zabytkowej cerkwi było okazją do rozbudowy świątyni i w konsekwencji do zmiany charakteru wschodniej pierwotnie budowli. Znowu trudno w takim przypadku mówić o zachowaniu dziedzictwa unickiego. Stworzono lub uratowano miejsce kultu, ale zatarto czy wręcz unicestwiono cerkiewną bryłę¹³.

Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa wystrojów wewnętrznych zachowanych cerkwi. W większości zostały one оголоcone bezpośrednio po wojnie z cennych ikon i ikonostasów. Te cenne dzieła sztuki a jednocześnie przedmioty będące wyrazem religijności greckokatolickich unitów zostały albo rozkradzione, albo powędrowały do muzeów w ramach akcji zabezpieczania pozostałości sztuki cerkiewnej tego regionu. Oczywiście żadne z tych rozwiązań nie może już dziś satysfakcjonować¹⁴. Miejscem tych świętych obrazów są przede wszystkim świątynie. Tyle tylko, że muszą to być świątynie odpowiednio zabezpieczone przed ograbieniem, a także pożarem lub innym kataklizmem. Niestety, znowu sytuacja w tej kwestii nie jest wesoła. Czyż warto przypominać, ile cennych dzieł sztuki sakralnej strawił ogień powstały w wyniku awarii wadliwych instalacji elektrycznych? Ileż unikalnych zabytków zostało skradzionych m.in. i dlatego, że brakowało odpowiednich zabezpieczeń? Ale to są sprawy techniczne, które stosunkowo szybko można chyba przy dobrej woli rozwiązać. Znacznie trudniejsze jest rozwiązanie problemów, szczerze mówiąc niezrozumiałych dla obserwatora dziejów greckokatolickiej spuścizny w naszym kraju. Chodzi np. o takie praktyki, jak zasłanianie zabytkowych ikonostasów najróżniejszymi transparentami lub sztampowymi figurami z gipsu, rozmontowywanie tych ikonostasów i rozwieszanie ikon na bocznych ścianach świątyni, czy wreszcie wyrzucanie całych ikonostasów z wnętrza cerkwi¹⁵. Jest to tzw.

¹³ Ryszard Brykowski, *Lemkowska, drewniana architektura cerkiewna w Polsce, na Słowacji i w Rusi Zakarpackiej*, Wrocław 1986.

¹⁴ Za jeden z przykładów niech posłuży cerkiew we wsi Roztoki Dolne.

¹⁵ Przykładem może być świątynia przeniesiona z Lutowisk do Dwernika oraz obecnie przenoszona z Dudyńców do Komańczy; przykładem rozbudowy cerkwi zakończonej zniszczeniem pierwotnej budowli może być świątynia w Bobrowce; wreszcie przykładem remontu, który jak na razie prowadzi do postępującej dewastacji świątyni, może być cerkiew w Hyrowej.

¹⁴ „Mówiąc obrazowo: w muzeum dokonuje się zamiana skończonego pod względem artystycznym malowidła na jego szkic, dobrze jeśli nie zniekształcony” — Florenski, dz. cyt., s. 29.

¹⁵ Pamiętam smutne wrażenie, jakie robił przed kilkoma laty tak właśnie zasłonięty ikonostas w Zawadce Rymanowskiej; przykładem wyprowadzania ikonostasów ze świątyni mogą być cerkwie w Myscovej, Połdziaczu, Wisłoku Wlk.

przerabianie świątyni na kościół łaciński. Otóż praktyk takich nie tylko nie można zrozumieć, ale też i nie można akceptować.

Ponieważ jednak sprawy nie są tak jednoznaczne, jak byśmy chcieli, przeto warto powiedzieć i o drugiej stronie medalu. Otóż te liczne przeróbki cerkwi, powiększanie ich, zacieranie cerkiewnego charakteru miały również swoje powody. Wraz z napływem ludności do podkarpackich wsi i osad nieduże cerkwie przestawały wystarczać. Pojawiła się konieczność tworzenia obiektów sakralnych o większej powierzchni. To zrozumiałe, że Kościół musiał reagować na takie potrzeby. W sytuacji, gdy władze państwowe odmawiały przez całe lata zezwoleń na budowę nowych kościołów i kaplic, podejmowano najróżniejsze remonty i modernizacje, których efektem było co prawda powiększenie świątyni, ale także niszczenie jej zabytkowego charakteru. Nienormalność polskiej rzeczywistości i w tym przypadku dawała o sobie znać. Znacznie trudniej jednak wytłumaczyć owe przeróbki wewnętrzne polegające na usuwaniu ikonostasów, zacieraniu cerkiewnego podziału wnętrza świątyni. Tłumaczenie, że wnętrza cerkiewne nie nadaje się do sprawowania kultu łacińskiego, nie bardzo mnie przekonuje. Zresztą nie tylko mnie¹⁶. Obawiam się, że w przypadku zacierania cerkiewnego charakteru budowli łemkowskich, bojkowskich czy ukraińskich doszło do głosu zupełnie co innego.

*Z chwilą zakończenia akcji wysiedlania ludności ukraińskiej z woj. rzeszowskiego (w połowie 1947 r.) problematyka cerkiewna utraciła swój narodowy kontekst*¹⁷. Otóż nie sądzę, aby wysiedlenie ludności mogło powodować wyciszenie lub zanik narodowego kontekstu problematyki cerkiewnej. Akty takie, jak przymusowe wysiedlanie ludności, mogą co najwyżej ukryć narodowościowe sytuacje konfliktogenne, ale w żadnym wypadku nie doprowadzają do ich zaniknięcia. I tak właśnie stało się w przypadku południowo-wschodnich obszarów Polski. Przybyli do wysiedlonych wiosek i osad ukraińskich lub łemkowskich osiedleńcy z innych regionów Polski czuli przeszłość tych terenów. Nie znaczy to jednak, że chcieli ją otaczać szacunkiem. Raczej przeciwnie, dzięki natarczywej propagandzie antyukraińskiej, w wyniku rachowania krzywd prawdziwych lub urojonych doznanych przez Polaków ze strony ukraińskiej, pragnęli jak najszybszego zatarcia owej wschodniej – ruskiej lub ukraińskiej – spuścizny. Doskonale rozumiem, że nie należy takiej tendencji generalizować, ale też i pomijać jej nie wolno, przemilczanie faktów i sytuacji niewygodnych lub wstydliwych nigdy bowiem nie wychodzi na zdrowie stosunkom społecznym i narodowościowym. Tak więc nie sądzę, że przerabianie cerkwi na kościoły łacińskie, tak bardzo oburzające historyków sztuki, ma swe korzenie jedynie w pragmatycznym dążeniu do bardziej funkcjonalnego (?) z punktu widzenia łacińskiej liturgii

wystroju wnętrza świątyni. Jest raczej echem, i to wcale nie odległym, naszej polskiej niechęci do braci modlących się wedle obrządku wschodniego. Niechęci, którą stworzyły tragiczne dzieje naszych związków, w tym również lat przedwojennych i wojennych, a także kreowanie bezsensownego stereotypu Ukraińca-rezuna. Myślę, że to właśnie kultywowanie takiego modelu Ukraińca – wroga Polski i Polaków – tkwiło gdzieś u korzeni świadomego czy podświadomego niszczenia dziedzictwa kulturowego i cerkiewnego ukraińskich i lemkowych unitów. Pora już, by powiedzieć za Andrzejem Vincenzem: ... *przestaśmy sobie wypominać przeszłość, przestaśmy powtarzać, że Ukraińcy mordowali Polaków, a Polacy Ukraińców, bo zawsze mordowali indywidualni bandyci*¹⁸.

Narodowościowe tło południowo-wschodniego, polskiego skomplikowania nie jest tłem jedynym. Nie mniej ważny jest stosunek, jaki ukształtował się pomiędzy dwoma obrządkami: łacińskim i greckokatolickim w obrębie Kościoła w Polsce. *Katolicy obrządku wschodniego, unicy, /.../ praktycznie zależni są całkowicie od dobrej woli ordynariuszy i proboszczów rzymskokatolickich, z którą bywa różnie, choćby już tylko z powodu nieświadomości naszego kleru. Jak wiadomo po wojnie większość Łemków bieszczadzkich została przesiedlona na obszary północne i północno-zachodnie; bywa, że kiedy zjawia się w tamtejszym skupisku duchowny greckokatolicki legitymując się upoważnieniem Ks. Prymasa do sprawowania liturgii w obrządku św. Jana Chryzostoma – proboszcz rzymskokatolicki proszony o udostępnienie świątyni, odmawia, bo nigdy w życiu o niczym takim nie słyszał i jego zdaniem w kościele można się modlić po polsku albo od biedy po łacinie, i wedle rzymskokatolickiego obrządku, nie zaś po rusku i to jeszcze wedle całkiem innej liturgii*¹⁹. Z sytuacją taką trudno się pogodzić, choć można ją jeszcze zrozumieć. Ale następne zdania wypowiedziane przez cytowanego powyżej autora zmuszają już do smutnej zadumy: *Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa w diecezjach południowych, gdzie unicy częstokroć na próżno proszą o udostępnienie im świątyni (cerkwi), przez nich samych (lub przez nich dziadów) budowanych, celem sprawowania liturgii we własnym ich obrządku, że nie wspomnę już o wypadkach bardziej drastycznych, które również są mi*

¹⁸ „Okazuje się, że dla naszej liturgii posoborowej cerkwie są jak najbardziej odpowiednie. Łatwo jest sprawować liturgię rzymskokatolicką także w cerkwi” – szerzej na ten temat mówi ks. Mieczysław Czekał w wywiadzie „*Te cerkwie są takie piękne*”, w: „PP” nr 10/1984.

¹⁷ Nałęcz, dz. cyt., s. 22.

¹⁸ Andrzej Vincenz, wypowiedź w dyskusji o kulturze ukraińskiej, w: „Więź” nr 4/1988, s. 19.

¹⁹ Tadeusz Zychiewicz, wypowiedź w dyskusji o kulturze ukraińskiej, w: „Więź” nr 4/1988, s. 16.

znane. Niejednokrotnie wywiera się też nacisk w kierunku porzucenia obrządku, zapominając, iż dla tych ludzi jest on nierozłączną częścią ich tożsamości plemiennej, tradycji i obyczaju, darzoną przywiązaniem – i dobrą²⁰.

Z powyższych słów nietrudno wysnuć wniosek, iż sytuacja grekokatolickich unitów w Polsce po II wojnie światowej tak bardzo skomplikowała się nie tylko z powodu przesiedleń, rozbicia tradycyjnych więzi lokalnych, oderwania tych ludzi od ich dawnego środowiska, ale także na skutek obserwowanego w naszym kraju, niestety dość powszechnie, dążenia do uniformizacji kulturowej i cywilizacyjnej, pociągającej za sobą próby zacierania także grekokatolickiej odrębności. W dążeniu tym było coś z chęci stworzenia państwa czy wspólnoty jednoetnicznej, związanej m.in. jednym wyznaniem, którego artykulacją mógł być tylko jeden, łaciński obrządek katolicki. Oczywiście znowu wypada strzec się sądów zbyt jednoznacznych. Bo przecież to, o czym mówi Żychiewicz, to tylko jedna strona medalu. Drugą, niestety tylko tę drugą, bo pierwszą autor skwapliwie pomija, znajdujemy w książce Nałęcza. Tą drugą stroną jest duża liczba faktów pokazujących, iż próby wprowadzenia do cerkwi obrządku grekokatolickiego kończyły się często interwencją władz administracyjnych, które zakazywały sprawowania liturgii wedle wschodniego rytu. Inną metodą stosowaną przez władze było odbieranie cerkwi wspólnocie katolickiej, gdy sprawowano tam liturgię unicką, i przekazywanie świątyni Kościołowi prawosławnemu. Notabene, gdy A. Nałęcz pisze: ... *tam gdzie pojawił się kapłan grekokatolicki, istniało niebezpieczeństwo powstania ogniska prawosławia, co chętnie popierały władze państwowe*²¹, trudno się oprzeć wrażeniu, że jest to bardzo uproszczony sposób rozumowania. Otóż owe tak przerażające autora *ogniska prawosławia* powstawały na łemkowszczyźnie także przed wojną, a powodem ich powstawania nie była, jak się zdaje, działalność władzy komunistycznej, ale nieumiejętność ochrony unitów przez Kościół w Polsce międzywojennej przed latynizacją z jednej a ukraińizacją z drugiej strony. Oczywiście w ingerencji powojennych władz administracyjnych w zagadnienia własności obiektów sakralnych łatwo się dopatrzeć niedopuszczalnej interwencji władz w wewnętrzne sprawy Kościoła. Być może w postępowaniu tym należy widzieć także obawy przed restauracją w Polsce Kościoła ukraińskiego, co w zestawieniu z sygnalizowanym już stereotypem Ukraińca sprawiało, że władze reagowały tak gwałtownie.

Ocenianie, w jakim stopniu powodem trudności we wprowadzaniu do cerkwi liturgii grekokatolickiej – już po powrocie dużej liczby ludności ukraińskiej i łemkowskiej na dawne ziemie po 1956 r. – było stanowisko władz administracyjnych, w jakim zaś

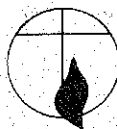
niczyć Kościoła katolickiego do restytucji obrządku wschodniego, wydaje się dziś zajęciem dość jalowym. Brakuje bowiem, i z jednej, i z drugiej strony, pełnego dostępu do archiwów, wiele spraw rozgrywało się na zasadzie całkowicie poufnych zaleceń i dyrektyw. To samo dotyczy też namiętnych dyskusji na temat materialnego dziedzictwa polskich wspólnot greckokatolickich. *Dojrzała synteza problematyki polsko-ukraińskiej ostatnich kilkunastu lat jest dzisiaj zupełnie niemożliwa – ze względu na dzisiejszy stan umysłów, dostępność źródeł oraz inne czynniki. Naszą rolą jest natomiast działać po trosze, rozbijać pewne uprzedzenia i zakorzenione stereotypy, przyznając otwarcie, że nie obejmujemy całości*²². Dlatego też jedyne, co można zrobić dzisiaj, to strzec się upraszczających rzeczywistość sądów: i tych, wedle których to Kościół katolicki ponosi wyłączną odpowiedzialność za tragiczny stan greckokatolickiego dziedzictwa, i tych, które głoszą, że całkowitą winę za niszczenie unickiej spuścizny ponoszą władze komunistyczne.

Krzysztof Renik

²⁰ Tamże, s. 16.

²¹ Nałęcz, dz. cyt., s. 30.

²² Stefan Wilkanowicz, wypowiedź w dyskusji o kulturze ukraińskiej, w: „Więź” nr 4/1988.



Co mnie dzisiaj, jutro tobie

Andrzej Biernat, *Dziewiętnastowieczne napisy epigraficzne na ziemiach Królestwa Polskiego*, Wrocław 1987, Ossolineum; Adam Bujak, *Nekropolie królów i książąt polskich*, tekst Michał Rożek, Warszawa 1988, Sport i Turystyka; *Inskrypcje grobów polskich na cmentarzach w Paryżu. Montmartre, Saint Vincent, Patignolles*, pod redakcją Andrzeja Biernata opracowali Andrzej Biernat, Sławomir Górzynski, Piotr Ugniewski, Warszawa 1986, Zarząd Ochrony i Konserwacji Zespołów Pałacowo-Ogrodowych; „Literatura Ludowa” 1987, nr 2; Aleksander Krawczuk, Karolina Grodziska, ks. Jan Dębski, Anna Król, Tadeusz L. Kubica, *Cmentarz Rakowicki w Krakowie*, Warszawa 1988, Omnipress; Antoni Michalak, *Tradycje i współczesność polskiej obrzędowości pogrzebowej*, Łódź 1987, Wydawnictwo Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej; Teodor Kikta, *Nekropol farmaceutyczny. Cmentarz Powązkowski w Warszawie*, Warszawa 1985, Muzeum Farmacji im. mgr Antoniny Leśniewskiej w Warszawie; Stanisław S. Nicieja, *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*, Ossolineum; Urszula Oettingen, *Cmentarze I wojny światowej w województwie kieleckim*, Warszawa 1988, Państwowe Wydawnictwo Naukowe; „Polska Sztuka Ludowa” 1986, nr 1-2 i 3-4; Stanisław Potępa, *Cmentarz Stary na Zabłociu w Tarnowie*, Tarnów 1986, Muzeum Okręgowe w Tarnowie; Maciej Włodarski, *Arsmoriendi*, Kraków 1987, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak; Iwona Zawidzka, *Cmentarz żydowski w Wiśniczu*, Bochnia 1987, Muzeum im. St. Fischera w Bochni; Christian Chabanis, *Śmierć, kres czy początek?* przełożyła Anna Danuta Tuaszyńska, Warszawa 1987, Instytut Wydawniczy Pax.

Francis Jeanson, spoglądający na zagadnienie śmierci z perspektywy ateistycznej, jeden z rozmówców Ch. Chabanisa, twórcy pasjonującej książki będącej zbiorem rozmów o śmierci, postawie wobec niej i jej kulturowych konsekwencjach, nie bez racji stwierdził, że w *bardzo licznych przypadkach* ludzkości *udaje się przybrać postawę obojętności wobec śmierci. A potem nagle bywa znowu wrażliwa, w miarę jak reflektory danej chwili rzucają światło na jakąś*

jednostkę czy grupę społeczną. To zwiększenie się wrażliwości na problematykę śmierci ma jednak motywacje głębsze i przemienność cykli obojętności oraz wrażliwości tłumaczyć trzeba w kategoriach szerszych niż tylko przez pryzmat refleksorów chwili oświetlających jednostki czy grupy społeczne. Jak tu już sygnalizowałem w poprzednich przeglądach ważniejszych prac dotyczących kulturowych aspektów śmierci („PP” 11/1983, 4/1985) pełne i precyzyjne określenie wyraźnego w kulturze polskiej ostatnich kilkunastu lat „renesansu śmierci” nie jest sprawą łatwą. Niewątpliwie datuje się on w całej Europie od czasów II Soboru Watykańskiego, ma jednak także specyficznie polski wymiar, dostrzegalny w intensyfikacji różnych form kultu zmarłych (rozpowszechnił się np. i zintensyfikował zwyczaj chodzenia na groby bliskich w czasie świąt Bożego Narodzenia czy na Wielkanoc), kult ten zaś, w zgodzie z tradycją polskiej obyczajowości XIX-wiecznej nabrał wyraźnych znamion prywatnego kultu wartości zbiorowych. Gdy zatem czytamy słowa Chabanisa, że *grób jest protestem, czymś w rodzaju świadectwa życia przeciwko i wbrew śmierci*, wówczas, nie odmawiając słuszności takiej interpretacji, dorzucić musimy, że cmentarz, w polskiej kulturze współczesnej jawi się jako obszar osobliwej integracji żyjących z umarłymi i żyjących obok (a raczej wobec) umarłych. Owe bowiem ogromne tłumy ludzi na cmentarzach polskich nie tylko w Dzień Zaduszny (Święto Zmarłych!) tworzą bowiem niepowtarzalną wspólnotę – polską wspólnotę, z takim bowiem zjawiskiem nie spotykamy się w innych kulturach europejskich – jednoczą się z umarłymi i poprzez umarłych. Ma to zjawisko niewątpliwie uzasadnienie w kształcie i rozmiarach obecnego polskiego życia religijnego, ale pojawienie się w skali masowej takiej bardzo swoistej formy kultury symbolicznej w kategoriach li tylko aktywności religijnej objaśnić się nie da. Siła oddziaływania XIX-wiecznej tradycji, nie tyle świadomie podejmowanej, ile generującej się w obliczu kształtu współczesności, łączy się tu ze wzrostem znaczenia prywatnych form życia, roli rodziny. Na takiej zasadzie publiczne cmentarze stają się publiczną enklawą prywatności i obszarem, na którym obligacje żyjących wobec umarłych wykraczają poza zakres prostych relacji rodzinnych. Polski cmentarz staje się przestrzenią, w której identyfikacja wartości godnych pamięci i czci dokonuje się na zasadzie bezwzględności prawd życia i śmierci. Historia oglądana przez pryzmat cmentarza i grobu jawi się w sposób bezwzględnie prawdziwy i nie podlega manipulacjom – tu więc pewne obiekty (groby) zyskują znaczenie pomników najnowszej historii nie na zasadzie zadekretowania, ale na zasadzie spontanicznego uznania. Tego przecież dowodzi kult ofiar grudnia, stanu wojennego czy stalinizmu. Właśnie w tym zakresie minione dziesięciolecie przyniosło nie-

zwykle głębokie i intensywnie zmiany powołując do życia nowe formy zachowań zbiorowych i nawet nowej symboliki (także nagrobnej). Nie wiem, czy ktoś te zjawiska bada. W prawdziwej powodzi najróżniejszego rodzaju publikacji o śmierci i jej kulturowych implikacjach, skupiających się najczęściej wokół opisów cmentarzy, nie znalazłem ani jednej pracy, która by to zagadnienie omawiała. Wydana staraniem Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej praca A. Michalaka „Tradycje i współczesność polskiej obrzędowości pogrzebowej” o problemach tych milczy. O ile tradycja ukazana została tu w zwięzłym, mocno uproszczonym a dość obiektywnym tylko zakresie (o co trudno mieć pretensję, broszura ma bowiem charakter popularny), o tyle współczesność jest tu raczej projekcją oczekiwań i dążeń; zasadniczy trzon pracy Michalaka stanowi scenariusz świeckiego obrzędu pogrzebowego. Nie tu nrefse, by rzecz tę szczegółowo dyskutować, godzi się jednak dostrzec czystość intencji autora, zwłaszcza wobec – także przez piszącego te słowa stwierdzanego nie raz faktu – żenującej i wręcz urągającej godności zmarłego człowieka symplifikacji i pauperyzacji pogrzebów świeckich. Broszura Michalaka zasługiwałaby z pewnością na dogłębniejszą analizę i omówienie, gdyby nie fakt, iż tworząc kulturowy obraz śmierci zjawiska fundamentalnie ważne ujmuje – z autorskiej strategii – w sposób żenująco trywialny. Pisząc np. o duszy autor stwierdza, że w *psychice ludzkiej w odległych czasach powstały swoiste wierzenia, podania i przesady na temat śmierci, powstał lęk i obawa przed nią. Wytworzono pojęcie duszy, tj. czegoś, czego nie można dotknąć, ale co ma taką postać jak sam człowiek, że w człowieku istnieje jeszcze inna istota, która gdy wyjdzie z ciała, to ciało leży bez poruszenia, bez życia. Tym czymś jest dusza, ożywiająca człowieka. Opuszcza ona ciało ludzkie, ale może wrócić, bo śmierć to dłuższy sen. Stąd powiedzenie i napis na nagrobkach: „Spoczywaj w pokoju”, „Pokój Twojej duszy”, „Śpij snem wiecznym”, „Śmierć jest tylko snem” i inne. Dusza jest utożsamiana z oddechem, tchnieniem, krwią*. Uznając, że sapienti sat, można na tym zamknąć omawianie broszury Michalaka.

Ogromną natomiast wartość poznawczą przyznać trzeba materiałom dotyczącym tradycji i współczesności zgromadzonym w „tanatologicznych” tomach czasopisma „Polska Sztuka Ludowa” (1986, nr 1-2 i 3-4). Ale i tu nie znajdziemy odpowiedzi na nurtujące nas pytania o przyczyny, sens i kształt przeobrażeń zachodzących w polskiej postawie wobec śmierci, choć o problematykę tę zatrącają wypowiedzi Aleksandra Jackowskiego, Konstantego Geberta i ks. Jana Twardowskiego. Oba te zeszyty są raczej przejawem owej współczesnej tendencji i wyrazem dążeń do badania rzeczy z największej możliwie liczby perspektyw.

Wnosząc cenne ustalenia do dziejów – że tak rzecz nazwiemy – polskiej kultury śmierci (por. np. Tadeusz Piersiak „Barokowa sztuka dobrego umierania“, „Polska Sztuka Ludowa“ 1986, nr 1–2) oraz jej współczesności (np. Tomasz Gajda, „Zanikające zwyczaje i wierzenia związane ze śmiercią“, tamże), prace tu zgromadzone dają szczególnie wiele w zakresie rekonstrukcji współczesnego sposobu funkcjonowania grobu i cmentarza jako tekstu kultury, włącznie z rolą pewnych form symboliki śmierci, tu zaś zwraca uwagę szkic Jerzego Chumińskiego „O pewnym typie krzyży nagrobnych“ („Literatura Ludowa“ 1987, nr 2), dotyczący popularnych obecnie krzyży *imitujących pień ściętego drzewa, z boku którego wyrasta zdrowy i mocny adrost, stanowiący równocześnie pionowy słup krzyża*. Szkic Chumińskiego dlatego jest ważny, że przynosi semantyczną analizę symboliki nabierającej cech zjawiska powszechnego właśnie współcześnie, a wykazującej istotne związki z tradycją kultury. Takie semantyczno-antropologiczne podejście do owej problematyki jest dzisiaj ciekawe i rzadkie, aczkolwiek wydaje się niewątpliwe, że właśnie ta metoda badania cmentarza i grobów jako swoistych tekstów kultury jest dzisiaj najbardziej owocna. Uwaga ta nie umniejsza znaczenia różnorodnych materiałów pomieszczonych we wspomnianych zeszytach „Polskiej Sztuki Ludowej“, (podkreślam ważność pracy Krzysztofa Kubiaka „Wokół fotografii nagrobnej“, „Polska Sztuka Ludowa“ 1986, nr 1–2). Wręcz przeciwnie, wydaje się, iż badania historyczne z tego zakresu mają bardzo istotne znaczenie, z grubsza bowiem orientujemy się w problematyce stosunku do śmierci w kulturze staropolskiej, bardziej w gruncie rzeczy przeczuwając niż racjonalnie stwierdzając, że wyglądał on inaczej niż w kulturach zachodnioeuropejskich. Rzeczywiście wiele wskazuje na to, że w Polsce przejście od konwencji „śmierci oswojonej“ (por. Maciej Włodarski, „Ars moriendi w literaturze polskiej XV i XVI w.“, Kraków 1987; Aleksander W. Laubda, „Apoteoza hrabiego Rolanda i wniebowzięcie Pana Longiunusa Podbipięty“ w tomie „Literatura, kultura, folklor“, Warszawa 1988) do postawy związanej z przeżywaniem *śmierci drugiego* (by użyć znanych określeń Ph. Arièsa, „Essais sur l'histoire de la mort en Occident du Moyen Age à nos jours“, Éd. du Seuil 1975) dokonało się wcześniej niż na zachodzie Europy (sugestię taką sformułowałem w książce „Wiersze z cmentarza“, Wrocław 1985). Ale też, jak pokazuje Włodarski, w polskich ars moriendi już w XVI-w. pojawiły się postulaty pożegnania umierającego z najbliższą mu rodziną. Być może właśnie tu, a więc w tradycji już wielowiekowej, tkwią najgłębsze korzenie współczesnego polskiego „renesansu śmierci“. Ważnym na to dowodem jest analiza pewnych szczegółów z „Trenów“ J. Kochanowskiego, w następstwie której Ludwika Ślękowa stwier-

dziła, że za czasów Kochanowskiego *obrzęd weselny w tym przypominał pogrzebowy, że jego częścią stanowił rytuał zrywania łączności z rodziną* (L. Ślękowa, „Głosa do Trenów Jana Kochanowskiego“, „Literatura Ludowa“ 1987, nr 2). Z niejakim uproszczeniem rzecz można, że pozostając sprawą boską śmierć nabierała w ten sposób wymiaru ściśle rodzinnego, nakładała zatem na żyjących dalsze obowiązki związane z uczczeniem pamięci zmarłego. Jeśli nawet wystawne nagrobki i pełne przepychu pompa funebris były miarą wielkości rodu, do którego należał zmarły, to nie tylko dla „snobizmu“ rzecz ta miała znaczenie dla żyjących. Przypomnijmy, że wraz ze śmiercią ostatniego z rodu łamano nad jego zwłokami tarczę herbową i „familiarna“ wymowa tego symbolicznego gestu była pełna dramatycznej ekspresji, oznaczała bowiem koniec istnienia RODZINY. Czekają nas jednak jeszcze wiele prac nad owymi dziejami „kultury śmierci“, nim będziemy w stanie postawić tu wyraźne diagnozy i formułować ostateczne sądy. Ciągłe zaś bardzo wiele spraw czeka na rozpoznanie, niektóre z problemów dopiero się stawia, usiłując w pracach cząstkowych rozwiązywać np. znaczenie i sposób funkcjonowania coraz to bardziej dziś zanikającej pieśni pogrzebowej (por. Magdalena Dużyńska, Anna Enkelking, „Zbiór pieśni pogrzebowych z Huszczy“, „Literatura Ludowa“ 1987, nr 2).

Jednakże nurt główny, najlepiej rozwinięty i wydający najbardziej wartościowe owoce w tej współczesnej tendencji do analizowania z historycznej i kulturowej perspektywy problematyki śmierci, stanowią badania nad polskimi cmentarzami. Prac z tego zakresu ukazuje się coraz więcej i generalnie reprezentują one coraz lepszy poziom. Każdy cmentarz jest inny, więc i sposoby opisu poszczególnych cmentarzy bywają zróżnicowane, zarówno jednak w przewodnikach jak i w monografiach daje się zauważyć coraz wyraźniejszą dążność do ukazywania cmentarzy jako ważnych tekstów kulturowych, których semantyka ma charakter wieloaspektowy, a wiąże się także ze sposobem funkcjonowania cmentarnej przestrzeni jako miejsca kultu realizowanego w różnych postaciach i formach. Rzadziej więc spotykamy się z pracami, w których fakt istnienia cmentarza stanowi pretekst do stworzenia quasi słownika biograficznego, informującego, kto z osób zasłużonych został na danym cmentarzu pochowany. Potrzeby tego rodzaju prac negować nie można; przykładem bardzo celowego ujęcia może być rzetelne opracowanie T. Kikty, który spisał i opisał ponad 600 grobów farmaceutów pochowanych na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, ukazując Powązki jako *nekropol farmaceutyczny*. Jednakże rzeczywiście największą wartość mają tu książki analizujące poetykę przestrzeni cmentarza z jej aksjolo-

gicznym nacechowaniem, stosowaną w cmentarnej architekturze i rzeźbie symbolikę śmierci, rolę i formę nagrobnych inskrypcji, a ponadto dające zarysy historii cmentarza, obyczajowość pogrzebową i pozagrzelalne funkcje znaczeniowe cmentarza jako np. miejsca ważnych manifestacji patriotycznych. Nie poświęcając tu wiele uwagi przewodnikowi po Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, treści w nim bowiem zawarte niewiele wykraczają poza to, co we wcześniejszych swych książkach napisała o tym cmentarzu Karolina Grodziska-Ożóg, autorka zresztą najważniejszych tu tekstów, zwrócić raczej wypada uwagę na monografię Cmentarza Starego na Zabłociu pióra S. Potępy. Do wiedzy o dziejach zakładania pozamiejskich cmentarzy na przełomie XVIII i XIX w. wniósł on sporo istotnych nowych szczegółów, ujmując jednak rzecz w suchej perspektywie faktograficznej. Nie została wskutek tego wykorzystana w tej książce interesująca szansa pokazania, jak proces przechodzenia od klasycyzmu do romantyzmu na cmentarzach przebiegał jakby obok pokoleniowego konfliktu tych dwóch generacji. Pewną wadą książki Potępy jest pominięcie w niej nagrobnych inskrypcji, zaś na cmentarzu tarnowskim znajduje się sporo ciekawych i godnych uwagi nagrobnych wierszy, zwłaszcza młodopolskich, ta zaś poezja na polskich cmentarzach zbyt wielu udanych śladów po sobie nie zostawiła.

Jednakże wydarzeniem najważniejszym było oczywiście wydanie przez Ossolinę świetnej monografii Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie, należącego obok wileńskiego cmentarza na Rossie, Powązek, Cmentarza Rakowickiego i – o ile wiem, już nie istniejącego – wspaniałego cmentarza w Stanisławowie, do najwspanialszych cmentarzy polskich. Książka Niciei jest świetna, ukazuje bowiem cmentarz w wielu różnych perspektywach, a w związku z dziejami Lwowa, widzianymi zresztą w perspektywie bardzo szerokiej i zarazem na tle ważnych procesów zachodzących w kulturze polskiej. Cenzuralne względy czy może raczej pamięć o nich sprawiły, że de facto pominięta tu została sprawa Cmentarza Orląt, z autorskich jednak deklaracji wiemy, że drugie wydanie książki zostanie w tym względzie uzupełnione. Zawierając w swej książce ogrom wiedzy o Lwowie i jego wybitnych mieszkańcach, autor nie zamknął jednak swego spojrzenia na cmentarz w ławo mogącej się narzucać perspektywie „słownika biograficznego”, lecz skupiając uwagę na fakcie, iż Cmentarz Łyczakowski ma charakter krajobrazowo-parkowy, w proporcjonalny sposób wyważył i ukazał kwestie stąd wynikające. Książka Niciei ma przy tym rzetelny walor dokumentu, dzięki czemu wyraźnie można dostrzec rolę, jaką odegrał ten cmentarz w polskiej, że tak rzecz nazwiemy, „kulturze śmierci” XIX i XX w. Był bowiem Cmentarz Łyczakowski swoistym wzorem form ekspresji śmierci, przejmomo-

wanych i powtarzanych na innych cmentarzach, czego dowodem jest np. fakt, iż pewne teksty nagrobne bardzo dziś w całej Polsce popularne (*Wszystko co miałem w tym grobie się mieści, / Śmierć wszystko zabrała, nie wzięła boleści*) wywodzą się właśnie z Łyczakowa. We Lwowie też wykształciły się pewne specyficzne formy kultu zmarłych i wiele ich elementów weszło do polskiej kultury obyczajowej. Dlatego książka Niciei stanowi bardzo ważny krok na drodze do stworzenia wielkiej syntetycznej monografii cmentarzy polskich.

W syntezie takiej ważne miejsce trzeba będzie poświęcić cmentarzom wojennym na ziemiach polskich. Tu zaś trzeba wykonać wielką pracę monograficzno-ewidencyjną, tym pilniejszą, że w zatrważającym tempie niszczą bezpowrotnie (wiele z nich uległo już całkowitej zagładzie) cmentarze z czasu I wojny. I choć w latach powojennych ukazało się sporo różnego rodzaju przewodników po miejscach walki i męczeństwa, to jednak solidnych prac o charakterze dokumentarnym z tego zakresu ciągle brak. Na tym tle praca U. Oettingen o cmentarzach z I wojny na Kielecczyźnie jawi się jako jawisko wyjątkowe. Cmentarze z I wojny na tym obszarze nie są może tak efektowne, jak słynne cmentarze z Beskidu Niskiego, ale rangi pracy autorki to nie umniejsza. U. Oettingen trafnie zauważa, że pierwotnie cmentarze te powstały jako pomniki zaborczej władzy, doczekały się jednak powszechnej akceptacji *stając się pomnikami ludu świadomego swojej historii i tradycji*. Ale też te właśnie cmentarze są dramatycznym świadectwem tragizmu polskiego losu, o którym przejmująco pisał Edward Słoiński w znanym wierszu, gdy mówił o Polakach *z dwóch wrogich sobie szanów* patrzących śmierci w twarz. Rzetelna, dokładna praca U. Oettingen uprzytamnia także, z jakimi ogromnymi trudnościami uporać się będzie musiał monografista wojennych cmentarzy z Beskidu Niskiego. Tam bowiem w ciągu niezmiernie krótkiego czasu powstało niemal 400 znakomicie komponowanych cmentarzy (zob. O. Duda, „Cmentarze wojenne z lat 1914–1918 w Beskidach”, „Wierchy” LIII, 1984, s. 176–196), należących dziś do najbardziej zniszczonych, ale i najcenniejszych zabytków w Polsce. Dobrze by więc było, gdyby doczekały się przede wszystkim przekładu na język polski choćby dwa wstępne rozdziały wspaniałej, o ile wiem, w Polsce niedostępnej, wielkiej księgi Rudolfa Brocha „Die westgalizischen Heldengraber” (Wiedeń 1918), uprzytamniającej np., że wśród artystów realizujących to gigantyczne przedsięwzięcie był także Wojciech Kossak. Przekład tego dzieła ułatwiłby i uwiarygodnił prace o charakterze dokumentarnym, bez których trudno sobie wyobrazić sporządzenie porządknej monografii owych cmentarzy.

Wzorowym przykładem dokumentacyjnej rzetelności jest zespolowa a wykonana pod kierunkiem A. Biernata praca zrealizowana na paryskich cmentarzach, dająca rzetelnie komentowany zestaw inskrypcji na grobach Polaków – cenne źródło do badań historycznych i kulturowych. Mówiąc nawiasem, A. Biernat jest świetnym znawcą tej problematyki, czego dowód dał w socjologiczno-historycznym studium o XIX-wiecznej epigrafice, w tym także cmentarnej, na ziemiach Królestwa Polskiego. Badania statystyczne tworzą tu bezcenny kontekst dla prac z zakresu historii kultury, szczególnie dla określenia historyczno-socjologicznych uwarunkowań poetyki inskrypcji.

Ogromnisze, które w szczególny sposób stały się udziałem cmentarzy żydowskich na ziemiach polskich, każe baczniej zwracać uwagę na prace z tego zakresu. O problematyce żydowskiej ostatnio pisze się u nas wiele i chętnie, kompetentnych jednak prac powstaje niewiele. Bariera językowa i kulturowa okazuje się nieraz przeszkodą nie do przebycia. Dla I. Zawidzkiej prezentacja kirkutu w Wiśniczu stała się przede wszystkim pretekstem do dania zwięzłego zarysu historii Żydów w Wiśniczu; żydowski cmentarz w Wiśniczu został założony w połowie XVII w. – jego opis w książeczce Zawidzkiej ma charakter popularny i opiera się głównie na informacjach z drugiej ręki, ale popularyzatorską funkcję ta praca wypełnić może dobrze.

Na szczególną natomiast uwagę zasługuje wydany bardzo pięknie przez wydawnictwo „Sport i Turystyka” znakomity album A. Bujaka „Nekropolie królów i książąt polskich”. Wedle autorского wyznania książka ta powstała w ciągu trzech lat fotografowania nie w celach dokumentacyjnych, lecz by dać *własną, autorską interpretację drogich nam miejsc*. W istocie ten wspaniały album, podobnie zresztą jak książka Niciei o Cmentarzu Łyczakowskim, stał się *przypomnieniem symboli i wywoływaniem żywej pamięci trwania naszej historii*. Symbolikę dzieła doskonale też określa w roli motto dobrany cytat z „Wyzwolenia” S. Wyspiańskiego: *Tu wszystko jest Polską, kamień każdy i okrucieństwo każdy...* Rzecz można, że unosi się nad tą książką duchowy patronat Wyspiańskiego, choć znakomity fotografik daje tu własną wizję i własne spojrzenie na królewskie groby i na polski krajobraz. Podają tu sobie dłonie wielkość i piękno i może dlatego album Bujaka sprawia tak silne, a zarazem i dziwne trochę wrażenie. Wstęp pióra Michała Rożka, trochę suchy, przynosi quantum satis informacji o królach i książętach oraz ich grobach, dając jasny wykład symboliki wykorzystanej na sarkofagach i grobowych pomnikach. Ale najważniejsze w tym świetnym albumie są fotografie Bujaka, bardzo sugestywnie stwarzające nastrój trwania i przemijania, wielkości i piękna, istoty człowieczeństwa zamykającej się w ludzkich

grobach książąt i królów. Ten album najlepiej unaocznia prawdę mówiącą o trwaniu narodowej zbiorowości przez groby jako znaki narodowej tożsamości. I dlatego na tle licznych nowych książek o umieraniu, śmierci i cmentarzach dzieło Bujaka jest zjawiskiem szczególnie cennym.

Jacek Kolbuszewski

Notatki z Ziemi Świętej (I)

Betlejem

Grota Narodzenia. To tu Słowo Ciałem się stało. Czarne od lamp oliwnych i świec sklepienie. Pod ołtarzem srebrna rozeta otacza szybkę, przez którą widać skalną podłogę groty w tym miejscu, w którym Matka Boża urodziła nam Zbawcę.

Pielgrzymi z różnych stron świata, różnego zabarwienia skóry, całują z czcią to miejsce. Parę metrów z boku – miejsce żłobu, w którym Go położyła.

Nie opuszcza mnie tu myśl-ta sama co w Nazarecie: że Pan Bóg niczego Maryi „po protekcji” nie ułatwił. Nie była otoczona komfortem, wygodą czy choćby tylko spokojem. Najpierw ten spis powszechny ludności, akurat w ostatniej fazie ciąży, i trudy ponad stukilometrowej wędrówki, nie w lektyce przecież, a na własnych, może spuchniętych nogach lub na twardym, trzęsącym grzbiecie osła. Potem znów znacznie dalsza wędrówka do Egiptu z Maleństwem i niepokój, czy uda się Je uratować przed siepaczami Heroda. A drogi tam wyboiste i mocno zakurzone, a słońce w dzień przypieka nieźle nawet zimą.

Jakby tego było mało, wszędzie zastają drzwi zamknięte. Nie ma miejsca dla Najpierwszej z pierwszych, dla Królowej królów. Nie znalazło się dla Niej choćby najlichsze mieszkanie, trzeba więc było schronić się w pomieszczeniu nie dla ludzi przeznaczonym.

Na nasze ludzkie, roszczeniowe wyobrażenia to nie do pojęcia. Tyle razy przecież czytałem te fragmenty Pisma Świętego mówiące o Narodzeniu, co roku przed podzieleniem się opłatkiem wigilijnym czytamy 2. rozdział Ewangelii św. Łukasza, a dopiero tu, na tym miejscu ta prawda dotarła do mnie w całej swej niezmiernej surowości, wywołując szok.

Prosimy ciągle Boga o różne dary dla siebie i bliskich, o oszczędzenie trudów i cierpień. A On dla Matki swego Syna nie zastosował żadnej taryfy ulgowej. Od samego początku, aż po Kalwarię, nic nie zostało Jej oszczędzone.

Jerozolima

Do Jerozolimy przyjeżdżamy o wpół do trzeciej w nocy. To wielkie wrażenie, gdy zanurzamy się w święte mury. Z tarasów Domu Polskiego oglądamy po raz pierwszy, z góry, uśpione miasto. Dachy z kopułkami i tarasami, wieżyczki minaretów, złota kopuła meczetu Skały, sylweta Bazyliki Grobu i Zmartwychwsta-

nia. Świat arabski wokół, rano będzie tętnił życiem suku. O 5 zbudzi nas po raz pierwszy głos muezzina nawołującego do modlitwy.

Ciasnymi, gwałnymi handlem uliczkami arabskimi idzie się w stronę dawnej świątyni jerozolimskiej, tej znanej tak dobrze z kart i Starego, i Nowego Testamentu, po zburzeniu której pozostał tylko fragment murów herodiańskich otaczających świątynię – obecnie jedyną świętą miejscę Żydów, słynna Ściana Płacu. Zbierają się tu Żydzi na modlitwy i lamentacje, w dzień powszedni ci najgorliwsi – podobnie jak w naszych kościołach – tłumnie natomiast w wigilie szabatów i świąt. Żyjąc za świętymi murami pośród świata arabskiego przyciągnął nas niezmiennie właśnie ten drugi – żydowski, głównie w jego fascynującym nas wymiarze religijnym, choć nie tylko. Religijnym – przez świadomość korzeni, z jakich się wywodzimy, a także przez świadomość, że w takiej właśnie atmosferze religijnej wychowywał się Pan Jezus. Ale i obyczajowym także – jako ten uobecniony tu nagle nostalgiczny świat, przez tyle wieków integralnie spleciony z żywiołem polskim, mojemu pokoleniu znany już tylko z literatury. Ożywiony w dostatniejszej postaci, bo nie ma tu biedy polskich miasteczek przedwojnia, ale poza tym zdaje się taki sam jak tamten pogrzebany. W tej części Jerozolimy widzi się więc prawie wyłącznie ortodoksyjnych Żydów z pejsami, w kapeluszach, czasem lisich czapach na głowach, w czarnych paltotach, z wystającymi frędzlami szala modlitewnego, czasami w białych pończochach. Zaglądamy w okna mieszkań, przez jedno z nich widać młodego mężczyznę w kapeluszu siedzącego w fotelu, z charakterystyczną, gwałtowną gestykulacją rozprawiającego z kimś w głębi mieszkania.

W wigilię szabat upełnia się ściśle plac koło Ściany Płacu. Podzielony on jest niskim murkiem na dwie części – mniejsza przypada kobietom. Niektórzy stoją przy samej Ścianie, opierając się o nią czołem lub ramieniem w cichej modlitwie. Inni nieco dalej kiwają się rytmicznie, czasem modlą się głośno z książką w rękę. Najdalej od Ściany duża grupa młodych mężczyzn, w pewnym momencie kładą sobie ręce na ramionach i tworząc koło zaczynają przy akompaniamencie śpiewu tańczyć drobnym kroczkiem. Po odśpiewaniu psalmu do Pana koło się rozrywa i nadal trzymając się za ramiona tyłem wycofują się z terenu świątynnego. Pomiędzy modlącymi się krąży cały czas dzieci – mali chłopcy z pejsami, w jarmułkach. Dostrzegam nagle małą dziewczynkę – pewnie chciała do taty lub braci, ale oto podchodzi do niej może pięcioletni chłopiec żywo jej tłumacząc, że nie powinna tu przebywać, że jej miejsce jest wśród kobiet. Wchodzę na kobiecą część placu. Wiele kobiet modli się z książek. Jedna z nich proponuje mi także, nie wiem – Torę czy Biblię.

Za posterunkiem wojska jak nożem uciął kończy się dzielnica żydowska i zarzurzamy się w świat arabski – wieczorem martwy, bo wszystkie sklepiki ukryte zostają po zamknięciu za szczelnymi żaluzjami. W nozdrza uderza też zupełnie inny zapach. Tę mieszaninę kultur i religii odbiera się tu wszystkimi zmysłami. Kiedyś stojąc przed Ścianą Płaczu, patrząc na kiwających się w modlitwie Żydów, nagle wytrąceni zostaliśmy z zadumy głosem muezzina nawołującego przez megafony do modlitwy. Po kilku minutach dołączył do tego dźwięk dzwonów z Bazyliki Grobu.

Różnice w kultach i obyczajach tak wielkie, a przecież wszyscy oni wierzą w jednego Boga. Porozumienie jednak na razie nie wydaje się możliwe.

Brama Damasceńska

Wyczekiwane, nie wiem jak długo, może od „zawsze” spotkanie z Jerozolimą, z Ziemią Świętą, nastąpiło przed Bramą Damasceńską. Wytrenowana zawodowo pamięć wzrokowa konfrontowała teraz przewodnikowe zdjęcia z murami Świętego Miasta, wyrastającymi w nocnej iluminacji sodowych reflektorów wyżej, niż odbieram to później, w dzień. Godzinna jazdę z lotniska Qalandija do tego pierwszego spotkania przesiedziałem prawie w milczeniu, spięty w oczekiwaniu na coś bardzo ważnego. Ważność miejsc przebywania Chrystusa wyraża się również świętością pejzażu i architektury tej ziemi. I tak było już tu: nie przeszkadzało mi, że wkraczałem do Ziemi Świętej pod koronką blanków szesnastowiecznej architektury Sulejmana Wspaniałego. Widziałem przecież i chłonałem, jak pierwszych świadków zdarzeń, odsłonięte fundamenty Bramy zbudowane z wielkich bloków herodiańskiego kamienia. Takie same napotykamy później w dalszych partiach Muru Wschodniego, od strony Doliny Cedronu i fragmentach południowych na styku z Miastem Dawidowym i Murze Zachodnim świątyni – Ścianie Płaczu. Są wielkie: metr, półtora wysokości, ponad dwa szerokości. Modlący się Żydzi na ich tle przy Ścianie Płaczu stają się jeszcze mniejsi i jeszcze bardziej nierealni. Tak jak to pierwsze nocne spotkanie z kamieniami, które od tej chwili będą wołać do mnie przez całe dziesięć dni pielgrzymowania. I które, stale, do dziś mam przed oczami. Złotawo-białe, z zaokrąglonymi przez czas krawędziami, z wyłobieniami i porami zdziałanymi przez wiatr i zimne deszcze, wygładzone dotykiem rąk płaczących – czekających wciąż na Mesjasza.

Mury Jerozolimy pełnią ważną rolę w tworzeniu atmosfery miejsca. To one ograniczają Stare Miasto – sceneryę świętych zdarzeń. Na zewnątrz nich został Wieczernik i Góra Oliwna z Ogrodem Getsemani u stóp. Siedem bram łączy przeszłość ze współ-

czesnością. Całość przestrzeni miasta wewnątrz murów, razem z brudnymi uliczkami arabskiego suku, staje się jednym wielkim sacrum. Jakże ma być inaczej, skoro cięciwą planu Starej Jerozolimy staje się Via Dolorosa, najbardziej święta ze wszystkich ulic świata. Może to dziwne, ale ta nocna Jerozolima z pierwszych godzin, pusta, nierealna, stała się jednym z najmocniejszych wrażeń pielgrzymki.

Tak odczułem pierwszy dotyk Świętej Ziemi.

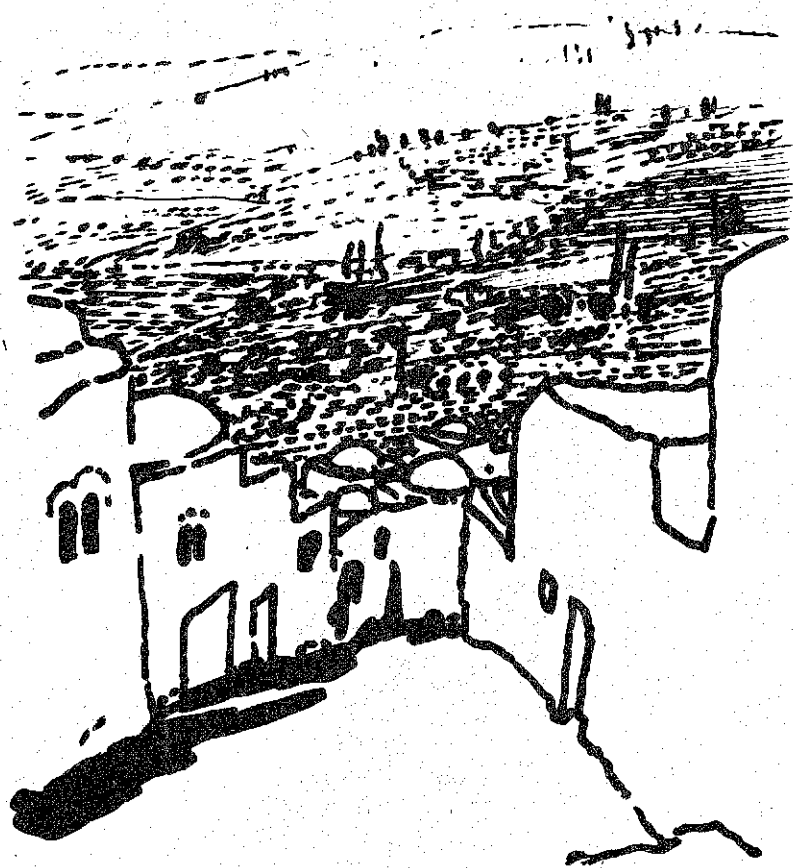
Jordan

Dolina Jordanu – miejsce o tak wielkim ciężarze gatunkowym w przekazach biblijnych, teren tak znaczących wydarzeń, jest teraz niestety niedostępny dla pielgrzymów, będąc terenem walk Żydów z Arabami. Jest jednak jedno niewielkie miejsce, niedaleko Tyberiady, gdzie można się zatrzymać i zanurzyć w świętej rzece. Skorzystalismy więc skwapliwie z tej możliwości, stając się nieoczekiwanie świadkami niezwyklej ceremonii: dorośli ludzie, wśród nich także starcy, w długich białych szatach zanurzają się po szyję w rzece. Okazuje się, że to Grecy ortodoksi odbywają tu uroczystość odnowienia chrztu św.

Nad brzegiem siedzą dzieci żydowskie z kartonami i kredkami i rysują ten obrazek obyczajowy. Na dźwięk mowy polskiej podchodzi do nas jedna z pilnujących matek – Żydówka z Polski – i tłumaczy, że dzieci mają tutaj lekcję na temat różnych religii. Obok siedzi grupa młodzieży żydowskiej pod opieką uzbrojonych nauczycieli. Ten szokujący widok uzbrojonych Żydów, nawet cywili, jeśli są opiekunami jakichś grup, będzie nam towarzyszył przez cały czas. Właśnie zbierają się do odjazdu, ale najpierw odchodzą na bok, żeby się pomodlić. Jedni gorliwie, inni pro forma – ekspresja ruchowa modlitw żydowskich ujawnia bowiem od razu stopień zaangażowania jej wyznawców. Od młodzieży z innych stron świata wyróżniają ich tylko jarmutki na głowach chłopców i urzekająca uroda dziewcząt.

Betlejemka Bazylika Narodzenia Pańskiego

Większość sanktuariów Ziemi Świętej pod względem architektonicznym nie stanowi dzieł wybitnych. Inna jakość góruje tu nad estetyką. Najczęściej kolejne nawarstwienia architektoniczne o różnych stylizacjach tworzą obraz nie zawsze harmonijny. Tak jest w Bazylice Grobu. Czasem rażą efekty dziewiętnastowiecznej i dwudziestowiecznej, eklektycznej architektury towarzyszącej sanktuarium.



< W TEJ SAMEJ OKOLICY PRZEBYWALI
 W POLU PASTERZE I TRZYMALI STRAŻ
 NOCNA NAD SWOJĄ TRZODĄ > ŁK 2.8.
 BETHLEHEM. 5. XI. 88.



Dwa jednak obiekty zachwyciły mnie czystością formy: sanktuarium narodzenia Najświętszej Marii Panny – kościół Św. Anny w Jerozolimie i właśnie Bazylika Narodzenia Pańskiego w Betlejem. Nie oznacza to, iż nie zostały skażone kolcjinymi restauracjami – ich wiek wymagał tego – ale zachowały jednak klarowność i jednolitą atmosferę. Surowa architektura krzyżowców w kościele Św. Anny obok Sadszawki Bethesda i jakby radosna Wielką Nowiną bazylika betlejemską. Betlejem zapamiętuje się przez dwa rodzaje przestrzeni: miękkie, pokryte gajami oliwkowymi i winnicami wzgórz, z których przyszli pasterze w noc Bożego Narodzenia, i osłaniającą Grotę Narodzenia świątynię. Masywna kamiennym detałem podpór, prawie bezokienna od frontu, z niskim i ciasnym dziś wejściem, otwiera nagle wspaniałe wnętrze równe jakością swej przestrzeni najwspanialszym starochrześcijańskim bazylikom Rzymu. Zasadniczy kształt z czasów Justyniana z około 540 r. oparty jest o pięcionawowy układ świątyni, podzielony czterema rzędami monolitycznych kolumn z różowego w odcieniu marmuru czy raczej wapienia – mizzy. Marmurowe kapitele wieńczą kolumny korynckie. Wysokie w proporcji, bo aż dziewięciometrowe ściany nawy głównej rozbite systemem okien i wreszcie ciemny drewniany strop z XVII w. z odsłoniętym belkowaniem – jakże współczesny w rysunku więzara, podpór i detalu belkowania.

Równie surowa kamienna posadzka, niezliczona jak wszędzie tutaj, na Wschodzie, liczba oliwnych lampek dopełniają obrazu. W taką przestrzeń wkracza ostre bezwitrazowe światło, wydobywając w smugach dym lampek, może kadzideł, może kurz – bo tu wcale ta architektura nie lśni jak w Il Gesù – a jest jakby matowa, to jest dobre określenie: jest ciepła, matowa i pachnąca swojskim dymem. Jeśli gdziekolwiek można do cech architektury dodawać zapach, to właśnie tutaj. To dla mnie jedna z najpiękniejszych świątyń świata chrześcijańskiego. Obok San Clemente, franciszkańskiej samotni Assyżu, może kościółka w Grywałdzie, St. Markus Kyrkan w Björkhagen.

Nazaret

Do Nazaretu jadę w nastroju radosnego, niecierpliwego podniecenia: nareszcie zobaczę to miejsce tak przyciągające, bo przez tyle lat splecione z życiem Pana Jezusa, otoczone wszakże tajemnicą, osłonięte milczeniem Maryi i Józefa. Przekazy biblijne nic nie mówią o Ich życiu, o dzieciństwie i młodości Chrystusa poza tym, że *był im poddany, rósł i nabierał mocy, napędzając się mądrością, a łaska Boża spoczywała na Nim* (por. Łk 2,40.51).

Zwiedzana po drodze Cezareza Nadmorska niecierpliwi swoimi rzymskimi ruinami, bo chce się jak najszybciej stanąć na tym miejscu, o którym mówiono pogardliwie: czyż może być coś dobrego z Nazaretu? Niecierpliwość okazała się uzasadniona, bo przyjeżdżamy trochę za późno. Na Grotę Najświętszej Rodziny mamy bardzo mało czasu, bo właśnie cztery Amerykanki wykupiły sobie mszę św., podczas której jedna z nich obdarzona silnym głosem będzie śpiewać solo, więc nas po prostu wyproszone.

Miejsce, w którym dokonało się niezwykle spotkanie Maryi z aniołem Gabrielem, otoczone było kultem od początku, prawdopodobnie pierwotnie przez potomków rodziny Maryi. Budowano na nim przez wieki kolejne, po zburzeniu lub na ruinie poprzednich, świątynie. I tylko Grota Zwiastowania pozostawała niezmienna. Wszystkich nas poraziła jej niebывała surowość, skrajne ubóstwo uzmysławiające, jak trudne musiało być Ich życie. Doświadcza się tu namacalnie prawdy o uniżeniu, cichości, prostocie Ich życia, nieefektownego, niczym się pozornie nie wyróżniającego, bo jego nurt właściwy przebiegał w ukryciu.

Wykopaliska prowadzone na terenie Sanktuarium Zwiastowania pozwoliły na odkrycie pod nim kościoła z okresu bizantyjskiego, a jeszcze niżej znaleziono resztki kolumn utrzymane w stylu synagog z II-III w. Na jednym z kamieni odczytano inskrypcję: XE MARIA (Chaire Maria czyli Zdrowaś Maria), wskazującą na święte miejsce, gdzie siedziała Maryja.

Zatrzymujemy się przy budynku wzniesionym na miejscu dawnej synagogi, do której Pan Jezus uczęszczał jako dziecko i młodzieniec, a w której potem nauczał, tu wypowiedział słowa: *Żaden prorok nie jest mile widziany w swojej ojczyźnie* (Łk 4,24).

Niedaleko Sanktuarium Zwiastowania znajduje się kościół Św. Józefa zbudowany na ruinach świątyni z pierwszych wieków chrześcijaństwa, zwanej ecclesia Nutritionis – miejsce, w którym wychował się Pan Jezus. Postać św. Józefa zawsze mnie fascynowała. Ten wspaniały, powściągliwy, spolegliwy opiekun pozostał do końca całkowicie w cieniu, a przecież musiał być kimś ważnym dla Chrystusa: tym, od kogo się uczył, któremu był posłuszny, którego kochał.

Jak bardzo naszym katolickim, przyznającym się przecież do Chrystusa rodzinom potrzebny jest powrót do radykalizmu Ewangelii, do wzoru życia Rodziny z Nazaretu. Trzeba nam uczyć się od Nich trudnej sztuki całkowitego zawierzenia woli Bożej – tego najbardziej obok posłuszeństwa znamiennego rysu Maryi i Józefa. A także tego, by nie przygnębiała nas szarość, nieefektywność codziennych wysiłków, przeciwnie, abyśmy w nich właśnie dostrzegali wartości, które po nas pozostaną.

Małgorzata i Konrad Kucza-Kuczyńscy

Podgrzewanie ziemi

Uwagi na marginesie „Raportu o stanie świata 1989“

Gdyby nie to, że to luty, a na dodatek nie Sztokholm, lecz Waszyngton, można by powiedzieć, że atmosfera za każdym razem przypomina chwile poprzedzające ogłoszenie werdyktu o przyznaniu którejś z nagród Nobla. Wiadomo, że nastąpi to w końcu lutego, jednak dokładnie kiedy, o tym nikt z tych, którzy czekają na zewnątrz najczęściej na śniegu lub w najlepszym razie na wół zamrożonej mżawce, nie ma pojęcia. Pozostaje więc wyczekiwanie, czatowanie, płacenie mandatów za parkowanie samochodów tam, gdzie robić tego nie wolno, siorbanie kawy w pobliskich kafejkach i bacznie na fronton interesującego wszystkich budynku. Lecz czego nie zrobi dziennikarz, żeby być pierwszym i żeby pochwycić ten „news“, który potem teleksami, telefaxami, satelitami i komputerowymi złączami posybuje w świat i obiegnie go kilkakrotnie? Czego nie robi, ilu mandatów nie zapłaci kilkudziesięciu dziennikarzy, jeśli się zbiorą oni w jednym miejscu, by deptać sobie po piętach i by nie przegapić tej chwili, gdy domysły i przypuszczenia potwierdzą się lub będą musiały ustąpić przed tym, czego nikt się nie spodziewał? Oznaki finału tego oczekiwania zawsze, nieodmiennie, są takie same: najpierw, przed interesującym dziennikarzy budynkiem powstaje zamieszanie większe niż zwykle, jeden za drugim podjeżdżają samochody osobowe oraz „vans“ – niewielkie ciężarówki. To z nich drogocenny ładunek (jeszcze w pakach) jest przenoszony do wnętrza budynku, po czym, po kwadransie lub dwóch, w szklanych drzwiach Szacownej Instytucji ukazuje się Szpakowaty Szef: *Oto on* – mówi do zgromadzonych dziennikarzy, do błyskających fleszów i wyciągających szyje mikrofonów, a w ręce trzyma jeszcze ciepły, pachnący jeszcze drukarnią, starannie oprawiony tom. W ten sposób co 12 miesięcy na rynek trafia kolejny rocznik „Raportu o stanie świata“. Ten ma brązową okładkę i nosi datę: 1989¹. A zaraz potem, gdy opadną już pierwsze emocje, pojawia się pytanie: Co przynosi? Co? Czy rzeczywiście warto było w takim napięciu nań czekać?

Na pewno.

Wszak nie bez powodu już pierwsza edycja cyklu – „Raport-1984“ – spotkała się z ogromnym zainteresowaniem i nadspo-

¹ Lester R. Brown (red.), *State of the World – 1989. A Worldwatch Institute Report on Progress Toward a Sustainable Society*, W. Norton and Company, New York – London 1989, ss. 256. W skład zespołu redagującego „Raport“ wchodzi: Alan Durning, Christopher Flavin, Lori Heise, Jodi Jacobson, Sandra Postel, Michael Renner, Cynthia Pollock Shea oraz Linda Starke.

dziczanym aplauzem; przetłumaczono ją na kilkanaście języków (w tym na polski), powszechnie zaczęto ją czytać w uniwersyteckich campusach na kilku różnych kontynentach. Toteż każdego następnego tomu oczekiwano już, dosłownie, z zapartym tchem, bo oto stała się rzecz niesłychana – w ciągu zaledwie kilku lat publikowany przez waszyngtoński Worldwatch Institute „Raport o stanie świata” w skali globu stał się najpoczytniejszą pozycją tego nurtu literatury naukowej, który za ambicję i cel stawia sobie generalną diagnozę bolączek współczesności, zarazem jednak ani na krok nie cofa się przed próbami spojrzenia w bliższą i w dalszą przyszłość. „Raport” trafił w ogromną lukę na rynku wydawniczym; zainteresowały go bowiem te wszystkie obszary wiedzy, które inni pozostawili odłogiem – te „ziemie niczyje”, z których inni pouciekali w popłochu. Zainteresowały go najszerzej pojęte STYKI I POGRANICZA. Pierwsze z nich to pogranicza teraźniejszości i przyszłości; drugie, trzecie... dziesiąte to, kolejno, pogranicza najrozmaitszych dziedzin nauki, które w dobie nadmiernego rozczłonkowania wiedzy ze wszystkich sił i za wszelką cenę należy scalać i integrować. A nade wszystko – to **POGRANICZE GOSPODARKI I EKOLOGII** – ten styk, którego eksploracji w skali globu w tej chwili najpilniej nam potrzeba, a o którym, jak do tej pory – co może zakrawać na swoisty paradoks! – wciąż jeszcze najmniej wiemy.

Co zatem przynosi „Raport o stanie świata 1989”?

Podobnie jak we wszystkich 5 poprzedzających go edycjach tego cyklu Lester R. Brown udaje się w nim na poszukiwania uniwersalnej współzależności łączącej wiele różnych, a zwykle postrzeganych tylko z osobna, kryzysowych zjawisk występujących obecnie na naszym globie. **CHCE ON DOSTRZEGAĆ LAS, TAM GDZIE INNI WIDZĄ CO NAJWIŻEJ DRZEWA.** Erozja gleby... eksplozja demograficzna... pustynnienie znacznych obszarów... niewłaściwa strategia energetyczna – to, jego zdaniem, tylko zewnętrzne przejawy ogólnosiwiatowego przesilenia, wierzchnia warstwa problemu. Jego zaś interesuje to, co tkwi głębiej, niekiedy aż kilka pięter pod powierzchnią; to, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Stąd też częste, bardzo niespodziewane, a kłójące się ze stereotypami propozycje: sprowadzenie do wspólnego mianownika deficytu finansowego i nierównowagi ekologicznej; stawianie znaku równości między wysychaniem znacznych połaci poszczególnych kontynentów a zanikiem łowisk i łąwic na kontynentalnych szelfach... Kluczowym zagadnieniem są tu jednak przede wszystkim **ZMIANY, KTÓRYM AKTUALNIE PODLEGA KLIMAT WSKALI CAŁEJ PLANETY.** W tym też sensie „Raport” ten bezpośrednio nawiązuje do treści „Raportu o stanie świata” sprzed 4 lat; stanowi jego kontynuację i rozszerzenie. A że – jak dotąd – na łamach „PP” nie było jeszcze okazji,

by przedstawić treść tamtej publikacji, może warto przed przystąpieniem do bardziej szczegółowego omówienia „Raportu” tegorocznego – najpierw pokrótce przypomnieć zawartość tamtego jego poprzednika sprzed 4 lat?

Rok 1985: ekspansja Afryki

W centrum zainteresowania „Raportu o stanie świata 1985”² znalazła się Afryka. Nie przypadkiem. Zdaniem jego autorów jest to bowiem ta część świata, na której przykładzie najlepiej można dostrzec ogrom zagrożeń i problemów, przed którymi aktualnie staje ludzkość. Zgoda: kontynent ten na pewno ma coś z krzywego zwierciadła – wiele występujących tam trendów to przerysowanie tego, z czym w formie załączkowej spotkać się można gdzie indziej; jednocześnie jednak ma on coś z ośmiornicy... i to takiej, której macki rozsuwają się coraz dalej, coraz szerzej. Dzisiejsza Afryka i afrykański syndrom przeludnienia, pustynnienia i głodu nie kończy się już bowiem na granicach jednego kontynentu. Wschodzące ziarno tego syndromu gołym okiem rozpoznać już można także w innych częściach świata. Właśnie to zespół Worldwatch Institute nazywa *EKSPANSJĄ AFRYKI*. Nie, nie chodzi o żaden gospodarczy boom; mowa o ekspansji zagrożeń.

Najbardziej namacalnym dowodem owej „migracji Afryki” może być saharyjski piach odnajdywany dziś tak w chmurach nad Morzem Karaibskim jak i we mgle opadającej na Mediolan. Pogłębiające się począwszy od 1967 r. pustynnienie Afryki przez długie lata uznawano za skutek przewlekłej anomalii pogodowej, za rezultat suszy trwającej wiele kolejnych lat. Dopiero „Raport 1985” zaproponował nieco inne podejście i – co za tym idzie – zasugerował odmienne rozwiązanie tej makabrycznej łamigłówki; jego zdaniem wieloletni brak deszczu jedynie przyspieszył procesy wysychania kontynentu – susza klimatyczna uwypukliła tylko i wyciągnęła na powierzchnię kontynentalną suszę strukturalną. Rzeczywistą przyczyną „afrykańskiego syndromu” jest natomiast gwałtowne zakłócenie równowagi ekologicznej spowodowane nieławnymi praktykami gospodarczymi i nadmierną presją demograficzną.

„Raport 1985” stwierdza: *Każdy region, subkontynent czy nawet cały kontynent ma tylko ograniczoną, a ekologicznie uwarunkowaną, zdolność nośną (carrying capacity), w ramach której mogą dokonywać się procesy gospodarcze i wynikające z nich ruchy ludnościowe. Po przekroczeniu krytycznej wartości natężenia tych pro-*

² Lester R. Brown (red.), *State of the World – 1985. A Worldwatch Institute Report on Progress Toward a Sustainable Society*, W. Norton and Company, New York – London 1985.

cesów zdolność nośna regionu gwałtownie maleje, w końcu zanika. Właśnie to – zdaniem tej edycji „Raportu” – w ciągu ostatnich 20 lat nastąpiło w Afryce.

Mimo że spisany w oparciu o dane zebrane na Czarnym Lądzie, scenariusz sformułowany przez zespół L. Browna jest scenariuszem uniwersalnym – w praktyce, z niewielkimi modyfikacjami, może on wystąpić wszędzie. Zwiększony przyrost naturalny powoduje wzrost gęstości zaludnienia na terenach tylko z rzadka dotąd zasiedlanych. Głód przestrzeni pod nowe siedziby ludzkie i pola uprawne wzmaga presję na obszary zalesione. Następuje intensywny wyrąb lasów, a na pozyskanych w ten sposób terenach pojawiają się nowe wioski i osiedla. Karczowiska zamieniane są w pastwiska i pola. Pozbawiona okrywy roślinnej ziemia traci swą poprzednią spoistość i źle magazynuje wilgoć ze sporadycznie zdarzających się deszczów. Uprawa prowadzona w tak niekorzystnych warunkach nieuchronnie musi prowadzić do degradacji gleby – wzmożonej erozji i tracenia własności odżywczych. Z kolei zbyt intensywny wypas bardzo licznych trzód na nazbyt suchych terenach doprowadza do dewastacji świeżo pozyskanych pastwisk. Zarówno pola jak i pastwiska zaczynają pustoszeć. Tony źle związanych cząsteczek podłoża unosi wiatr, zmywają je także krótkotrwałe, lecz zwykle bardzo gwałtowne deszcze. W tej sytuacji – nawet jeśli istnieje – system irygacyjny w krótkim czasie musi ulec zasypaniu albo zamuleniu. Niedawny las przeradza się w pustynię. W ślad za tym pojawia się głód. Rozlega się wołanie o pomoc...

W przeszłości na tak wielką skalę katastrofy ekologiczne w Afryce nie występowały głównie dlatego, że mniej liczna ludność w dużej swej części prowadziła koczowniczy tryb życia. Mniejsze grupki ludności dysponowały większymi rezerwami, to zaś powodowało, że „zdolność nośna” ekosystemu, na kontynencie tym dużo niższa niż np. w Europie czy na sporych obszarach Azji, była w stanie sprostać niezbyt intensywnym, a na dodatek rozłożonym i w czasie, i w przestrzeni praktykom gospodarczym. Zwiększenie gęstości zaludnienia oraz przechodzenie od koczowniczego do osiadłego trybu życia – a więc koncentrowanie intensywniejszego gospodarowania na mniejszym obszarze – naruszyło tę bardzo kruchą równowagę ekologiczną. W finale doprowadziło to do katastrofy ekologicznej w skali kontynentu. Choć „Raport 1985” wprost tego nie wypowiada, można chyba pokusić się o stwierdzenie, iż ta „afrykańska diagnoza” całkiem inaczej każe nam dziś patrzeć na koczowniczy tryb życia wielu tubylczych plemion. Jest to już nie tyle prymitywny sposób egzystencji, ile raczej tryb życia optymalnie przystosowany do „zdolności nośnej” danego terytorium, danego ekosystemu.

Afryka to przypadek ekstremalny. Lecz „Raport” ten mniejsze – nazwijmy je tak – raczkujące Afryki dostrzega na co najmniej 4 dalszych kontynentach! Wysychanie i przesuszanie – w swych załączkowych formach jakże trudne do zaobserwowania! – jest jego zdaniem jednym z najbardziej charakterystycznych procesów globalnych schyłku XX w.! Pustynnienie nie jest spektakularne: jest powolne, czołgające się, szare i zakurzone. Lecz mimo to, mimo tej przemysłowej i podstępnej mimikry, L. Brown potrafi wskazać obszary najbardziej nim dziś zagrożone. Są to: **INDONEZJA** (gdzie coraz częściej zdarzają się pożary lasów na terenach nigdy dotąd na nie nie narażonych świadczą o znacznym przesuszeniu wilgotnych z reguły zarośli i o stałym obniżaniu się poziomu wód gruntowych); **OBZAR WIELKICH PRERII** w Stanach Zjednoczonych (gdzie nadmierna erozja gleby prowadzi do niezwykle szybko postępującej dewastacji regionu do niedawna jeszcze uchodzącego za zbożowy Kuwejt świata); **POGÓRZA HIMALAJSKIE I ANDYJSKIE** (gdzie wyrąb lasów oraz rozszerzająca się uprawa nie otarasowanych zboczów powodują galopującą degradację gleby); oraz **EUROPA ŚRODKOWA** (gdzie masowo wymierają lasy, a od przeszło 20 lat obserwuje się stałe obniżanie lustra wód gruntowych). Ale i na tym nie koniec. Bo zdaniem „Raportu 1985” wysychają i pustynnieją również oceany.

„Pustynnienie morza” to oczywiście tylko przenośnia; rzecz w tym, że za „oceaniczny drzewostan” L. Brown uznaje ryby, a za morski odpowiednik tropikalnych lasów – ich ławice. Zwraca on uwagę na zjawisko „przełowienia” oceanów i na wytrzebienie znacznego odsetka rybnych zasobów. Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte to okres najbardziej dynamicznego rozwoju rybołówstwa morskiego. Jego skutkiem było załamanie się wielu fragmentów oceanicznego ekosystemu oraz znaczne, niekiedy sięgające aż 90%, obniżenie się liczebności ryb, często – całkowity zanik niektórych gatunków. Najbardziej znanym przykładem może tu być zanik łowisk sardeli u wybrzeży Peru i ławic dorsza na północnym Atlantyku. Winę za ten stan rzeczy ponoszą przede wszystkim niekontrolowane odłowy i ich absurdałna niewybiórność. Łowiono wszystko, wszystko to, co wpadało w sieć. Zamiast pozabawiać łańcuchy pokarmowe tylko ich najwyższych ogniw, przerywano je wielokrotnie, często na bardzo niskich piętrach. Potem ten „rybi chrust” – zwykle nie nadający się w ogóle do spożycia – masowo przerabiano na mączkę rybną i nawozy. Dławiący zapach mączki rybnej, tak charakterystyczny dla miast portowych w państwach najbiedniejszych, to odór ludzkiej głupoty i krótkowzroczności – konkluduje „Raport 1985”. A sytuację oceanów dodatkowo pogarsza jeszcze fakt, że większość obszarów tarła znajduje się w okolicach

ujść wielkich rzek, tam gdzie skażenie wód powodowane spływającymi do oceanów ściekami jest największe...

Rok 1989: cieplej, coraz cieplej...

Tak jak mówiłem, ciąg dalszy „tropienia Afryki” na innych kontynentach następuje w „Raporcie o stanie świata 1989”. Tym razem autorzy nie zadowalają się już jednak odnajdywaniem załączków pustynnienia, przesychania i jałowienia w poszczególnych regionach świata czy w głębinach oceanicznych basenów; do problemu chcą podejść globalniej, chcą go ujrzeć w skali całej kuli ziemskiej. Interesują ich przede wszystkim – po pierwsze – ogólnosiwiatowe skutki stopniowego ocieplania się klimatu z powodu narastania tzw. efektu cieplarnianego oraz – po drugie – następstwa, jakie to będzie miało dla rolnictwa i sytuacji żywnościowej ziemi.

Pierwsza część problemu w takiej postaci po raz pierwszy została głośno wyartykułowana w czerwcu 1988 r. przez czołowego amerykańskiego klimatologa, Jamesa Hansena, dyrektora jednej z agend NASA – Instytutu Studiów Kosmicznych im. Goddarda. W swym wystąpieniu przed senacką komisją ds. energii i zasobów naturalnych stwierdził on, że *w 99% jest przekonany, iż jesteśmy obecnie świadkami występowania „efektu cieplarnianego”, co do możliwości pojawienia się którego od dawna już spekulowano*. Przypomniął on, że 4 najcieplejsze lata bieżącego stulecia (1980, 1981, 1983 i 1987) wystąpiły właśnie w latach osiemdziesiątych, a także wskazał na to, iż rok 1988 może okazać się pod tym względem znów rekordowy (co w praktyce się potwierdziło). Stwierdził też, iż aktualnie występujące trendy klimatyczne są w pełni zgodne z tymi, które można było przewidzieć na podstawie cyfrowych modeli warstw „gazów cieplarnianych” gromadzących się w atmosferze.

Przypomnijmy – „efekt cieplarniany” to stopniowe zmniejszanie się zdolności Ziemi do wypromieniowywania ciepła docierającego do jej powierzchni za pośrednictwem promieni słonecznych; ubytek ten jest wprost proporcjonalny do wzrostu koncentracji związków węglowych w atmosferze, trafiających tam w następstwie wszelkich procesów spalania. Jeszcze do niedawna stwierdzenie Hansena musiało by stać się powodem poważnych sporów i kontrowersji, obecnie jednak nic takiego nie ma miejsca; zamiast tego stało się ono źródłem dość szerokiego „consensusu”. Mnożące się anomalie pogodowe dostarczają bowiem więcej niż dostatecznej liczby poszlak na potwierdzenie głoszonej przezeń tezy.

Ulewnie deszcze spadają dziś tam, gdzie ich dotąd w ogóle nie było, lub gdzie należały do wielkiej rzadkości; przeciągłe susze

zdarzają się na obszarach dotąd prawie wcale na nie nic narażonych. Tradycyjna konfiguracja klimatyczna, do której przywykliśmy przez stulecia, tak wyraźnie rozchwieła się, iż w zasadzie w świecie nauki panuje dziś pełna zgodność co do tego, że **STOIMY U PROGU ZNAZNENGO OCIEPLENIA SIĘ KLIMATU NA ZIEMI**. Pewność tę uzyskano praktycznie w ciągu ostatniego roku, w ciągu ostatnich kilku miesięcy; jak stwierdza cytowany przez L. Browna w „Raporcie 1989” John Prior, jeden z dyrektorów Narodowego Centrum Badań nad Atmosferą z siedzibą w Boulder, *spierać się dziś można już tylko o skalę i o następstwa tej klimatycznej przemiany*. Sama przemiana natomiast dla wszystkich stała się już faktem.

Przypuszcza się, że podwojenie się zawartości związków węgla w atmosferze w porównaniu ze stanem sprzed pierwszej rewolucji przemysłowej (tej, počawszy od której zaczęło się wzmożone spalanie drewna, węgla, a następnie ropy naftowej) powoduje średni wzrost temperatury powietrza o 2–6°C. Gdybyśmy mieli nic nie zmienić w naszym podejściu do uzyskiwania energii, nastąpić by to musiało już w 2030 r. – w momencie, który *jest dziś od nas mniej odległy niż chwila zakończenia II wojny światowej*.

Lecz samo określenie średniego wzrostu temperatur – gdyby na tym chcieć poprzestać – mogłoby okazać się nad wyraz mylące. Rzeczywiście zmiany klimatyczne będą bowiem całkiem inne od wartości średnich, obliczonych i przewidzianych na papierze. Jak się ocenia, wzrost temperatury nie będzie rozłożony ani jednostajnie, ani równomiernie; będzie największy w średnich i wyższych szerokościach geograficznych – znacznie wyższy nad powierzchnią lądów niż nad powierzchnią oceanów. W okolicy równika temperatury zmieniają się w stopniu najmniejszym, natomiast w strefie umiarkowanej przyrost ciepła z łatwością będzie mógł przekraczać nawet dwukrotnie wartości przyrostów średnich (czyli osiągnie aż 4–12°C). Tu też znajduje się istota problemu, istota największych potencjalnych zagrożeń: większość upraw zbożowych jest dziś skupiona na półkuli północnej, właśnie w strefie umiarkowanej, zaś stosunkowo najmniej żywności pochodzi ze strefy równikowej. Pytanie o skalę przyszłych zmian klimatycznych staje się więc po części pytaniem o przyszłą sytuację żywnościową ziemi.

Dziś jeszcze trudno o detale, szczegóły. Modele meteorologiczne sugerują jednak, iż spadek wilgotności gleby spowodowany zmniejszającą się ilością opadów oraz wzrostem temperatury, najbardziej nawiedzi **CENTRALNE REGIONY STANÓW ZJEDNOCZONYCH, PAS CZARNOZIEMÓW W ZWIĄZKU RADZIECKIM oraz ŚRODKOWE OBSZARY CHIN**. Co najciekawsze – tereny te w dużym stopniu pokrywają się z tymi wymienionymi w „Raporcie 1985”, narażonymi na pustynnienie, nadmierną erozję gleb i występowanie „suszy strukturalnej” z obszarami uznawanymi dotąd za forpocztę

„rozszerzającej się Afryki”. Czyżby miał to być przypadek? Czyżby przypadkowa okazać się miała aż tak daleko idąca zbieżność? A może... chybiona była po prostu poprzednio sformułowana diagnoza?... Nie, najprawdopodobniej tak nie jest, choć wiemy jeszcze zbyt mało, by móc stwierdzić to z całą pewnością; można przypuszczać, iż regiony te, charakteryzując się obniżoną „nośnością ekologiczną” (spowodowaną niewłaściwymi praktykami gospodarczymi czy jak w przypadku USA nadmierną eksploatacją rolną), zadziałały jak gigantyczny papierek lakmusowy i – po prostu jako pierwsze zareagowały na „podskórnie” narastający „efekt cieplarniany”. Oznacza to także, iż zarówno dziś jak i w przyszłości, coraz trudniej będzie można oddzielić od siebie 2 różne komponenty w procesie stopniowej degradacji i przekształcania się tych ziem w tereny sawannopodobne: pierwszą z nich – „suszę strukturalną” (powodowaną systematycznym obniżaniem się poziomu wód podziemnych i gruntowych), i drugą – następstwa narastania „efektu cieplarnianego” (wzrost parowania, wzrost temperatury). Oba te składniki wzajemnie się bowiem zacerbają i wzmacniają tworząc swoiste perpetuum mobile – tworząc dodatnie sprzężenie zwrotne przyczyn i skutków.

W wyniku zmian klimatycznych o zasięgu globalnym, w perspektywie najbliższych lat wysokość plonów z hektara w regionach tradycyjnie uznawanych za spichlerz świata (np. Wielkie Równiny) może obniżyć się nawet dwukrotnie (z 6 ton metrycznych do 2,5 tony). W związku ze znacznym przesuszeniem w coraz większym stopniu trzeba będzie przechodzić tam do upraw coraz mniej intensywnych, a część ziem obsiewanych od dziesięcioleci zostanie przekształcona w nisko wydajne pastwiska. Z drugiej strony areal siewów intensywnych najprawdopodobniej przesunie się bardziej na północ; pszenica jara, przynosząca przeciętnie 2 tony z hektara, zostanie wyparta przez pszenicę ozimą dającą w tamtejszych warunkach prawie 3 tony, a centralne obszary upraw zbożowych sięgną aż po kanadyjską Albertę. Podobne przesunięcie na północ nastąpi także w Azji centralnej i w środkowych Chinach; sumarycznie jednak – po uwzględnieniu MOŻLIWOŚCI przejścia na bardziej wydajne odmiany zbóż na północy oraz KONIECZNOŚCI uprawy odmian mniej intensywnych na południu – otrzymamy wynik ujemny. Tak więc potencjalnie wielkość produkcji zbóż w przeliczeniu na głowę mieszkańca w perspektywie najbliższych lat najprawdopodobniej znacznie obniży się.

I nie powinno to być zbyt wielkim zaskoczeniem; już dziś nie brak ani wskazujących na to znaków, ani niepokojących symptomów. Pierwszym istotnym sygnałem ostrzegawczym jest stały, obserwowany już od 2 sezonów spadek światowych zapasów ziarna na przednówku. Jeszcze w 1986 r. wystarczyłyby one do

wykarmienia ludności świata przez 101 dni; w 1987 r. – przez 89 dni, a w 1988 r. już tylko przez dni 54. Czyli w tym ostatnim roku wyniosły one mniej niż w 1972 r., gdy poziom rezerw osiągnął rekordowo niski stan 57 dni, co w efekcie na rynku światowym doprowadziło do podwojenia się cen zboża. Czy i obecnie – w perspektywie 2–3 trzech lat – może dojść do podobnego szoku cenowego? A może nawet do cenowej hossy porównywalnej ze zwykłą cen ropy naftowej w latach siedemdziesiątych? Pytanie to nabiera szczególnej wagi w sytuacji, gdy głód na Ziemi jeszcze przez dłuższy czas nie będzie należał do rzadkości i gdy w wielu regionach w najbliższych latach trudno mieć nadzieję na odczuwalne zmniejszenie przyrostu naturalnego. Jednak akurat na ten temat „Raport” jednoznacznie się nie wypowiada; relacjonuje tylko te trendy, które w tej chwili są już wyraźnie zarysowane. Brak tu zarówno zdecydowanego „tak” jak i kategorycznego zaprzeczenia, nietrudno jednak odnieść wrażenie, iż możliwości takiej wcale nie wyklucza.

Dziura w niebie

Lecz stopniowe ocieplanie się klimatu powodowane jest nie tylko przez lotne związki węgla, tzw. gazy cieplarniane. Innym, nie mniej groźnym winowajcą jest ozon – tlen trójatomowy. Znajdować się on powinien w wyższych warstwach atmosfery (12–25 km nad Ziemią), ale na skutek naruszenia jej stratosferycznej powłoki ozonowe drobiny coraz częściej odnajdywane są na niewielkich wysokościach. To zaś, jak wykazują ostatnie analizy, w jeszcze większym stopniu hamuje wypromieniowywanie ciepła z najbliższego otoczenia; powoduje jeszcze większe narastanie efektu cieplarnianego.

Na swym właściwym miejscu ozon w atmosferze spełnia niezwykle ważną funkcję. Stanowi on filtr, który zatrzymuje promieniowanie ultrafioletowe docierające z kosmosu w okolice Ziemi. **JEDYNY FILTR!** Żaden inny związek chemiczny nie jest w stanie wyręczyć go w tym zadaniu – tam gdzie zabraknie O_3 , promieniowanie wysokiej częstotliwości bez żadnych przeszkód dociera do niższych warstw atmosfery! Tu zaś może stać się przyczyną wielu kłopotów i komplikacji. Przykładowo: może spowodować zwiększenie się liczby przypadków schorzeń oczu (katarakty) i różnych odmian raka skóry; może wywołać pojawienie się dotąd nie znanych mutacji roślin, owadów (szkodników?), zwierząt. A jakby i tego było jeszcze mało – spowodować może stopniowy rozpad wielu powszechnie w tej chwili stosowanych tworzyw sztucznych (np. w budownictwie), a także ogólne obniżenie się odporności organizmów żywych (w tym także ludzi!). W czasach gwałtownie rozszerzającej

się epidemii AIDS szczególnie to ostatnie może mieć zgubne skutki.

Dane w „Raporcie 1989” na temat zmian, które w ostatnich latach zaszły w spoistości otaczającej Ziemię warstwy ozonowej, są bardziej niż alarmujące. Proces rozkładu „ozonowej tarczy” stał się zauważalny w początkach lat siedemdziesiątych; z uwagi na specyfikę cyrkulacji atmosferycznej szczególnie narażone na ubytek O_3 okazały się okolice wokół obu biegunów. Tam też – zwłaszcza na półkuli południowej – w chwili obecnej koncentracja ozonu w sezonie wiosenno-letnim obniża się średnio o 40–50%, by w niektórych, coraz liczniejszych punktach, okresowo w ogóle zanikać. Stąd też w wielu publikacjach coraz częściej zaczęto mówić o *ozonowej pułapce* albo o *ozonowej dziurze*. O najprawdźwszej z możliwych „dziurze w niebie”.

Jak łatwo się domyślić – podobnie jak odkładanie się „gazów cieplarnianych” – także „wykruszanie się” ozonu w stratosferze jest wywołane zbyt długimi rękoma człowieka. Jego przyczyną jest emitowanie do atmosfery związków chloru, fluoru i bromu, które w przyrodzie występują tylko w śladowych ilościach, a które w II poł. XX w. zaczęły być sztucznie wytwarzane na coraz większą skalę. Chodzi tu przede wszystkim o substancje chemiczne nazywane freonami – o fluorochlorowe pochodne metanu i etanu, które w warunkach laboratoryjnych po raz pierwszy zostały otrzymane w 1930 r. przez Thomasa Midgleya. Prace jego nie były żadną sztuką dla sztuki, były przeprowadzone na zlecenie przemysłu amerykańskiego; otrzymany przezeń gaz miał bowiem niezwykle interesujące własności. Nie był ani palny, ani toksyczny, nadto – jego wytwarzanie nie było nazbyt kosztowne. W niedługim czasie po jego odkryciu freon znalazł powszechne zastosowanie w rodzącym się właśnie przemyśle produkującym lodówki, gdzie zaczęto go używać jako podstawowej substancji chłodniczej.

Największym producentem freonu stała się firma „E.I. du Pont de Nemours and Company”. Jej wyjściowa produkcja z 1931 r. wyniosła 545 ton, by do 1945 r. wzrosnąć aż 40-krotnie. W następnych latach liczba ta miała systematycznie ulegać pomnożeniu. Dla freonu znajdowano bowiem coraz liczniejsze, coraz bardziej zaskakujące zastosowania. Wyjściowa substancja – freon-12 (CFC-12) – także zaczęła pączkować; tworzyć zaczęto coraz różniejsze jej odmiany, mutacje, warianty – CFC-11, CFC-13, HCFC-22, a każdy z nich na rynek wkraczał nie mniej pewnym krokiem niż jego poprzednik.

I tak następnym zastosowaniem CFC-12 była produkcja styropianu i rozmaitych plastycznych mas izolacyjnych; CFC-11 w czasie II wojny światowej zaczęto używać w różnych aerozolach i rozpylaczach jako uniwersalny, nietoksyczny gaz lokomocyjny

(nieco później trafił on stąd do przemysłu kosmetycznego, do blaszanych opakowań z lakierem do włosów i z dezodorantami). Lata pięćdziesiąte przyniosły zastosowanie poszczególnych odmian freonu w przemyśle farbiarskim i chemicznym (produkcja gumopochodnej tapicerki samochodowej), a także w instalacjach klimatyzacyjnych wielkich biurów, drapaczy chmur i centrów handlowych; jeszcze trochę później chlorofluorowce zaczęto stosować jako rozpuszczalniki i substancje czyszczące (np. zminiaturyzowane obwody scalone). Ich zastosowanie w chłodnictwie – w przemyśle spożywczym – stało się jak gdyby powrotem do punktu wyjścia tej eksplozji zastosowań (lodówki), z tym że w tysiąckrotnie – albo i więcej! – powiększonej skali. W rezultacie w 1985 r. globalna produkcja wszystkich odmian freonu przekroczyła poziom 1 mln ton rocznie – freon stał się jedną z najpowszechniej wytwarzanych substancji chemicznych na świecie³.

Niepalny. Tani. Nietoksyczny. Ale niewidzialny. Trudny do wykrycia – atakujący dziesiątki, nikielki nawet setki kilometrów od miejsca swego wytworzenia... Długo, bardzo długo nie zdawano sobie z tego sprawy. Z gazem obchodzono się nonszalancko, nie zważając ani na nieszczelne instalacje produkcyjne, ani na ubytki w transporcie, ani na jego litry wydostające się z zepsutych chłodziarek, ani na miliony decymetrów sześciennych ulatniające się wraz z aerozolem z blaszanych pojemników pod ciśnieniem, trafiające następnie do atmosfery. Proces wznoszenia się CFC do stratosfery jest bardzo powolny – drobiny dziś tam docierające zostały wyemitowane w początkach lat osiemdziesiątych. Średnio każdej cząstce freonu zabiera to od 6–8 lat. Tym trudniej było odkryć korelację między wzrostem emisji chlorków i bromków a powiększaniem się dziury ozonowej. Dziś, po kilku latach wzmoczonych obserwacji wszczętych po alarmie z 1985 r. – podobnie jak w przypadku narastania „efektu cieplarnianego” – nikt nie może mieć już jednak żadnych wątpliwości. Współzależność ta jest faktem. Faktem dość przerażającym. Tym bardziej przerażającym, iż – jak się oblicza – na niższych piętrach atmosfery, „w tranzycie” ku „stacji docelowej” znajdują się w chwili obecnej nie mniej niż 2 mln ton CFC. Co się stanie, gdy za 6–8 lat te nowe zastępy „ozonofagów” dotrą na swe „stratosferyczne pastwisko”, kiedy już dziś mówi się, iż nawet przy całkowitym wstrzymaniu ich emisji „zabliźnianie się” ozonowej szramy zajmie do najmniej 300 lat? Co się STANIE? – tym bardziej, iż w tym czasie NOWE setki tysięcy ton gazu zaczną się wznosić ku miejscu swego „stratosferycznego popasu”?

³ Globalnie procentowe zastosowanie CFC w różnych dziedzinach w 1985 r. wynosiło: aerozole – 25%; produkcja pianek izolacyjnych (głównie styropianu) – 19%; rozpuszczalniki – 19%; instalacje klimatyczne – 12%; produkcja chłodziarek – 8%; tapicerka samochodowa – 7%; inne zastosowania (np. przy produkcji gaśnic) – 10%.

W rzeczywistości o tym, „co się stanie?” mamy tylko dość mętne wyobrażenie. Mówmy może tak: Co się stać może? Pominę tu „wkład” zabłąkanych cząstek ozonu we wzmacnianie się „efektu cieplarnianego” (wynoszący, jak się ocenia, około 20%); ograniczę się do wyliczenia domniemanych następstw wytrącania trójatomowych drobiny tlenu ze stratosfery. Podobnie jak w przypadku konsekwencji awarii w elektrowniach atomowych stajemy tu w obliczu dziedziny bardzo słabo poznanej, możemy się oprzeć prawie wyłącznie na ekstrapolacjach i przypuszczeniach. Samo porównanie z awarią siłowni nuklearnej też nie do końca jest przypadkowe – konsekwencje ubytku ozonu w górnych warstwach atmosfery pod wieloma względami są bowiem podobne do następstw wzmoczonego promieniowania radioaktywnego. Promieniowania, które spada wprost na nasze głowy.

Oblicza się, że w ciągu najbliższych 40 lat w wyniku obniżania się koncentracji ozonu w stratosferze, dawka promieniowania ultrafioletowego docierającego do powierzchni Ziemi wzrośnie 5–20%. Ustalono tymczasem, iż każdy jeden procent ubytku ozonu w atmosferze wywołuje 4–6-procentowy wzrost zachorowalności na różne postacie raka skóry, w tym – także na te pociągające za sobą najwięcej przypadków śmiertelnych. W praktyce oznacza to, iż tylko w samych Stanach Zjednoczonych do 2075 r. odnotowanych zostanie 3–15 mln (!) NOWYCH przypadków nowotworów skóry; w liczbie tej przypadków śmiertelnych będzie 52–260 tys. A im dalej w kierunku biegunów, tym bardziej zagrożenie to będzie się potęgować; w szczególnie niewygodnej sytuacji znajdują się takie kraje, jak Argentyna, Chile, Australia i Nowa Zelandia. Mamy tu do czynienia z podwójnym, lecz także symptomatycznym dla schyłku XX w. paradoksem. Po pierwsze – bardzo pozytywny trend, jakim jest zwiększenie troski o energooszczędne kształtowanie procesów gospodarczych, spowodował wzrost produkcji tworzyw izolacyjnych zwiększających szczelność termiczną budynków mieszkalnych; lecz jednocześnie produkcja ta przyczyniła się do zwielokrotnienia emisji CFC do atmosfery, czego – kolejnym – następstwem jest zintensyfikowanie się erozji warstwy ozonowej, ergo zwiększenie dawki promieniowania ultrafioletowego docierającego do Ziemi. Po drugie – kraje, które dziś w stosunkowo najmniejszym stopniu przyczyniają się do emisji freonu⁴ jako pierwsze na własnej skórze (dosłownie!) będą musiały przekonać się o szkodliwości i o niebezpieczeństwach wynikających z tego rodzaju praktyki... Chcąc zahamować jeden niekorzystny trend wzmocniono inny, wcale nie mniej groźny. Na dodatek jego symptomy głównie widoczne będą z dala od miejsca, gdzie go wyzwolono; tam też odczuje się najdotkliwiej jego skutki!⁵

Jak daleko do drugiego brzegu?

Innym zagrożeniem pojawiającym się w wyniku zwiększenia dawki promieniowania ultrafioletowego będzie wzrost liczby poważnych schorzeń oczu. Jak podaje „Raport 1989”, ocenia się, iż w ciągu najbliższych 20 lat w USA pojawi się od 500 tys. do 2,8 mln DODATKOWYCH przypadków katarakty – przypadków, które w innych warunkach by nie wystąpiły. Z kolei zmniejszenie się wydolności systemów immunologicznych doprowadzi do większego rozpowszechnienia się chorób wywoływanych przez rozmaite mikroorganizmy i pasożyty (szczególnie w strefie tropikalnej). Trzeba będzie zrewidować także arsenał aktualnie stosowanych szczepionek, zachodzi bowiem obawa, iż – w ich obecnej postaci – zamiast wywoływać pozytywną reakcję antygenową pacjenta większość z nich może zacząć powodować... rozwój pełnego zakażenia!

Należy jeszcze dodać zagrożenia wynikające dla całych ekosystemów. Jak dowodzą badania, spośród 200 różnych gatunków roślin blisko trzy czwarte wykazuje dużą wrażliwość na promieniowanie ultrafioletowe; najczęstszym skutkiem jest tu spadek efektywności procesów fotosyntezy. Szczególnie niepokoić musi duża podatność na działanie promieniowania mikrofalowego zbóż oraz innych roślin o znaczeniu gospodarczym. Do tej pory precyzyjnie poznano tylko reakcję soi – stwierdzono, iż 25-procentowy wzrost dawki promieniowania ultrafioletowego pociąga za sobą przeszło 25-procentowy spadek wysokości jej plonów. Przypuszczenie, iż zbliżona zależność może dotyczyć także żyta, pszenicy i owsa, wydaje się w pełni uzasadnione. Chcąc zatem całościowo rozpatrywać sytuację żywnościową świata, do poprzednio sygnalizowanego spadku produkcji zbóż następującego w wyniku potęgowania się „suszy strukturalnej” („Raport 85”) i narastania „efektu cieplarnianego” („Raport 1989”), należy dodać również straty wynikające ze wzrostu promieniowania mikrofalowego. Poprzednio otrzymany mało korzystny wynik staje się jeszcze mniej pocieszający.

Najbardziej narażone są jednak oceany. Plankton stanowi fundament oceanicznego łańcucha pokarmowego, on sam zaś – „żywi

⁴ Konsumpcja CFC w poszczególnych krajach i grupach krajów wynosi: USA – 29%; kraje EWG – 21%; inne kraje wysoko rozwinięte – 20%; Związek Radziecki i kraje socjalistyczne – 14%; Chiny i Indie – 14%; inne kraje rozwijające się – 14%.

⁵ Tak naprawdę paradoks ten sięga jednak jeszcze głębiej. Zmniejszanie emigracji chłonnosci miało bowiem powodować m.in. redukcję emisji „gazów cieplarnianych”, przyczyniających się do niekorzystnej modyfikacji klimatu Ziemi. Tymczasem produkcja tworzyw izolacyjnych (mających służyć temu celowi) zwiększyła ilość uwalnianego do atmosfery freonu, który – sam w sobie – także jest „gazem cieplarnianym”! Nadto – powoduje on spadanie cząstek ozonu na niewielkie wysokości, gdzie ten stymuluje formowanie się chmur smogowych. O tym ostatnim zjawisku już wspominałem.

się" energią docierającą ze Słońca. W żaden sposób nie może więc uniknąć zwiększonej porcji promieniowania ultrafioletowego; równałoby się to dlań śmierci głodowej, śmierci z wycieńczenia. Wiadomo natomiast, iż każdy procent ubytku ozonu w stratosferze powoduje przeszło 1,2-procentowy ubytek liczebności planktonu. Oceaniczny łańcuch pokarmowy chwieje się więc u samych swych podstaw! Przerywanie go na niskich jego piętach (o czym była mowa w „Raporcie 1985”) było niczym w porównaniu z pozabawianiem go samego fundamentu! A przecież już tamto miało więcej niż dewastujące skutki...

Mimo całej powagi diagnozy autorzy „Raportu” starają się nie popadać w nadmierny pesymizm; jest to zresztą cecha charakterystyczna wszystkich publikacji, które ujrzały światło dzienne w Worldwatch Institute. Zespół L. Browna potrafi umiętnie kluczyć między nadmiernym optymizmem a zbytnim czarnowidztwem – uznaje, że tak jedno jak i drugie prowadzi do apatii i zniechęca do działania. Prace waszyngtońskiej placówki mają natomiast przede wszystkim stanowić zachętę do aktywności. Dlatego też, z jednej strony, „Raport” objaśnia, jak działa mechanizm domina, który zaczynając od nadmiernej presji demograficznej i deforestacji poprzez kolejne etapy nieuchronnie prowadzi do przesychniania i pustoszenia całych kontynentów. Jednak z drugiej strony udowadnia, iż domino, które wymyśliła natura, jest doskonalsze od tego plastikowego stworzonego przez człowieka. Mamy szczęście, przynajmniej jego krzcie. Dominem natury można bowiem grać w dwie strony. Jeśli odwrócić kolejność klocków i zacząć od zalesiania i ograniczania eksplozji demograficznej, ten sam mechanizm, który wprowadził nas w ślepy zaułek, powinien posłużyć za nieć Ariadny – winien nas zeń wyprowadzić.

To samo dotyczy i „efektu cieplarnianego”, i ozonowej dziury. Bo gdy emisję „gazów cieplarnianych” ograniczyć, a następnie systematycznie redukować w krajach będących głównymi jego „producentami” (USA i ZSRR), efekt tego bardzo szybko może stać się odczuwalny. Wydaje się też, iż odchodząc od wytwarzania freonu i stopniowo zastępując go innymi istniejącymi już przecież substancjami, w perspektywie 20 lat wzrost dziury ozonowej może zostać skutecznie zahamowany. W obu kwestiach w ciągu ostatnich 2 lat zarysował się znaczący, międzynarodowy „consensus”. Dowodzi to, iż ludzkość rzeczywiście znajduje się obecnie w okresie przejściowym – znajduje się jak gdyby w czasie przeprawy przez bardzo szeroką rzekę. Szanse przetrwania wciąż istnieją. I choć spory dystans dzieli nas jeszcze od miejsca, w którym znów będzie można dalej iść suchą stopą, dość wyraźnie – przed nami – widać już drugi brzeg.

Roman Warszawski

książki

„Człowiek wpisany w koło“

Paweł Bukowski

Do snu od rzeczy

S. W. „Czytelnik“, Warszawa 1988,
ss. 65;

Kazimierz Brakoniecki

Tożsamość

Wydawnictwo „Pojezierze“, Olsztyn
1988, ss. 43

Piotr Cieleśz

*Jeszcze maleńka
Europa*

„Pomorze“, Bydgoszcz 1988, ss. 59

Tytuł recenzji pożyczylam z wiersza Waldemara Żelaznego, bo służy mi za klucz do otwarcia poetyk trzech młodych jeszcze, trzydziestokilkuletnich, ale starszych od Żelaznego nie tylko wiekiem, ale i postawą wobec świata poetów. Z tym że to starszeństwo wcale ich wobec młodszego kolegi nie wywyższa. Poezja Żelaznego od kilku bowiem lat jest dla mnie bazą czy też oazą prawd, które stanowią podstawę moich kryteriów współczesnej młodej poezji. Żelazny jest tym poetą żywym, rewolucjonistą ducha, dla którego młodość, a więc niekonwencjonalność, żywiołowość,

przekora, bunt, zarliwość emocjonalna i intelektualny rozpęd stały się naturalnym kanonem sztuki. A co łączy czy dzieli od Żelaznego tych trzech powalonych ciężarem życiowych doświadczeń poetów? Jest to wspólna im niechęć czy niemożność wyrwania się z zakłętą kręgów miejsc, do którego są przypisani emocją, wyobraźnią, pamięcią, ów topos współczesnego człowieka tak niepodobny do wszelkich arkadii i ogrodów rozkoszy, tak tragicznie przyziemny, tak nieludzko odarty ze złudzeń. Geniusz poezji Żelaznego po mistrzowsku odnajduje tę szczelinę, przez którą wybucha w górę, na duchowe szczyty, cała jego twórcza energia. Tą szczeliną jest właśnie metalizyka, której władzy poddaje Żelazny cały swój wewnętrzny ogień. Koło, po którym poruszają się Bukowski, Brakoniecki i Cieleśz, pocią o niewielkim, bo parutomikowym załadowaniu dorobku twórczym, ale o podobnym ciężarze gatunkowym emocji, jest prawie całkowicie zamknięte dla wszelkiego lotu, nieobliczalności, potrzeby przekraczania, przełamywania woli i wyobraźnią przyziemnych warunkowań własnego losu. Ci poeci, głuśni na pokusy Wielkiej Przygody, nie ulegają wielkiemu szaleństwu, nie ma do nich przystępu ani Bóg, ani miłość przeistaczająca, ani żadna inna świętość; poddają się jedynie tym małym, neurotycznym czy psychopatycznym udrękom, na które składa się ich codzienność. Z jednym wyjątkiem, o którym później.

Najbardziej ograniczony, najściślej ziemski jest topos Bukowskiego. To po prostu śmietnik, współczesne miejskie wysypisko śmieci, które nie ma wszakże metaforycznych wymiarów

Różewiczowskiego śmietnika-świata paralelnego ze śmietnikiem ludzkiej duszy. Śmietnik Bukowskiego jest dosłowny, *mały bielony przepisowo wapnem bezmyślny*. To zbiorowisko rzeczy niepotrzebnych w interpretacji Bukowskiego staje się miejscem straceń, gdzie *wszystko z nas wyszło / nasza nadzieja / przyszłość*. Świat Bukowskiego jest maksymalnie urzeczowiony i szary jak codzienność. Ale ta rzeczowość i szarość nie iskrzą jak przedmioty w świecie Białoszewskiego, w którym najdrobniejsza, najbłaższa nawet rzecz ma duszę, życie wewnętrzne, błyska czy mruga mistycznym okiem. *Pobite gary* Bukowskiego to nie wyznanie czułości wobec rozpadającego się świata, to nie próba jego ocalenia, to zimne, wyrachowane hasło do zabawy, gry, dziecinnego wyścigu, który zdaniem poety jest jedyną rozrywką, jedyną postawą godną wyrazić absurdalność i bezduszość tego świata, jedynym wobec niego powołaniem i obowiązkiem, bo *trzeba biec, by się / schować / w ukryciu drząc / czekać na moment, / gdy znów trzeba będzie / biegnąć / nie dając się wyprzedzić, w drodze do mety / śmietnik / śmieć śmierć*. Emocje dopuszczalne w świecie Bukowskiego to zacietrzewienie i zawziętość, owo *nie dać się wyznawane przez zaszczute, gonione zwierzęta, dla których ucieczka i znajdowanie bezpiecznej kryjówki to jedyny status istnienia*. To zwięźlenie perspektywy emocjonalnej, ta fizyczna i psychiczna zgoda poety na obcość świata i swoją w nim wymuszoną, wrogą obecność prowadzi w konsekwencji do zatarcia wszelkich ludzkich proporcji, do takiego spustoszenia uczuć, że można już tylko wyznaczyć: *Budować to niszczyć*

zmieniać. A także: *Poczułem się przedmiotem*. Zwycięstwem Bukowskiego jest być może wyciągnięcie ostatecznych wniosków z tej niewiary w istnienie i wartość wyższego porządku, z tej postawy nie akceptacji siebie w nieakceptowanym świecie: *W tym nie-ludzkim świecie/ któremu nie dowierzam/ w niedorzecznym życiu/ pozostaje tylko/ oprzeć się na rzeczach/ więc mówię/ nie-ludzko/ ale/ do rzeczy*.

Koło doświadczeń Brakonieckiego ma pozornie większy obwód. To przede wszystkim sprawa języka, techniki narracyjnej, a także zakresu motywów tematycznych sięgających poza obszary emocjonalnych penetracji Bukowskiego. Topos Brakonieckiego to pamięć, odwoływanie się do tradycji rodzinnych w celu poznania własnych korzeni i określenia swoich możliwości i ograniczeń. *Pozbawiony pamięci byłbyś nikim, nie mógłbyś sobie wierzyć*, stwierdza Brakoniecki rozpoczynając wędrowkę przez miniony czas znaczony biografiami jego przodków. Kilka poematów poświęconych autentycznym, przywołanym z imienia postaciom tyleż wzrusza szczerością, ile nuży i zniechęca dłużyznami, wysiłonym niekiedy konceptualizmem analitycznym i nie do końca jasnymi intencjami poznawczymi tych utworów. Poeta sam właściwie dostrzega bezużyteczność tej autobiograficznej wiwisekcji, skoro neguje w końcu uznaną wcześniej jako wartość mitotwórczą funkcję pamięci: *Światło przychodzi i odchodzi puste/ i mój dom przestaje w mojej krwi świecić/ tutaj pozostawiałem na ścianie krzyczącą dłoń/ na książce rdzawy sakrament/ i znikąd wziera dzika bezmyślna pamięć/*

światło przychodzi i odchodzi puste. Ontologiczny punkt dojścia Brakonieckiego nie różni się niczym właściwie od katastroficznej perspektywy Bukowskiego. Tamten spełniając się w degradującym akcie przemiany podmiotu w przedmiot programowo ogranicza i wreszcie całkiem odczłowiecza ludzki sens losu; ten odmawiając sobie samemu prawa i możliwości życia skazuje się na śmierć za życia: *Jak my żyjemy że jesteśmy martwi / a epoka po nas spływa bez głosu?* A przecież i on, podobnie jak Bukowski, z pełną precyzją świadomości w ostatnim fragmencie poematu, którym jest w gruncie rzeczy „Tożsamość”, ocala w kontrolowanym geście twórczym swoją artystyczną, a więc nie-ludzką, lecz arcy-ludzką *tożsamość*: *Nic nie jest tak twarde / jak język który utrzymuje / pionowo przy życiu / martwego człowieka.*

Podczas gdy portrety rodzinne Brakonieckiego były malowane z dystansu analitycznej rozważki albo emocjonalnej dezaprobaty, P. Cieleśz jest w „Ikonach rodzinnych”, centralnym cyklu zbioru, czuły aż do czułościowości. Jego kontakty uczuciowe z bliskimi nie ograniczają się do pamięciowych i faktograficznych relacji, on szczególnie swoich białoruskich krewnych: babcię, dziadka, wujów, kuzynów, kuzynki, a także Polesie, miejsce ich pobytu – dotąd uparcie podróżuje na jawie i w wyobraźni – opiewa w wierszach jak prawdziwych bohaterów romantycznych, z intymności ich życia czyniąc dla siebie archetypiczne wzorce uczuciowe i moralne. Topos Cieleśza to więc nie zimne, odmierzane centymetrem racjonalizmu i użytkowej psychologii wizje osób zaludniające nie-

uleczalną samotność Brakonieckiego, ale obmywane wciąż na nowo ciepłą falą tęsknoty miejsca żywej obecności istot poecie najbliższych. Cieleśz tak bardzo utożsamia się z losem i postawami poszczególnych członków rodziny, że przejmuje ich zwyczaje, sposób myślenia, mówienia, ich wiarę: *ja kiedy jestem z babcią wierzę w boga / potem kiedy przekraczam granicę / w boga w którego wierzą wszyscy bogowie / a czasami gdy matka zapyta: „czy stać cię jeszcze na miłość słowa” / w spirytus palący wysoką trawę która rośnie we mnie.* W „Ikonach rodzinnych” Cieleśz zdaje się niepoprawnym idealistą, sentymentalnym marzycielem. A przecież i on w ostatnim wierszu tego cyklu przyznaje się do samotności i zaraz potem do wiary w ocalający sens sztuki: *musisz z wierszy zbudować dom.* Konkluzja tego wiersza jest optymistyczna, bo też Cieleśz w przeciwieństwie do swych kolegów po piórze, Bukowskiego i Brakonieckiego, nie utracił jeszcze wiary w możliwość dotarcia do lepszej strony świata i swego w nim ocalenia. Wiersze z dwóch cykli „Krasnal I” i „Krasnal II” pokazują ludzki los z jakiejś ni to kosmicznej, ni to ponuklearnej perspektywy, gdzie postać krasnala i jego mentalność stanowią jedyny intelektualny i moralny wyznacznik ni to pierwotnego, ni to zgłodzonego w warstwie cywilizacyjnej świata: *bowiem ja krasnal jestem twoim jedynym panem / bowiem nie wszystko co powiedziałem / jest prawdą.* Prawda krasnala jest gorzka i okrutna na równi z prawdą bohaterów lirycznych Bukowskiego i Brakonieckiego, odbija także świat bez Boga, pełen przemocy, złych instynktów, ostatecznych zbrodni.

A jednak nad całą tą absurdalnie skłębioną apokalipsą góruje jakiś głos nadziei, jakieś miłosne posłannictwo, ktoś pisze do kogoś list, który jest znakiem z tej innej, lepszej rzeczywistości. Krasna! ulega więc „pozytywnemu” zdziwieniu: *kto napisał do mnie / kto chce mnie zrozumieć / kto*. W tym retorycznym, zadawanym wprost losowi pytaniu Cieslesz staje się bratem duchowym Żelaznego, który jest poetą nie tylko pytań, ale i moralnego oporu, sprzeciwu wobec historycznej, uwarunkowanej grą sprzecznych idei koncepcji człowieczeństwa. To właśnie on buntuje się najaktywniej przeciwko *człowiekowi wpisanemu w koło. Który idzie za płaczem / Po omacku. Po własnych śladach. / Za którym zarastają ścieżki. Oddzielające / dobro od zła. Który rozumiał, że broni rzeczy zbędnych, pozostawionych / własnemu losowi. Z dala od zgiełku, gdzieś / na peryferiach Europy. Zapomnianej bezpowrotnie* („Mistyfikacje” w: „Republika” 8/1988) To Żelazny, być może w imieniu wszystkich innych, tych poddanych rezygnacji, tych, którzy wątpią, broni dziś w poezji prawa jednostki do samostanowienia o sobie wbrew usidlającym siłom losu i historii, wbrew powtarzalności wszelkich zdarzeń i wyroków, wbrew przemijaniu, kierując się tą paradoksalną wiarą, że *prawda/ to jeszcze nie wszystko. Są rzeczy/ ważniejsze od prawdy*. Historiozoficzny i metafizyczny wymiar poezji Żelaznego pozwala na głęboki oddech, na zachłyśnięcie się nagle odnalezioną wolnością, na radość z przywileju godności, o którą ktoś jeszcze się upomina dla nas ulotnych, przemijających, pojedynczych.

Adriana Szymańska

Między sprawiedliwością a efektywnością

Dariusz Filar

Spór o podział dochodów w rozwiniętym kapitalizmie

Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Gdańskiego. Rozprawy, Monografie, nr 135, Gdańsk 1989, ss. 147

Praca gdańskiego ekonomisty, znanego z łamów „Przeglądu Powszechnego”, dotyczy dwóch podstawowych dziś sposobów patrzenia na politykę gospodarczą. Pierwszy nazywa autor *paradygmatem neoklasycznym*, drugi – *paradygmatem Keynesowskim*. Neoklasyczny punkt widzenia, reprezentowany m.in. przez cytowanego w książce Johna B. Clarka, zakładał, iż podział dochodu społecznego podlega! prawu naturalnemu, które daje każdemu czynnikowi produkcji – pracy, kapitałowi czy przedsiębiorcy – taką część, jaką ten czynnik wytwarza. Mechanizmem dzielącym dochód w ten sposób miały być, według szkoły neoklasycznej, rynek oraz konkurencja, kształtujące ceny, płace, procent i zyski w sposób „naturalny”.

O ile Clark zajmował się głównie czynnikami, które powodowały w gospodarce ruch ku naturalnemu podziałowi dochodów, o tyle John M. Keynes opisywał na sprawę z punktu widzenia teorii zatrudnienia. Zauważał, że system rynkowy nie dąży do pełnego zatrudnienia czynników produkcji – w tym pracy – oraz że może się znaleźć w stanie równowagi nawet przy niepełnym wykorzystaniu tych

czynników. Wynika to z faktu, że niecały dochód jest wydatkowany na konsumpcję i inwestycje, gdyż jego część jest oszczędzana. *Paradygmat Keynesowski* oznaczał więc założenie, iż o wysokości dochodów decyduje poziom wydatków społeczeństwa, że proporcje w podziale dochodu zależą głównie od udziału funduszu zysków oraz że proporcje te kształtują się w procesie akumulacji i wzrostu gospodarczego.

Keynes zauważył, że skłonność do oszczędzania rośnie ze wzrostem zamożności społeczeństwa rodząc problemy związane z większym popytem efektywnym. Dlatego też, w celu przeciwdziałania związanym z tym załamaniami koniunktury, państwo coraz częściej wkraczało do akcji jako inwestor lub stymulator skłonności do inwestycji. Głównym środkiem oddziaływania państwa na skłonność do konsumpcji i oszczędzania są w Keynesowskiej teorii polityki gospodarczej podatki. Mają one na celu nie tylko zmniejszenie nierówności dochodowych w społeczeństwie, ale także zwiększenie wydatków rynkowych i uruchomienie oszczędności warstw najbogatszych. Sam Keynes zauważył jednak, iż wzrost progresywnego opodatkowania nie może być nieograniczony, gdyż w przeciwnym razie narastałaby skłonność do oszustw podatkowych oraz niechęć do podejmowania inicjatywy gospodarczej.

Jednym z fundamentów rozumowania Keynesowskiego jest teza, że ograniczenie skłonności do konsumpcji oraz oszczędności prowadzi do wzrostu kapitału. Teza ta jest jednak prawdziwa tylko w gospodarce rynkowej, gdzie warunkiem podejmowa-

nia inwestycji jest zysk. W realnym socjalizmie ograniczenie skłonności do konsumpcji i oszczędności może zwiększyć masę kapitału, ale jego produktywność na ogół spadnie ze względu na polityczne motywy ekstensywnych inwestycji. W związku z tym w gospodarce upaństwowionej nie występuje związek między ofiarą dnia dzisiejszego a wzrostem gospodarczym jutra.

Teoria Keynesa zakłada również optymistycznie, choć w zasadzie słusznie, że redystrybucja dochodu na rzecz warstw uboższych powiększa popyt efektywny ze względu na wyższą krańcową skłonność tych warstw do konsumpcji. Dodatkowe dochody zamieniają one w stosunkowo dużym stopniu na wydatki konsumpcyjne. Kluczową rolę we wspomnianej redystrybucji dochodu odegrać miało, w myśl założeń Keynesa, państwo. Tak też się stało – po II wojnie światowej w większości państw zachodnich wzrosła gwałtownie rola państwa w gospodarce.

Sumując prezentację obu paradygmatów autor słusznie konkluduje, iż *paradygmat neoklasyczny* opierał teorię podziału na produktywności krańcowej czynników produkcji, czyli na stronie podażowej, zaś *paradygmat Keynesowski* na poziomie wydatków społeczeństwa, a więc na stronie popytowej procesu produkcji.

W drugiej części pracy Filar omawia dwie współczesne tendencje rozumienia sprawiedliwości w podziale dochodu: orientację liberalno-rynkową (np. Milton Friedman), w myśl której *każdy dochód uzyskany na rynku jest dochodem sprawiedliwym* (s. 33), oraz orientację redystrybucyjno-egalitarystyczną (np. John K.

Galbraith, Lester C. Thurow czy Jan Tinbergen), dostrzegającą w nierównościach dochodów nie tylko niesprawiedliwość, ale i źródło trudności ekonomicznych. Autor ukazuje także zarysowującą się ostatnio tendencję kompromisową. Autorem jednej z takich teorii kompromisowych jest John Rawls. Wychodząc z założeń teorii umowy społecznej stwierdza on, iż nierówności społeczne stymulujące produktywność czynników produkcji muszą dawać największe możliwe korzyści dla minimalnie sytuowanych członków społeczeństwa (*kryterium maximin*, s. 47). Oznacza to, że na tych, którzy odnoszą sukcesy gospodarcze, ciąży obowiązek świadczenia na rzecz tych, którym w grze ekonomicznej powodzi się najgorzej.

Tak zresztą dzieje się dziś w zasadzie w wielu wysoko rozwiniętych krajach zachodnich. Np. w USA pod koniec lat 70. 10% najbogatszych obywateli wpłacało około 50% ogółu podatków, a 10% najbiedniejszych tylko 0,1%. Jak zauważył Michel Novak, zasada maksymalizacji zysku w dzisiejszym kapitalizmie nie jest tak bezwzględnie obowiązująca, jak w XIX w.; ponieważ w interesie przedsiębiorców leży rozszerzenie rynku zbytu przez podnoszenie płac. Dalszy wzrost konsumpcji warstw uboższych umożliwiła redystrybucja wielkich dochodów przez zwolnione od podatowania fundacje, instytucje charytatywne itd.

W dalszej części pracy autor opisuje współczesne spory wokół pojęcia „ubóstwo”. Rozróżnia ubóstwo *względne* i *absolutne*, a także porusza niezwykle frapujący temat: na ile ubóstwo jest powodowane przez wadliwe systemy społeczno-ekonomiczne, a w

jakim stopniu odpowiedzialność za nie ponoszą sami ludzie, nie umiejący lub nie chcący dobrze i wydajnie pracować. Autor zaznacza też różnice w podejściu do metod przezwycięzania ubóstwa między zwolennikami pomocy państwowej („państwo dobrobytu”) oraz działań pozapaństwowych. We wszystkich tych trzech sporach Filar zauważa echa różnic między *paradygmatem neoklasycznym* i *Keynesowskim*.

O ile w ogólnych częściach pracy autor zachowuje równowagę (i elegancję wywodu) zestawiając przeciwstawne punkty widzenia, o tyle w cz. IV (s. 70-98) zajmuje się tylko narzędziami państwowej redystrybucji dochodów (np. podatki czy regulowanie cen). Trochę szkoda, że zabrakło tu miejsca na przedstawienie różnorodnych rozwiązań pozapaństwowych, takich jak wspomniane fundacje społeczne i kulturalne tworzone przez osoby prywatne z nieopodatkowanych części dochodów.

W rozdz. V autor przedstawia politykę podziału dochodów we współczesnych państwach kapitalistycznych. W tej części pracy Filar stwierdza, że od II wojny światowej do poł. lat 70. w państwach tych narastała tendencja do wzrostu ingerencji państwa w podział dochodów. Najwyższy stosunek wpływów podatkowych do produktu narodowego brutto notowano w Szwecji i RFN, a najniższy w USA i Japonii. W Szwecji i RFN najwyższe też były świadczenia socjalne w stosunku do produktu narodowego brutto, przy czym ich udział rósł aż do 1981 r. Wraz ze wzrostem tego udziału w USA z 7,3% w 1960 r. do 18,4% w 1981 r. odsetek ludności żyjącej w ubóstwie spadł z 22,2% do

11,6% ogółu obywateli USA. Dane zamieszczone przez autora w tej części pracy są bardzo interesujące z punktu widzenia historii gospodarczej i nie były zbyt często publikowane w PRL.

Autor omawia także przyczyny zahamowania rozwoju „państwa dobrobytu” od poł. lat 70. Zalicza do nich recesję związaną z kryzysem naftowym oraz przekroczenie pewnego optimum opodatkowania, powyżej którego wystąpiły hamulce w normalnej przedsiębiorczości i technik uchylania się od podatków. Zwycięstwo konserwatystów w Wielkiej Brytanii (1979) i republikanów w USA (1980) przyniosło odwrót od polityki rosnącego udziału państwa w redystrybucji dochodów. Przyniosło to w poł. lat 80. poprawę koniunktury, ale także pewien wzrost odsetka ludności żyjącej w ubóstwie. O ile zwolennicy Keynesowskiej ingerencji państwa w podział dochodów utrzymują, że obecny odwrót od niej jest przejściowy, zwolennicy ekonomii neoklasycznej twierdzą, iż jest to tendencja trwała. Przyszłość pokaże, kto miał rację.

Książka D. Filara w ciekawy sposób formułuje zasadniczy dylemat współczesnej polityki gospodarczej-rozwinętych państw zachodnich i opisuje go jasnym, zrozumiałym językiem. W powodzi prac pisanych ekonomicznym żargonem jest to jej wielka zaleta. Niestety, zawarte w niej logiczne argumenty za rynkiem i za ingerencją państwa w podział dochodów nie bardzo mogą znaleźć zastosowanie do obecnej sytuacji gospodarczej PRL, gdy zostały zniszczone wszystkie podstawowe mechanizmy ekonomiczne. Nie jest to jednak, oczywiście,

wina autora, który przedstawił ciekawą i wartościową pracę.

Wojciech Roszkowski

Jak nas widzą

Zbigniew Jakubowski

„Przegląd Powszechny” 1844–1985

Akademia Nauk Społecznych PZPR
(seria: Ideologia i polityka Kościoła
katolickiego w Polsce – ciągłość i
zmiany), Warszawa 1987, ss. 254

Tytuł książki i fakt, że jest trudno dostępna (ukazała się w nakładzie 300 egz. w małej poligrafii) stanowią chyba wystarczające powody do zajęcia się nią na tych łamach. Nie chcąc popełnić błędu „uprzedmiotowienia” autora, piszący te słowa proponuje takie traktowanie omawianej książki, jakie na pierwszy plan wysuwa osobę autora, nie zaś firmę widniejącą na karcie tytułowej. Oznacza to, że za prezentowane w książce sądy bierze odpowiedzialność przede wszystkim Zbigniew Jakubowski, a nie Instytut Religioznawstwa ANS PZPR, w ramach którego powstało interesujące nas opracowanie. Oczywiście, firma nie jest tu bez znaczenia! Ponieważ jednak nie jestem w stanie ocenić, w jakim stopniu sądy Z. Jakubowskiego na temat roli mieszcza-

jezuitów w kulturze polskiej są reprezentatywne dla ogółu marksistowskich badaczy prasy, wolę zachować „personalistyczny” punkt widzenia akcentując osobę przed instytucją, z którą osoba ta jest związana. Nie można zresztą na serio przyjmować postulatu pluralizmu ideowego i politycznego bez zgody na jego skutki; zgoda na współistnienie wielości poglądów na każdy temat jest równoznaczna ze zgodą na dowartościowanie jednostki. Nie zrezygnujemy, co zrozumiałe, z umieszczenia jednostek w wybranym przez samych zainteresowanych tle społecznym i politycznym, ale powinniśmy pamiętać, że tło nie powinno zdominować tego, co jednostkowe.

Uwagi te dotyczą bezpośrednio sprawy, która nas w tej chwili interesuje. Mają też one i odcień najzupełniej osobisty; pisząc o książce Z. Jakubowskiego wypowiadam się we własnym imieniu. Nie wiem też, jak dalece moje poglądy na tę konkretną książkę są zgodne z poglądami wydawcy szacownego „Przeglądu Powszechnego” w tej samej materii. Jak to zresztą sprawdzać? Przeprowadzać nieustające referendum wśród ojców i braci zgromadzonych w Wielkopolsko-Mazowieckiej Prowincji Towarzystwa Jezusowego? A może konsultować tylko „starszyznę” prowincji? Świadomie doprowadzam ten wywód do absurdu, aby wykazać, czym może się skończyć traktowanie np. miesięcznika nie jako pisma redagowanego przez konkretnych ludzi, którzy otrzymali od wydawcy zgodę na kształtowanie periodyku zgodnie z ich wyobrażeniem o zadaniu, którego się podjęli, ale jako „uprzedmiotowioną” tubę wydawcy. Tymczasem pismo

typu „Przeglądu Powszechnego” to pismo zarazem „wolne” i „zależne”. Używam cudzysłowów, bo owa wolność jest przecież ograniczona dobrowolnie i świadomie przyjętą odpowiedzialnością uczestniczenia w dziele, do którego każdy z członków redakcji złożył indywidualny akces; używam cudzysłowu, bo wymieniona wyżej zależność jest niczym innym jak dżentelmeńską umową, że ci, którym zaufano – powierzając im redagowanie pisma – nie zapomną o nadrzędnej idei wyznaczającej strategię długofalowego działania wydawcy.

Dopiero teraz mogę przejść do notatek sporządzonych po lekturze opracowania Z. Jakubowskiego. Jego książka jest m.in. owocem poszukiwań archiwalnych prowadzonych głównie w Archiwum Prowincji Małopolskiej Towarzystwa Jezusowego w Krakowie, gdzie znajduje się sporo materiałów bezpośrednio lub pośrednio dotyczących „PP”. Do najciekawszych – z pewnego punktu widzenia – należą protokoły zebrania redakcyjnych odstawiających w pewnym stopniu „kuchnię” redakcyjną miesięcznika w ciągu kilkudziesięciu lat.

Powiem od razu, że wyznaję pogląd, iż publiczny obraz danego pisma jest zależny przede wszystkim od jego zawartości – a więc od tego, CO DOCIERAŁO do czytelników – w mniejszym zaś stopniu od tego, jakie były intencje jego redaktorów, nie mówiąc już o stosunkach panujących w redakcji. Wydaje się, że Z. Jakubowski jest innego zdania; odnosi się wrażenie, że autor więcej energii poświęcił na przebadanie zasobów archiwalnych niż na analizę samego pisma. Jest to konsekwencja przyjętego założenia metodologicznego – chcąc roz-

szfrować program ideowy miesięcznika badacz skupił się na pracy redakcji, że szkoda dla analizy wyników pracy redaktorów. Zamysł ten być może mógłby przynieść ciekawsze efekty, gdyby autor potrafił odtworzyć możliwie dokładnie funkcjonowanie redakcji, a więc tak relację między poszczególnymi osobami tworzącymi pismo w kolejnych okresach, jak i stosunki panujące między redaktorami naczelnymi a ich zakonnymi przełożonymi. Rzecz w tym, że praktycznie nie jest to możliwe; to co tu najważniejsze pozostaje nieuchwytnie. Wyciąganie zaś wniosków na podstawie szczątkowych dokumentów archiwalnych jest zabiegiem ryzykownym.

Niezależnie jednak od tych wątpliwości trzeba powiedzieć, że Z. Jakubowski podszedł rzetelnie do tematu dając książkę, którą będzie musiał uwzględnić każdy, kto zechce się zajmować dziejami „Przeglądu”. A rzeczywiście jest czym zajmować się! Warto w tym miejscu zacytować obszerne fragmenty „Przedmowy” Janusza Sztumskiego otwierającej omawianą książkę: *Nawet w społeczeństwach wysokocywilizowanych i żyjących nieprzerwanie we własnym państwie, do rzadkości należą czasopisma, które istnieją od ponad wieku, bez zmiany wydawcy i swojej ideowej koncepcji. Biorąc powyższe pod uwagę szczególnym fenomenem jest takie pismo, które istnieje w społeczeństwie o jakże skomplikowanych dziejach. /.../ I oto w tym rozdartym przez zaborców społeczeństwie, skazanym na trudną egzystencję w obcych organizmach państwowych, pojawiają się różne inicjatywy, które na przekór wszystkiemu próbują nie tylko podtrzymać ducha narodu, a nawet jedno-*

czyć naród ideowo. Skuteczność tego rodzaju przedsięwzięć zależała od umiejętności dostrzeżenia żywych tradycji ideowych i narodowych polskiego społeczeństwa i nawiązania do nich.

Uważam, że pojawienie się „Przeglądu Powszechnego” jest jedną z prób wspomnianych inicjatyw.

Dalej czytamy, że miesięcznik jezuitów próbował integrować społeczeństwo polskie – a zwłaszcza tę istotną, przywódczą wówczas jego część, jaką była inteligencja – na podstawie idei katolicyzmu. Można dyskutować – zastrzega się J. Sztumski – czy wspomniana podstawa ideowa była najlepszą przesłanką integracyjną dla społeczeństwa polskiego u schyłku XIX w., kiedy istniały bardziej postępowe ideologie, wyrosłe z osiągnięć nauki zarówno o przyrodzie, jak i społeczeństwie – nie obce Polakom. Każde rzeczowe stanowisko w tej dyskusji nie powinno jednak pomijać sytuacji, w jakiej znajdowało się polskie społeczeństwo, a więc istniejących uwarunkowań politycznych. Uwzględniając powyższe uwarunkowania wydaje się, że w owych czasach była to właśnie optymalna przesłanka integracyjna dla tegoż społeczeństwa zarówno ze względu na jej społeczną nośność, jak i możliwość akceptacji ze strony zaborców.

Przywołuję te zdania, ponieważ są świadectwem zmian zachodzących w podejściu części środowiska naukowego związanego z PZPR (a więc, było nie było, i z marksizmem) do zagadnień religii. Przy wszystkich zastrzeżeniach i oporach doktrynalnych (które są wyraźnie widoczne także w cytowanym tekście) dochodzi jednak do głosu realistyczna ocena zjawisk religijnych i wpływu ideologii katolickiej na polskie społeczeństwo

końca ubiegłego i początków obecnego stulecia. Dostrzeżenie integracyjnej roli katolicyzmu zmusza niejako partyjnych prasoznawców i historyków idei do wolnego od uprzedzeń spojrzenia na prasę katolicką. Pracę Ż. Jakubowskiego można więc traktować jako przykład tego nowego spojrzenia. Charakteryzuje się ono troską o obiektywizm i choćby już z tego powodu jest warte pozytywnego odnotowania.

Książka jest podzielona na 5 rozdziałów: „*„Przegląd Powszechny” w latach 1884–1953 (zarys dziejów pisma)*”; „*Organizacja pracy redakcji, finanse, nakłady, prenumerata*”; „*Autorzy „Przeglądu Powszechnego”*”; „*„Przegląd Powszechny” wobec społeczeństwa*”; „*Świadectwo „Przeglądu Powszechnego”*”. Integralną częścią opracowania jest aneks „*Redaktorzy i współpracownicy „Przeglądu Powszechnego” (1884–1985)*”. Nie sposób tu omawiać szczegółowiej zawartości książki pozostawiającej zresztą wiele do życzenia, jeśli idzie o jej konstrukcję i język, ograniczę się więc do paru słów ogólnego komentarza. Bez wątplenia cenne są ustalenia autora odnośnie do nakładu pisma. „*Przegląd*” był zawsze miesięcznikiem elitarnym, rozprowadzany głównie w prenumeracie. Nakład wahał się od 1200 egz. w roku powstania pisma do 2000 z chwilą wybuchu wojny w 1914 r. Tuż po wojnie zaczynało od 1000 egz., w parę lat później wydawano 2600 egz., by pod koniec lat 30, zejść do 1500. Ciekawe jest też zestawienie, z którego wynika, że wśród blisko 1100 autorów publikujących w „PP” w latach 1884–1953 ponad 60% stanowili świeccy, zaś udział jezuitów – choć wyraźny – nie sięgał nawet 20%.

Trudno więc zrozumieć, co ma na myśli autor stwierdzając w pewnym momencie: *...nie ulegało wątpliwości, że był to „Przegląd” najpierw jezuicki, a dopiero później katolicki i polski*. Nawet jeśli miałby rację Jakubowski, że w myśleniu polskich jezuitów o miesięczniku na pierwsze miejsce wysuwała się *sprawa przydatności pisma dla zakonu* i że miesięcznik *stał się środkiem do poprawy reputacji jezuitów na ziemiach polskich* – to i tak nie dawałoby to podstawy do sądu, iż cele te nie były integralnie włączone w określoną koncepcję kultury narodowej. Twierdzę bowiem, że generalna linia programowa „PP” wypływa z troski o CAŁOŚĆ I TRWAŁOŚĆ kultury narodowej. To podstawowe założenie wypływało ze strategicznego przeświadczenia zakonu, że całość i trwałość kultury duchowej Polaków jest nierozdzielnie złączona z katolicyzmem i z Kościołem rzymskokatolickim. „*Przegląd Powszechny*” nie był więc *pismem jezuickim*, ale *pismem społeczno-katolickim* wydawanym i redagowanym przez jezuitów.

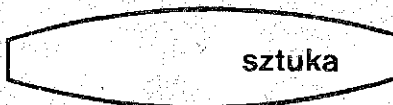
Jeszcze większe zastrzeżenia budzi sąd autora, że *miesięcznik wszelkimi sposobami starał się zachować i pomnożyć wszystkie prawa i przywileje Kościoła i zakonu, jakie dzięki sprzyjającym układom sił politycznych w kraju pod zaborem austriackim i po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, zdołał Kościół uzyskać*. Jest to zdanie z zupełnie innej książki i – wydawałoby się – z zamkniętej już przez marksistów przeszłości. Stoi też ono w rażącej sprzeczności nawet z tonacją wstępu J. Sztumskiego! Czy to dowód wielości poglądów w Akademii Nauk Społecznych, czy też przykład redak-

cyjnego niedopracowania książki – nie wiadomo. Na pewno jednak zdanie to nie licuje z pozostałymi partiami książki. Autor rzucił je na papier niczym epitet, nie starając się nawet o próbę uzasadnienia tego zarzutu. Pisze też, że było to pismo konserwatywne i zachowawcze. I na tym kropka. Jakby wystarczyło dziś tak toporne przyporządkowanie. Po tylu i po takich doświadczeniach, jakie przeszło polskie społeczeństwo w ostatnich stu latach, ze szczególnym uwzględnieniem praktyki stalinizmu i „realnego socjalizmu”, nie wystarczy strzelanie taką amunicją. Zresztą pismo społeczno-katolickie musi być – w pewnym sensie – zachowawcze. Chodzi tylko o to, jakie treści kryją się pod tym terminem. Chcąc się o tym przekonać trzeba używać znacznie subtelniejszych narzędzi niż autor.

Może to tylko domysł, ale mam wrażenie, że Z. Jakubowski świadomie nie wchodzi w szczegóły jakby obawiając się, że sam proces operowania delikatniejszymi instrumentami analizy zaprowadziłby go za daleko... Jest na tyle rzetelny, że musi przyznać, iż miesięcznik stał z boku walk partyjnych i ta jego niezależna postawa była walorem pisma. „PP” pozwalał sobie na *sądy co najmniej dyskusyjne*, co przysparzało redakcji kłopotów nie tylko z władzami państwowymi, ale także z hierarchią Kościoła (a nawet i samego zakonu). Zauważa też trafnie, że „Przegląd” niekiedy *jakby specjalnie unikał łączenia go z pismami, które oficjalnie nosiły miano organów prasowych kurii biskupich w Krakowie czy Warszawie* – nie wyciąga jednak do końca wniosków z tych faktów. Gdyby je wyciągnął, nie mógłby lek-

kim piórem powielać stereotypów o *konserwatyzmie i zachowawczości* bez opisanie, co rzeczywiście – w tym konkretnym przypadku – znaczą te słowa. Okazałoby się wtedy, że program „Przeglądu Powszechnego”, uwzględniający *nakaz TRWAŁOŚCI* i konieczność *ZMIANY* w katolickim ich sensie, był ciekawą propozycją integracyjną dla znacznej części polskiej inteligencji; propozycją przelamującą (nie bez trudności wewnętrznych i zewnętrznych w stosunku do pisma) kompleks „obłożonej twierdzy”, na jaki cierpieli katolicy, bez popadania w mrzonki łatwego progresizmu.

Michał Jagiello



Po trzech latach

Galeria Teatru Powszechnego od października 1986 do lipca 1989.

Na wiosnę 1989 r. wydarzenia polityczne nabrały ogromnego tempa. W chwili gdy piszę te słowa, odbywają się inauguracyjne posiedzenia nowego Sejmu i Senatu. Odnotowuję ten fakt niejako pod wpływem Kazimierza Dziewanowskiego i jego „Zapisków w okresie przełomu”. Jakże spektakularnie potwierdzają się jego

intuicje zawarte w tekście pisany w czasie obrad „okrągłego stołu”, a czytany przeze mnie już po wyborach.

Nie jestem co prawda komentatorem politycznym, tylko artystycznym, zaś sztuka nie podlega, lub nie powinna – w moim mniemaniu – podlegać ciśnieniu bieżących wydarzeń, niemniej okresy przełomu mają swoje szczególne prawa. Ja również chcę wierzyć, że coś się kończy i zaczyna coś zdecydowanie nowego. Powstała znów nadzieja na rzeczywiste i głębokie przemiany w naszym życiu, obejmą one na swój sposób sztukę, a zatem również mnie, któremu sztuka i życie mieszały się dosyć dawno temu. W takich chwilach nie ma co zwlekać, trzeba się poddać nowemu, skoro związane są z tym ostatnie nadzieje. Trzeba jednak raz jeszcze spojrzeć w przeszłość, są tam doświadczenia, o których może lepiej zapomnieć, ale są również takie, o których nie można nie pamiętać.

Środowisko twórców sztuk pięknych odegrało ważną rolę w procesie demokratyzacji, który zyskuje dziś, na naszych oczach, nowy impuls. Mam jednocześnie wrażenie, że wielki wysiłek i ofiara plastyków pozostają jakby na drugim planie. Symbolem bojkotu pozostają raczej aktorzy, głośnymi ofiarami stanu wojennego są związki dziennikarzy i literatów. Nie od rzeczy będzie więc raz jeszcze przypomnieć kilka faktów dotyczących działalności malarzy i rzeźbiarzy w dekadzie, której koniec witamy z ulgą i nową nadzieją.

Przypomnijmy zatem, że w latach 1982–84 artyści sztuk pięknych bojkotując instytucje życia artystycznego pozostające w sferze wpływów państwowego mecenasu przenieśli się do

Kościół katolickiego i do prywatnych pracowni. Władze rozwiązując ZPAP uznały go za równie niewygodny jak ZLP i SDP, natomiast pokrewne plastynom stowarzyszenia fotografików i architektów zdołały się uchować. W tym czasie ugruntowały swoją pozycję w życiu artystycznym prawdziwe ośrodki kultury, jak kościoły i budynki parafialne przy ul. Żytnej oraz Muzeum Archidiecezji w Warszawie. Odbyło się tam wiele ważnych w skali ogólnopolskiej wystaw. Ale ważne wystawy, szczególnie młodych twórców, miały miejsce również w Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu. W większości dużych miast w Polsce odbywały się „pielgrzymki artystyczne”, spotkania, wernisaże i dyskusje w prywatnych pracowniach artystów. Wszystkich nie sposób tu wyliczyć.

Bojkot nie obejmował państwowych galerii sprzedażnych (z pewnymi wyjątkami, np. były raczej omijane powstające wtedy galerie Sztuki Polskiej), większą jednak popularnością cieszyły się nowe, prywatne galerie handlowe (wtedy m.in. rozpoczynająca działalność galeria Dzieduszycki & Sosnowski w Warszawie; wkrótce również powstały znaczące galerie krakowskie, m.in. Inny Świat). Bojkot nie objął również niektórych galerii państwowych, np. BWA w Lublinie pozostało oazą nowatorów, odbyły się tam ważne pokazy nowego malarstwa. Normalnie działała galeria Foksal, która otrzymała status galerii miejskiej. Istotną rolę odegrały również muzea narodowe, w miarę możliwości prowadziły one zakupy prac znanych artystów, dopóki nie zostały objęte ściślejszą kontrolą administracyjną.

W Warszawie rolę azylu dla młodych twórców pełniła galeria Dziekanka działająca pod patronatem ASP. Patronat PWSSP odegrał bardzo ważną rolę w Poznaniu, umożliwiając działanie kilku galeriom, m.in. ON, Na Wielkiej czy Akumulatory II. Pod patronatem ZPAF działała galeria Mała. Nieprzerwaną działalność prowadziła niezależna, całkiem prywatna i niekomercyjna galeria Piwna 20/26, kierowana przez Emilię i Andrzeja Dłużniewskich. Ważną rolę odegrały miejsca skupiające „medialistów” – Strych w Łodzi, później galeria Wschodnia, we Wrocławiu Zakład nad Fosą.

Bojkot, aczkolwiek nie został „odwołany”, gdyż od początku był spontaniczną decyzją większości środowiska artystycznego, łagodniał pod wpływem różnych okoliczności, jednak dość powoli. Rok 1984 można potraktować jako czczurę pewnych zauważalnych procesów w życiu artystycznym w Polsce. Nastąpiła pewna stabilizacja ruchu artystycznego w kręgu Kościoła. Oprócz wymienionych wielkich ośrodków organizujących ważne w ogólnopolskiej skali wystawy rozwinęły również działalność galerie, jak np. Nawa Św. Krzysztofa w Łodzi, galeria Św. Jana w Gdańsku, Kruchta w Bydgoszczy, Na Plebanii w Koszalinie, Na Ostrowie we Wrocławiu. Osłabił za to trochę spontaniczny automecenat plastyków – wśród prywatnych pracowni nastąpiła selekcja, utrzymuje się już tylko kilka miejscstawionych na stałą działalność, np. pracownia Jana Ryłke organizująca festiwale sztuki. Rozwija się natomiast mecenat prywatny. Na niespotykaną do tej pory skalę w Polsce i w całkiem nowym

stylu rozpoczął działalność Andrzej Bonarski. Powstały fundacje, np. EGIT czy Fundacja Polskiej Sztuki Nowoczesnej.

Bardzo ważną rolę odgrywał mecenat społeczny. Pod patronatem Stowarzyszenia Historyków Sztuki organizowała wystawy galeria SHS. Pewne znaczenie zyskały galerie osiedlowe. Na Ursynowie w Warszawie powstało ich kilka, m.in. galeria Działów i galeria „U”. Dla nowatorów i „medialistów” ważna była działalność takich studenckich galerii, jak Stodoła czy RR. Pod patronatem ASP w Warszawie rozpoczyna działalność ważna placówka – Muzeum ASP.

W miarę upływu czasu nastąpiła wyraźna zmiana stosunku artystów do instytucji państwowego mecenatu sztuki. Jako jedna z pierwszych przełamała pewne opory twórców galeria Studio, do wyraźnie akceptowanych galerii dołączyło również BWA w Sopocie, gdzie odbywały się wystawy młodej sztuki, również w poznańskim BWA odbyło się kilka ważnych pokazów, m.in. ogólnopolska wystawa rzeźby.

Rok 1987 i 88 przyniósł kolejną zmianę wewnątrz niezależnego ruchu artystycznego. Wpłynęły na nią zarówno zewnętrzne jak i wewnętrzne okoliczności. W środowisku artystów sztuk pięknych coraz większą rolę odgrywają absolwenci szkół artystycznych z lat 80., nie ponoszący odpowiedzialności za pewne wcześniejsze decyzje środowiskowe ani za istniejącą sytuację, szukający przebojowo swego miejsca bez oglądania się na skomplikowaną mapę „zależnych” i niezależnych miejsc.

Na ten okres przypada również początek mojego pisanie na tych

łamach. Od początku były tu odzwierciedlane działania organizacyjne i twórcze artystów niezależnych, a to dzięki Nawojce Cieślińskiej i Andrzejowi Osęce. Mimo że zacząłem regularnie pisać stosunkowo niedawno, uzbierało się przez ten czas już 25 tekstów. Wyraża się w nich moja świadomość poddana ciśnieniu wydarzeń schyłka dekady lat 80. Wraz z jej końcem zamyka się, jak się wydaje, również pewien bardzo trudny czas dla artystów. Nie mogę się oprzeć chęci podsumowania moich recenzenckich wysiłków w „Przeglądzie Powszechnym“, ale robić to samemu jest dość nieczłowiecznie. Tak się jednak składa, że dokładnie w tym samym czasie opiekowałem się galerią Teatru Powszechnego. I na nią przyszedł czas podsumowań. Sądzę, że publikując swego rodzaju autoprezentację tej galerii ujawnię, choć nie wprost, podstawy moich wyborów oraz zarys przyjętej w tym czasie postawy, która jest rozpoznawalna w tekstach publikowanych na tych łamach.

Galeria T.P. istnieje 3 sezony teatralne, od października 1986 do lipca 1989 odbyły się tam 22 wystawy. Wprawdzie we foyer teatru było wcześniej kilka wystaw, ale galeria jako instytucja organizująca regularnie pokazy i mająca, jak minięmam, swój własny profil artystyczny, funkcjonuje od 1986 r. Nie jest to jakiś szczególnie szacowny wiek, ale chyba wystarczający, aby móc się pokusić o kilka ogólnych stwierdzeń na jej temat. Tym bardziej że do kilku wydarzeń czyniących te lata działania galerii okresem niepowtarzalnym i zamkniętym trzeba na pierwszym miejscu zaliczyć, niestety, śmierć Zygmunta Hübnera. Był on jej inicja-

torem i opiekuncem czuwającym, aby bez konfliktów wpisywała się w życie teatru.

Gdy w 1986 r. Z. Hübner zaproponował mi opiekę artystyczną nad galerią w jego teatrze, nie zastanawiałem się ani chwili. Był to przecież wciąż społecznie trudny czas dla sztuki i utworzenie galerii właśnie w Teatrze Powszechnym wydawało mi się dobrą okazją, by tę sytuację choć trochę poprawić. Mecenat Kościoła określił już wtedy warunki współpracy z artystami jawiąc się im w swej ziemskiej, instytucjonalnej postaci, a tracąc nieco z rajskiej aury. Również mecenat państwa odbudowywał się powoli, „zagospodarowując“ tę część środowiska twórców, którzy poparli władzę, ale wciągając też coraz częściej woluntariuszy, a także młodych absolwentów uczelni artystycznych. W ten sposób kuśił on pozorami normalności i trzeba powiedzieć, że pogłębiał podziały w szeregach niepokornych. Ukształtowały się więc różne ośrodki polityczne i ideologiczne, lecz artyści coraz częściej uświadamiali sobie bolesną prawdę, że ich autonomia nie zyskała przez to wiele. Zaangażowanie społeczne w imię społecznych i moralnych racji niosło coraz więcej pozaartystycznych obowiązków lub, co gorsza, ingerencji w sam proces twórczy. Problem to bardzo złożony, można powiedzieć, że początkowe artystyczne i duchowe satysfakcje z tego wynikające są coraz częściej wypierane przez poczucie skrapowania twórczości. To również pogłębiało różnizmy artystów.

Przeczuwałem, że galeria Teatru Powszechnego ma w tej sytuacji szansę stać się miejscem poszukiwanym przez artystów, teatr ten bowiem,

mimo zależności od państwowego mecenasu i cenzury, nie był skażony oficjalnością. Z. Hübner budował autonomię swego teatru w oparciu o najwyższe wartości artystyczne i profesjonalne sztuki. Niezależność tego miejsca wynikała z poszanowania niepodległości sztuki wobec politycznych ideologii. Można nawet powiedzieć, że miejsce to było opozycyjne w tym sensie, w jakim opozycyjny był w Polsce Ludowej wszelki profesjonalizm. Nacisk na autonomiczne wartości sztuki nie oznaczał tu jednak całkowitego politycznego indyferentyzmu. To wszystko było oczywiste także dla mnie jako opiekuna galerii powstającej w takim miejscu. Dla artystów całkowicie pochłoniętych estetycznymi walorami twórczości było już wtedy coraz więcej niekrępujących sal wystawowych. A galeria T.P. nie chciała przecież zacierać swego stanowiska zdecydowanej odmowy wobec „zawracania kijem” historii przez władze stanu wojennego. Dawała temu wyraz zapraszając artystów niezależnych, związanych czasem wyraźnie z „Solidarnościową” opozycją. (Potwierdza to chociażby nagroda „Solidarności” dla Grzegorza Morycińskiego za wystawę w galerii T.P.) Jednakże zapraszani byli tacy twórcy i prezentowane takie ich dzieła, w których proporcje tzw. zaangażowania w bardziej złożone stany twórcze i bardziej dojrzałe decyzje artystyczne zachwiane były raczej na korzyść tych ostatnich, lub pozostawały wyważone.

Zniewolenie, cierpienie, upadek nadziei, potrzeba wyjścia poza uciążliwą doczesność, zwrot ku sacrum – przeplecione nastrojami buntu przedzającego się w kpinę lub patety-

czne oskarżenie – wszystko to są składniki polskiego; niezależnego ducha lat 80. Musiały one znaleźć wyraz w twórczości artystycznej swego czasu. Musiały one również pojawić się w dziełach pokazywanych w galerii T.P. Świadectwo czasu pojawiało się w galerii o tyle, o ile dawane było przez osobę przeżywającą swój czas w skupieniu, poprzez swoje indywidualne, dodajmy rozwinięte krytycznie, warsztatowe doświadczenie. Otóż właśnie, w galerii T.P. sztuka była rozumiana jako dziedzina zdecydowanie prywatna, choć nie znaczyło to, że jest całkiem odizolowana od nastrojów podzielanych przez większość społeczeństwa.

W aory miejsca, jakim jest Teatr Powszechny i jego galeria, istnieć będą zapewne nadal, jednak nowa sytuacja po wyborach 4 VI 1989 r. zmusza do nowego przemyślenia sensu jej istnienia. Rzeczywistość społeczna nie jest już czarno-biała. W tej sytuacji autonomiczne wartości sztuki będą raczej rosnąć w cenie, ale też będzie przybywać miejsc, w których będą one kultywowane. Inaczej mówiąc, galeria T.P. przestanie zapewne być miejscem unikalnym na mapie życia artystycznego, zaś jej dystans wobec środków masowego przekazu i prasy stanie się pewnie wadą. Już obserwuję, jak zaczynają zanikać dotychczasowe opory kolegów wobec mass-mediów; patrzę na to z pewnym niepokojem, bo dość długa powściągliwość przeradza się w jakieś nowe niepoohamowanie. Również mariaż sztuk pięknych i teatru, odradzający się zresztą w różnych czasach i okolicznościach, będzie musiał być w nowych warunkach lepiej uzasadniony. Galeria będzie musiała walczyć z

konkurencją, a to oznacza również zapewne wprowadzenie wielu usprawnień technicznych.

Ale nie tylko okoliczności społeczne powodują, że ostatnie 3 lata funkcjonowania galerii T.P. trzeba traktować jako zamkniętą całość. Również „obroty rzeczy” w sztuce polskiej widzianej szeroko, tzn. nie bez związków ze sztuką światową, każą na nowo przemysśleć program i sposób działania galerii.

W Polsce około 1986 r. wyklarował się już artystyczny dorobek owego duchowego poruszenia związanego z krótkim okresem wolności i przedłużającą się beznadzieją stanu wojennego. Pojawiło się kilku twórców, którzy zdołali artystycznie udźwignąć ten dramat. Znaleźli się wśród nich przedstawiciele różnych orientacji artystyczno-estetycznych w bardzo zindywidualizowanych odcieniach. Wśród twórców starszej generacji dostrzegalne były jeszcze echa informel, a także jego dopełnienia na zasadzie kontrastu, jakim była abstrakcja po-malarska. Żywe są również specyficznie przetworzone wątki realizmu i surrealizmu. Twórczość nieco młodszych artystów odsyła do pop-artu, nowej figuracji i wszystkich odmian późnego modernizmu z fotograficznym realizmem na czele. Wymieniam te nazwy mając świadomość, że ich artystyczno-filozoficzna treść jest tylko odległym punktem odniesienia dla bardzo już zindywidualizowanych postaw artystycznych i warsztatowej praktyki polskich twórców. Oni przecież dźwigają bagaż rodzimej tradycji artystycznej, która ze światową sztuką splata się w sposób nader złożony. Mimo tych trudności staram się jednak dostrzegać obecność pewnych

uniwersalnych artystyczno-estetycznych wątków. Ich obecność pozwalała przenosić dzieło z dziedziny „plakatu” i umieszczać w sferze sztuki. Inaczej jeszcze mówiąc, pozwalała wychodzić poza emocje, doraźne gesty, „obsługę znakową” opozycji i umieszczać jednak w sferze bardziej uniwersalnej treści współczesnej kultury. Pośród artystów stojących się powoli przedstawicielami starszej generacji, którzy potrafili polskiemu dramatowi nadać bardziej uniwersalny sens artystyczny, dla galerii T.P. udało mi się pozyskać Janusza Kaczmareckiego, Grzegorza Morycińskiego, Stanisława Rodzińskiego. Spośród artystów mojego pokolenia – dziś trzeba je nazwać już średnim – swój cykl wielkotygodniowy pokazała Monika Małkowska. Obrazy Andrzeja Bielawskiego, Zofii Glazer, Jana Rylke, grafiki i rysunki Anny Roszkowskiej również są mocno osadzone w duchowym doświadczeniu Polaków. Tutaj problem artystycznego i filozoficznego kontekstu staje się szczególnie trudny do rozpoznania. Lata 70., będące czasem kształtowania się naszej artystycznej świadomości, to okres, gdy proces stylistycznego rozkładu sztuki rozwinął się znacznie. Mówiło się już coraz częściej o kryzysie całej formacji kulturowej, o końcu modernizmu, o postmodernizmie. Moje pokolenie znalazło się jakby na pograniczu tych formacji. Skutki tego są bardzo różnorodne, widoczne m.in. w dalszym indywiduowaniu się programów artystyczno-estetycznych, przenikaniu się bardzo różnych wątków warsztatowo-stylistycznych.

Problem wydaje się pozornie prostszy, gdy obserwujemy twórczość

młodszej generacji, debiutantów z lat 80. Dość powszechnie odwołują się oni do ekspresjonizmu. Jest to jednak pokolenie, w którego twórczości pewne sztandarowe cechy postmodernizmu wyraźnie dają o sobie znać. Dość klarowną twórczość Jacka Ziemińskiego czy Joanny Krzysztoń zderza się z obrazami innych przedstawicieli ich generacji, jak Piotr C. Kowalski, Mariusz Stanowski, gdzie nakładają się i piętrzą wszystkie wątki sztuki XX w. Swoistym pomostem między pokoleniami jest twórczość Wiesława Obrzydowskiego, który swoją wystawą w galerii T.P. rozpoczął karierę „ojca” młodej ekspresji, jednocześnie jako jeden z niewielu młodych wyrażał dramat własnego życia w PRL.

Czas działania galerii T.P. jest jednocześnie okresem pewnego przesilenia na twórczości artystów głęboko osadzonych w polskim doświadczeniu. Zaczyna być widoczny wewnętrzny „ruch” nastrojów, wyrażający się nie tylko w dojrzałym artystycznie opracowaniu treści, ale również coraz wyraźniejszymi skłonnościami ku uniwersalnemu problemom sztuki (martwe natury Kaczmarzkiego), podkreślaniem dystansu (groteski Morycińskiego), ironią (m.in. u Rylke). Obok mrocznych rysunków pojawiają się u Roszkowskiej świetliste, pejzażowe pastele; ostatnie pejzaże Rodzińskiego mają nowy, uderzająco żywy koloryt. Wystawy w galerii odzwierciedlają nastroje twórców będące swoistym stanem przejściowym między głęboką depresją stanu wojennego a nowym przyływem nadziei w ostatnich miesiącach. Ustępuje zdecydowanie minorowy ton obrazów, „dzika” ekspresja łagodnieje i „intelektu-

alizuje się”. Warto przy tej okazji odnotować powrót pejzażu. Pojawiał się on bardzo często jako jeden z tematów w twórczości wielu malarzy (Krzysztoń, Rylke, Bielawski, Roszkowska, Rodziński). Fakt ten wydaje mi się również nie bez znaczenia w opisywanym tu procesie. Pejzaż towarzyszył innym tematom, bywał także nośnikiem treści religijnych. Jeremi Królikowski, autor ostatniego, czerwcowo-lipcowego pokazu w galerii T.P., uczynił pejzaż głównym motywem swej twórczości.

Koniec lat 80. przyniósł również pewne przesilenie na światowym rynku sztuki. O ile początek działania galerii T.P. przypada jeszcze na czas ostatnich podsumowań neoekspresjonistycznego malarstwa, to już następne lata zaznaczają się na światowej scenie artystycznej rozkwitem tendencji zdecydowanie odmiennych. W miejsce Neue Wilden wchodzi postmodernistyczny pluralizm, neo-géo, widoczny jest nawet renesans konceptualizmu. W galerii mieliśmy wyraźną świadomość tych zmian, jednak nie staraliśmy się ich przyspieszać dążąc do zachowania symbiozy z tym, co działo się w duszach i w pracowniach polskich artystów. Niemniej z radością witaliśmy w galerii twórców i prace, w których emocje ustępowały intelektowi, ekspresyjna plama barwna ustępowała geometrycznej kompozycji. Taką twórczość zaprezentowali w galerii T.P. Alina Kalczyńska i Jan Kubasiewicz.

Za jedną z najciekawszych wystaw mających miejsce w galerii T.P. w ciągu ostatnich 3 lat jej działania uważam pokaz prac Jana Rylke. Przetworzone wątki rodzimego doświadczenia duchowego korespondują u niego

z bardziej uniwersalnymi tendencjami sztuki światowej. Równie interesująca była w moim przekonaniu wystawa Mariusza Stanowskiego, który swoją praktykę artystyczną umiejscawia całkowicie poza rodzimymi kontekstami prowadząc swój artystyczny dialog po prostu ze sztuką współczesną. Podobnie zresztą jak Piotr C. Kowalski. Obaj twórcy młodszego pokolenia wyraźnie podkreślają autonomię sztuki umieszczając swój twórczy niepokój poza problematyką społeczną, traktując sztukę jako temat sam dla siebie. W ich twórczości przejawiają się pewne skrajne tendencje autonomizacyjne, które w takiej galerii jak T.P. musiały znaleźć miejsce; skoro sztuka miała stanowić tam swego rodzaju platformę porozumienia. Galeria próbowała zachowywać równowagę między propozycjami artystów czujących się trybunami społecznej sprawy a pracami skupionymi na sztuce jako takiej. Tym jednak, co stanowiło bezwzględną podstawę całego programu, była niepodległa osoba artysty. Myślę, że taką manifestacją osobowości był wernisaż i pokaz malarstwa Jacka Kleyffa.

Galeria starała się uwzględnić jeszcze jeden czynnik – opinię publiczności. Jej désintéressement, które łatwo można było zaobserwować, gdy pojawiała się w galerii w czasie przerw w spektaklu teatralnym, było niewątpliwie „głosem”, który brano pod uwagę przy układaniu programu. Potwierdzeniem tego był chociażby pokaz prac Zdzisława Beksyńskiego. To twórca głośny i cieszący się zawsze sporym zainteresowaniem polskiej publiczności, choć nie wydaje mi się

jakoś szczególnie wpisany w ów społeczno-estetyczny ferment lat 80.

Sytuację w sztuce końca lat 80. cechuje głębokie zróżnicowanie, nie ma dominant, jest raczej wielość indywidualnych propozycji wzajemnie przyciągających się lub odpychających. Nie miejsce tu na dokładne opisywanie tego stanu, który jest w istocie nieco bardziej skomplikowany. Dla galerii wynika z tego jednak przynajmniej tyle, że przyjęta przez nią orientacja na twórczość zachowującą kontakt z polskim doświadczeniem duchowym, zachowująca jednak daleko idącą autonomię gwarantowaną przez kontakt z pewnym uniwersum artystyczno-estetycznym, a przede wszystkim przez osobowość artysty, może być kontynuowana.

Jan Stanisław Wojciechowski

 teatr

Powrót Teatru Ósmego Dnia

I. Nazwa „Mir Caravane” składa się z francuskiego słowa oznaczającego karawanę i rosyjskiego, które znaczy zarówno świat jak i pokój. Skrywa się za nią osobliwy, wędrowny festiwal teatralny, który z Moskwy przez Leningrad przybył do Warszawy, a następnie udał się do Pragi, Berlina Wschodniego i Zachodniego, Kopenhagi, Amsterdamu i Lozanny, by zakończyć podróż w Blois podczas V Międzynarodowego Festiwalu Teatru Europejskiego, który odbył się we wrześniu.

Po raz pierwszy aktorzy Zachodu i Wschodu tworzą zespół będący ewenementem, który zaznaczy się w historii teatru zarówno poprzez oryginalność swej formuły jak i poprzez obietnicę, jaką ze sobą niesie.

Mir Caravane to karawana teatru wolnego, autonomicznego i równocześnie teatru najbliższego ludziom, najbardziej ludowego. To również laboratorium społeczne, które współ z twórczością artystów-nomadów odkrywa i wprowadza w praktykę formy organizacji życia codziennego. To w końcu projekt międzynarodowej współpracy ekonomicznej. Dwie części Europy o tak radykalnie odmiennych systemach ekonomicznych wspólnie uczestniczą w organizowaniu tournée karawany.

System organizacyjny, który stworzyliśmy, wydaje się nam najbardziej pragmatyczny, a jednocześnie niosący ideę Wolności (z manifestu programowego Mir Caravane).

W festiwalu uczestniczyło 9 zespołów: z Anglii, Czechosłowacji, Francji, Hiszpanii, Polski, Włoch i Związku Radzieckiego. Zaprezentowały one warszawskiej publiczności kilkanaście spektakli. Były to przedstawienia uliczne na Starym Mieście i na Żoliborzu, widowiska w namiotach cyrkowych rozbitych na błoniach Stadionu X-lecia, w scenerii dawnych zakładów Norblina i na nowej scenie współorganizatora polskiej sekwencji festiwalu, Akademii Ruchu, w kinie-teatrze Tęcza. W Mir Caravane znalazły się teatry reprezentujące bardzo różne gatunki sztuki scenicznej, łączą je chyba tylko to, że w swoich krajach należą do alternatywnych nurtów życia teatralnego. Większość z nich stara się również docierać swą sztuką do publiczności innej niż ta, która zwykle wypełnia sale teatralne. A zatem programowo wybierają te gatunki sceniczne, które są proste w odbiorze, odwołują się do tradycji teatru plebejskiego, ludycznego. Czasem zresztą ta prostota jest bardzo wyrafinowana, spektakl pozornie rozrywkowy może zawierać głębokie przesłanie, czytelne dla wrażliwych widzów.

Leningradzki teatr Licedei zaprezentował spektakl „Assisai”. W nieodparcie śmiesznych, zachwycających perfekcyjnym wykonaniem skeczach prezentowanych przez kilkunastu kłownów zobaczyliśmy ironiczny obraz absurdów naszego świata. Licedei miesza w swym spektaklu farsę i tragedię (jeden z kłownów nosi

ubiór więźnia z lagru – żeby nie pozostać wątpliwości – z napisem „Sybir” na waciaku), radość i smutek, humor i liryzm. Niezwykły i optymistyczny jest finał spektaklu. Kłowni wyrzucają w kierunku widzów kilkadziesiąt plażowych piłek wciągając publiczność do wspólnej zabawy. Po chwili pojawiają się też dwie piłki gigantycznych rozmiarów, żółta i niebieska (Słońce i Księżyc?). Coraz więcej widzów wychodzi na scenę, odbijają piłki, jeszcze trwają improwizowane etiudy. Po kilku minutach kłowni niepostrzeżenie znikają za kulisami, a na scenie nadal trwa beztroska, spontaniczna zabawa.

Muszę przyznać, że bardzo zaskoczyły mnie radzieckie zespoły (widziałem jeszcze koncert „Muzyka całego świata” w wykonaniu zespołu „Swoja Igra”) optymizmem, radością i witalnością, które emanowały z ich występów.

Hiszpański Circ Perillos zaprezentował nową formułę widowiska cyrkowego. Ewolucje na linach, trapezach i batutach łączą się tu z pantomimą i teatrem. W ten sposób artyści opowiadają pełną humoru historyjkę o walce płci, wciągają do swego spektaklu trochę przerażonych widzów. Wesolej zabawie towarzyszy ironiczna refleksja o dominacji mężczyzn. Myślę, że hiszpańscy widzowie są na ten problem bardziej wyczuleni, co jednak nie przeszkodziło polskim widzom w doskonałej zabawie.

„Perła” według Johna Steinbecka w wykonaniu Footsbarn Trawelling Theatre to piękna baśń o skarbie, który przynosi nieszczęście, ale także o odwadze i miłości, dzięki którym zły los się odwraca. Footsbarn pokazał, jak za pomocą prostych środków

można stworzyć niezwykle sugestywną wizję teatralną.

Teatro Nucleo z Włoch przywiózł m.in. spektakl „A media luz” zainspirowany „Pokojówkami” Geneta, ale zrealizowany przeciwko tekstowi dramatu. „A media luz” jest pełnym ekspresji pantomimicznym widowiskiem o walce dwóch ludzi o własną niezależność i tożsamość. Muzyka i znakomite głosy aktorów Nucleo były bohaterami koncertu zatytułowanego „Vocifer/Azione”, który powstał niejako na marginesie aktor-skich ćwiczeń głosowych.

Ta z konieczności krótka prezentacja najciekawszych przedstawień nie wyczerpuje bogatego programu festiwalu. Nie wszystkie spektakle mogłem obejrzeć, niektóre odbywały się równocześnie, nie raz w różnych częściach miasta. Te, które widziałem, dowodzą, że teatralna alternatywa żyje, poszukuje nowych form i nowych widzów, że bardzo poważnie traktuje społeczną misję teatru.

II. Najważniejszym wydarzeniem polskiej sekwencji Mir Caravane były występy Teatru Ósmego Dnia. Teatr ten, jeden z najznakomitszych polskich zespołów alternatywnych, przeszedł w latach 80. drogę, która jest wyraźnym świadectwem „polityki kulturalnej” stanu wojennego. W 1984 r. decyzje administracyjne pozabawiły zespół możliwości oficjalnego występowania. Mimo to w kościołach i salach parafialnych nadal prezentowano „Wzlot” oparty na wierszach Osipa Mandelsztama i wspomnieniach żony poety, „Przypowieść” według Faulknera i „Autodafé/Mała Apokalipsa” według Konwického. W latach natępnych, pozbawieni moż-

liwości normalnej pracy, aktorzy Teatru Ósmego Dnia kolejno emigrowali z paszportami bez prawa powrotu, by spotkać się w 1988 r. w Ferrarze, gdzie udzielił im gościny Teatro Nucleo. Na Zachodzie stworzyli jeszcze dwa spektakle: „Jeśli pewnego dnia w szczęśliwym mieście...” inspirowany „Dziumą” Camusa oraz „Spacer między ziemią a niebem” – przedstawienie uliczne, baśń o człowieku, który próbuje oszukać śmierć.

W jednej z programowych wypowiedzi teatru możemy przeczytać: *...o ile praktyka społecznej działalności człowieka zna wiele kompromisów i ograniczeń, o tyle, jak myślimy, sztuce nie wolno porzucić utopii, marzeń i gwałtownego buntu wobec sprzeniewierzeń codzienności. Nawet wtedy, gdy rzeczywistość społeczna i codzienność nasza – drapieżnie zaciskają pętlę domagając się całkowitego wyrzeczenia wszelkich innych bytów.*

Nawet wtedy my w teatrze chcielibyśmy upominać się o wolność dla pozbawionych wolności, o chleb dla nędzarzy, lecz przecież także o prawo do... nieśmiertelności.

Teatr Ósmego Dnia zaprezentował spektakle zrealizowane jeszcze przed emigracją. „Raport z obłożonego miasta” (1983), przedstawienie inspirowane wierszem Zbigniewa Herberta, zostało rozegrane późnym wieczorem na dziedzińcu dawnych zakładów Norblina.

Obszar gry wyznaczają płonące lampki nagrobkowe. Wokół nich stoją stłoczeni widzowie. Słuchamy tytułowego wiersza Herberta. Na placu pojawiają się ludzie, którzy ocalili z zagłady. Jeszcze chronią troskliwie resztki swoich marzeń i na-

dziei: ocalony klucz od mieszkania, kwiat, list, zdjęcie bliskiej osoby. To cały ich dobytek, podobnie jak wózek żebraka załadowany rupieciami, który stoi na środku placu. Z głębi dziedzińca nadchodzą Jeźdźcy Śmierci, ogromne czarne postacie na szczudłach. Ktoś stara się zdobyć ich łaskawość donosząc na innych, sparaliżowanych strachem. Najeźdźcy potraktują wszystkich jednakowo. Są bezwzględni. Zanim zabijają, zmuszą do wyrzeczenia się marzeń i nadziei. Podpalają wózek żebraka. W płomieniach zginą także te ocalone drobiazgi. Donosiciel zostaje powieszony, czarna flaga jak topór kata pozbawia życia innych, ktoś próbuje uciekać, lecz dosięga go strumień gazu i ginie jak mucha. Po dokonaniu dzieła zagłady Jeźdźcy Śmierci odchodzą. Nad zgłiszczami unosi się jednak pełna nadziei pieśń i rozbrzmiewają ostatnie wersy „Raportu...”: *i jeśli miasto padnie i ocaleje jeden / on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania / on będzie Miasto / patrzmy w twarz głodu twarz ognia twarz śmierci / najgorszą ze wszystkich twarz zdrady / i tylko sny nasze nie zostały upokorzone.* A potem jeszcze długo staliśmy wszyscy w kręgu płonących lampek wpatrując się w dogasający ogień.

„Raport z obłożonego miasta” był reakcją na stan wojenny, metaforyczną opowieścią o utracie marzeń i nadziei związanych z „Solidarnością”. Jednakże oglądany dzisiaj nie sprawia wcale wrażenia muzealnego eksponatu. Może dlatego, że dzisiaj nasze nadzieje nie są już tak proste. Na pewno – dzięki ogromnej sile artystycznej wizji. Także dlatego, że dziś ta wizja zyskała nową aktualiza-

cje na pekińskim Placu Niebiańskiego Spokoju, na którym totalitaryzm w wydaniu komunistycznym ujawnił po raz kolejny tę samą złowrogą twarz Jeźdźców Śmierci.

Tytuł drugiego spektaklu Teatru Ósmego Dnia, „Piołun” (1985), nawiązuje do Apokalipsy św. Jana: *... a imię gwiazdy zowie się Piołun. Trzecia część wód stała się piołunem, i wielu ludzi pomarło od wód, bo stały się gorzkie* (Ap 8,11).

„Piołun” został zrealizowany w okresie najbardziej krytycznym dla polskiej opozycji. Władze stanu wojennego kontynuowały represje utrwalając „porządek” wprowadzony 13 XII 1981 r. Zmiana sytuacji wydawała się niemal niemożliwa. Społeczeństwo znękanе kryzysem gospodarczym ogarnął kryzys wartości.

Spektakl opowiada właśnie o tym w cyklu metaforycznych scen. Obrazom szarej codziennej egzystencji towarzyszą marzenia na jawie o niemożliwych podróżach po egzotycznych morzach. Symbolem tych marzeń jest model żaglowca. Można w nim widzieć także symbol wolności, można go także odczytać jako aluzję do Conradowskiego przekonania o konieczności niezłomnej obrony wartości. Czy można normalnie żyć, gdy niewinni ludzie giną i siedzą w więzieniach? – pytają aktorzy Teatru Ósmego Dnia.

Wstrząsająca jest scena pogoni za uciekającym człowiekiem, bicia i kopania leżącego i bezbronnego. Padają słowa morderców ks. Jerzego Popiełuszki: *Kamulki do nóg*. A później szczerzy, groteskowy wizerunek sędziów, fabrykujących pod dyktando wyroki, i władzy, która „żywi się sama” ogryzając kości. Po uczcie

zabrzmi piosenka „Zawsze niech będzie słońce...”, a potem spłoną małe żaglowce. To powtórzenie motywu z „Raportu...” – odebranie nadziei.

A jednak uda się mimo wszystko ocalić jeden okręcik, który światło reflektora wydobędzie z ciemności w finale spektaklu.

Również to przedstawienie, choć powstało w innych niż dzisiejsze warunkach, mówi o sprawach ciągle aktualnych. Spuścizna stanu wojennego nadal nad nami ciąży, wpływa na wszystkie sfery życia społecznego. Aktualne pozostają także pytania o fundamentalne wartości, które z taką mocą stawiają artyści Teatru Ósmego Dnia.

W kinie-teatrze Tęcza odbył się też koncert „Songów Teatru Ósmego Dnia” w wykonaniu Ewy Wójciak. Przed koncertem aktorka mówiła o paradoksalnej sytuacji teatru, który wymigrował na Zachód, a wraca do Polski przez Związek Radziecki.

Nie powrócili jeszcze na stałe, ale Lech Raczak obiecał, że przyjadą w przyszłym roku z nowym spektaklem, zrealizowanym w Ferrarze. Można więc mieć nadzieję, że nie będzie to powrót jednozawowy. Spełnienie tej nadziei zależy w ogromnej mierze od nas wszystkich w kraju.

Andrzej Dziurdzikowski

KSIĄŻKI NADEŚLANE

ks. Antoni Lewek, *Bóg – człowiek – ojczyzna. Homilie wygłoszone w kościele Św. Stanisława Koski w Warszawie. Tom IV.* Warszawa 1989.

Instytut Wydawniczy Pax

Jacques de Bourbon Busset, *Dziennik 1964–1984*, wybrał, przełożył, wstępem i przypisami opatrzył Adam Szymanowski. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 10000+350 egz.

Paweł Heintsch, *Szukanie nieba. Wybór wierszy*. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 2000+350 egz.

Saul Kripke, *Nazywanie a konieczność*, przeł. Bohdan Chwedeńczuk. Warszawa 1988, wyd. I, nakł. 5000+350 egz.

Wacław Lipiński, *Dziennik. Wrześniowa obrona Warszawy 1939 r.*, wstęp, komentarz i przypisy Jan Maria Kłoczowski. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 20000+350 egz.

Kazimierz Wierzyński, *Pobojowisko*, ilustr. Zdzisław Czernański. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 10000+350 egz.

Wiktor Zaleski, *Punkt odniesienia*. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 10000+350 egz.

Józef Feliks Zieliński, *Wspomnienia z tułactwa*, z rękopisów Towarzystwa Naukowego w Toruniu i Biblioteki Narodowej opracowała, wstępem i przypisami opatrzyła Elwira Wróblewska. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 10000+350 egz.

Jan Paweł II w Polsce 2–10 VI 1979, 16–23 VI 1983, 8–14 VI 1987. *Przemówienia i homilie*. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 30000+350 egz.

Niezależna Oficyna Wydawnicza / Wydawnictwo Aneks

Krystyna Kersten, *Jahia w polskiej perspektywie*. Londyn / Warszawa 1989.

Redakcja Wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

Janusz Mariański, *Wprowadzenie do socjologii moralności*. Lublin 1989, wyd. I, nakł. 5000 egz.

Adam Rodziński, *Osoba, moralność, kultura*. Lublin 1989, wyd. I, nakł. 4000+25 egz.

Jerzy Strojnowski, *Psychologia fizjologiczna*. Lublin 1989, wyd. II uzupełnione, nakł. 4000+25 egz.

Bolesław Taborski, *Karola Wojtyły dramaturgia wnętrza*. Lublin 1989, wyd. I, nakł. 2000+25 egz.

Ewangelia według Marka, tłum. z greckiego Czesław Miłosz, ilustr. Jan Lebenstein. Lublin 1989, nakł. 15000+25 egz.

Sekcja Muzykologów Związku Kompozytorów Polskich

Oblicza polistylisty. Materiały sympozjum poświęconego twórczości Konstantego Regameya. Warszawa, 29–30 maja 1987, Warszawa 1988, nakł. 600 egz.

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

Antoni B. Stępień, *Wstęp do filozofii*. Lublin 1989, wyd. II rozszerzone, nakł. 10'000+125 egz.

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Lech Witkowski, *Rozwój i tożsamość w cyklu życia. Studium koncepcji Erika H. Eriksona*. Toruń 1989, wyd. I, nakł. 300+70 egz.

Wydawnictwo Aneks

Roman Zimand, *Czas normalizacji. Szkice czwarte*. Londyn 1989.

Wydział Filozoficzny Towarzystwa Jezusowego

Rocznik Wydziału Towarzystwa Jezusowego w Krakowie 1988. Kraków 1989.